ELIZA

MICHALIK

SZPILE

SZPILE

ELIZA

MICHALIK

SZPILE

CZWARTA STRONA

Wstęp

Szpile – szpilki, czółenka, buty na obcasie. W publicystyce: sarkastyczne, ironiczne, ostre, trafiające w sedno wnioski i puenty. Lubię szpile, bo i buty, i kłujące jak damski obcas myśli zwracają uwagę, kojarzą się z pewnością siebie, odwagą, a w przypadku słownej szermierki – z nazywaniem rzeczy po imieniu.

Szpile kocham za to, że idealnAie współgrają z moją osobowością i temperamentem – są charakterne, kobiece i bezwzględne zarazem, niosą moc skojarzeń i mają wiele znaczeń. Nie ma ostrego komentarza, polemiki, prowokacji bez umiejętnego wbicia szpili. Szpila to każda cięta riposta, zaskakująca informacja, trafny argument przyszpilający (właśnie!) kluczącego po manowcach przeciwnika.

Dlatego mój telewizyjny program publicystyczny, do którego zapraszam mądre i błyskotliwe kobiety, by rozmawiać o wydarzeniach tygodnia, nazwałam *Szpilami*. I dlatego taki właśnie tytuł nadałam tej książce.

Szpile są zbiorem moich felietonów publikowanych w ciągu ostatnich kilku lat w „Gazecie Wyborczej”, na portalach

Onet.pl i naTemat.pl, na moim prywatnym Facebooku, a także tych nigdzie wcześniej niepublikowanych. Tekst *Bóg rozumu się nie boi*, napisany z Tomaszem Piątkiem, pisarzem i dziennikarzem „Gazety Wyborczej", znalazł się w tej książce, bo bez niego nie byłaby kompletna.

Moje przemyślenia i komentarze podzieliłam, zgodnie z tematyką, na rozdziały: Polityka, Kościół, Kobiety i Media. Powstawały w różnym czasie, dlatego przy kilku umieściłam swoje dopiski, które pomagają wyjaśnić kontekst. Zabawnie jest niekiedy (choć bywa to śmiech przez łzy) przekonać się, że spełniły się niektóre moje proroctwa, innym razem zastanawiam się, czy aby na pewno miałam rację.

Tak czy owak, jeśli zechcecie Państwo poznać mój punkt widzenia na różne sprawy, popolemizować ze mną i – na co liczę – nie zgadzać się i kontrargumentować, książka jest do Państwa dyspozycji.

Życzę przyjemnej, choć (mam nadzieję) niezbyt spokojnej lektury.

Pozostaję z szacunkiem
Eliza Michalik

Bóg rozumu się nie boi

Czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć lat temu do drzwi katedry w Wittenberdze zostały przybite *Tezy o odpustach* Lutra. Ten happening uczynił Zachód Zachodem. Polski to nie obchodzi.

Polacy w ogromnej większości nie zauważyli przypadającego 31 października Święta Reformacji, bo reformacji nie przeszli. W XVI wieku polska szlachta masowo nawracała się na kalwinizm. Ale Kościół katolicki powstrzymał ten ruch. Nawróconych oskarżano o zdradę Polski na rzecz obcych, zachodnich wartości i władców. A jezuickie szkoły pracowały, by „zrekatolicyzować" dzieci z protestanckich rodzin.

Szkoda. Potrzebowaliśmy i wciąż potrzebujemy reformacji. Dziś widać, jak bardzo przydałyby się nam jej wartości. Wiara, która nie wojuje z rozsądkiem. Rozdział państwa i Kościoła. Uczciwość i ciężka praca, której owoce nie są trwonione, ale pomnażane. Wolność duchowa, swoboda interpretowania świętości… Protestancki duch mógłby zmienić Polskę.

Czas rozkwitu polskiego protestantyzmu nazywamy złotym wiekiem Polski. Protestantami byli ojciec naszej literatury Mikołaj Rej i ojciec myśli politycznej Andrzej Frycz Modrzewski. Kalwińskie wychowanie otrzymał największy

ówczesny polityk Jan Zamoyski. A mimo to dzisiejsza Polska o protestantyzmie nie wie prawie nic. Po części dlatego, że książki Lutra, Kalwina i innych reformatorów znalazły się na kościelnym indeksie ksiąg zakazanych. Przez wieki Watykan odwodził nawet od czytania *Biblii*. W wielu katolickich krajach jej posiadanie oznaczało podejrzenie o herezję.

Jak można bronić wiernym dostępu do słowa Bożego? Cóż, papieże zapamiętali, od czego zaczęła się reformacja. Od tego, że Marcin Luter przeczytał dokładnie *Biblię*.

Najpierw Bóg, potem Kościół

Oparte na słowie Bożym nauki Lutra były proste: nie Kościół zbawia człowieka, tylko Bóg. Kościół nie może więc handlować zbawieniem, sprzedawać odpustów, „uwalniać" człowieka od „pokuty czyśćcowej" za pieniądze. A wyznacznikiem moralności nie jest stosunek człowieka do kościelnych instytucji, obrzędów i hierarchów. Są nim wartości, które człowiek wyznaje. I którym daje wyraz nie tylko w kościele, ale też w życiu. W tym, jak traktuje innych ludzi.

Marcin Luter zwalczał bałwochwalstwo – wielbienie fałszywych bożków zamiast uprawiania cnót. Wykazał, że w słowie Bożym nie ma podstaw do wiary w czyściec, nieomylność papieską, pożyteczność kultu świętych i matki Jezusa. W ten sposób przywrócił serca chrześcijan Chrystusowi i jego nauce. Przypomniał im, że to Jezus Chrystus przez swą Mękę na Krzyżu uwolnił ich od grzechu i potępienia. Nie zrobiła tego Matka Boska ani figurki świętych. Ani też proboszcz za sprawą rzuconych mu na tacę pieniędzy.

W pewnej mierze Luter przypomniał o tym również katolikom. Broniąc się przed jego zarzutami, ograniczyli praktyki bałwochwalczo-magiczne. Kontrreformacja była kontratakiem Watykanu na reformację. Ale sama także była swoistą reformacją – nawet jeśli bardzo niepełną i prowadzoną ze zgrzytaniem zębów. Oczywiście i dzisiaj dla wielu katolików Matka Boska jest obiektem kultu niemal równym samemu Bogu. Jednak nie przesłania im Chrystusa tak bardzo jak kiedyś.

Reformacja znaczy życie

Reformatorzy przypomnieli nam też, że religia to oddawanie czci Bogu Żywemu – i sama musi być żywa! Nie może być skostniałym dogmatycznym tworem. Dlatego jedna reformacja to za mało: każdy Kościół wciąż musi się reformować. Religia nie rządzi, ale służy Bogu i ludziom. Stąd niezbędne są debaty i ciągłe zgłębianie *Biblii* – takie, w którym pokora łączy się z odwagą. W ten sposób wierni poznają coraz to nowe aspekty Boga. A religia odpowiada na ludzkie potrzeby duchowe, zamiast je dusić. Jak powiedział Jezus Chrystus: Święto jest dla człowieka, nie człowiek dla święta.

Katolicy mówią: Może Luter i Kalwin mieli swoje racje – jednak buntując się, rozerwali jedność Kościoła! Osłabili go! – Ale przecież prawda jest ważniejsza niż jedność. Stawianie zaś na pierwszym miejscu potęgi ziemskiej organizacji jest myśleniem skrajnie świeckim. Bo każdy istniejący na tym świecie kościół instytucjonalny jest organizacją ziemską. Zatem nie można go utożsamiać z prawdziwym Kościołem Chrystusowym, który jest niewidzialny. Należą do niego

członkowie różnych ziemskich Kościołów, może też osoby spoza nich – ale kto dokładnie, wie tylko Bóg.

Natomiast Kościół, który stawia jedność i potęgę ponad prawdą, staje się aż nazbyt widzialny i ziemski. W walce o wpływy i pieniądze kłamie, kradnie i wymusza. Wpycha się do rządowych gabinetów i publicznych mediów, do kodeksów karnych, do naszych łóżek i kieszeni. Gdy przy tym wszystkim ogłasza, że jest jedynym prawdziwym Kościołem, z monopolem na zbawienie – to jego pycha wprost wyzywa Boga. Taką „jedność" trudno uznać za zaletę.

Ale nawet zapominając o tych nadużyciach – czy chrześcijanie powinni usilnie dążyć do pełnej jedności doktrynalnej i organizacyjnej?

Żadna ludzka myśl nie obejmie całego Boga. Zatem chwałę Bożą lepiej głosi chór różnych wspólnot i nauk niż jedna organizacja i doktryna. Różnice sprzyjają też rozwojowi. Gdyby kalwini nie byli w sporze z katolikami, Rousseau nie mógłby inspirować się kalwinizmem przy tworzeniu podstaw nowoczesnej demokracji w *Umowie społecznej*. Gdyby anglikanie nie byli w sporze z katolikami, nie stworzyliby podstaw nowoczesnego liberalnego konserwatyzmu podczas „chwalebnej rewolucji" w 1688 roku. Gdyby purytanie i baptyści nie byli w sporze z anglikanami, nie ruszyliby do Ameryki i nie dokonaliby tam rewolucji amerykańskiej. Debaty wywołane przez reformację nie są słabością Zachodu, są jego skarbem.

Ogrom danych wskazuje na to, że społeczeństwa protestanckie zwykle działają lepiej niż katolickie. Przed ponad wiekiem socjolog Max Weber przypisał to tak zwanej nauce o predestynacji. Luter i Kalwin uważali, że o zbawieniu decyduje Bóg. Człowiek swymi kalekimi „dobrymi uczynkami"

nijak nie „zarobi na bilet do nieba”. To Bóg sam wybiera ludzi, którym daje łaskę wiary, cnót i zbawienia.

Teoretycznie taka nauka powinna działać „demotywująco”: po co się starać, skoro to nic nie da? Według Webera jest odwrotnie: protestant chce pokazać, że zalicza się do wybranych. Że już w tym życiu obdarzony został łaską pracowitości i dobrych zarobków, a zarazem uczciwości. Efekt? Wspólnota rzetelnych pracusiów działa jak szwajcarski kalwiński zegarek!

Weber jednak wiele przeoczył. Luter i Kalwin nie twierdzili, że ludzie źle zarabiający muszą być pozbawieni łaski; byłoby to wbrew Ewangelii. Kalwin kazał parafiom, miastom i królom dbać o biednych. A gdy profesor Benito Arruñada z uniwersytetu w Barcelonie zderzył tezy Webera z twardymi danymi statystycznymi, okazało się, że katolicy pracują tak samo rzetelnie jak protestanci!

Różnica leży gdzie indziej. W społeczeństwach protestanckich owoce tej pracy są lepiej wykorzystywane. Protestancka parafia uczy swoich członków lepiej wydawać pieniądze, bo jest transparentna i demokratyczna. Rządzi nią nie ksiądz, tylko rada wybierana przez wiernych. Na jej czele stoi prezes (prezeska) i skarbnik (skarbniczka). Zatem katolickiemu proboszczowi łatwiej wydać pieniądze z tacy na limuzynę… Pastor wie, że prezeska i skarbniczka urwałyby mu łeb.

Prozaiczne sprawy? Stoi za nimi głębsza różnica. W Kościele katolickim ksiądz uznawany jest za kapłana – uświęconego pośrednika między człowiekiem a Bogiem (mimo że według *Biblii* wyłącznie Chrystus jest takim pośrednikiem). W Kościołach protestanckich ksiądz/pastor jest tylko kaznodzieją i teologicznym doradcą wiernego. Jego rola jest

bardziej służebna. A wierny jest wolny – ma jedynie pamiętać, że jego wybory świadczą o jego wierze i duszy. To uczy odpowiedzialności.

Oświecenie bez oziębienia

Kościół katolicki głosi wojnę cywilizacji życia z cywilizacją śmierci. Walczyć ze sobą miałyby dwa wrogie światy. Świat zimny: nowoczesność, wiedza naukowa, pragmatyzm, fakty, logika, a także egoizm i hedonizm. Świat ciepły: rodzina, tradycja i „nasz kościółek", który zarazem jest Kościołem Największym, Jedynym, Niekwestionowalnym.

Ten świat ciepły jest ciemny – obowiązują w nim nakazy i zakazy, których nie da się wyjaśnić naukowo czy zdroworozsądkowo. Nie można ich też wywieść z *Biblii*. Ale czy nie lepiej tkwić w ciemności niż sterczeć na zimnie?

Prawda jest jednak inna. Świat jasny jest cieplejszy niż ten ciemny. Boże Dobro nie boi się wiedzy i nowoczesności. Jest ponad epokami, bo jest uniwersalne. Nie przejawia się pokłonami przed figurką, tylko dobrymi uczynkami. A te wychodzą nam lepiej, gdy posługujemy się logiką i znamy fakty. Ciepło i życzliwość wobec drugiego człowieka to przymioty ducha, w których rozwijaniu nowoczesna psychologia, medycyna i filozofia jedynie pomagają. Żeby w pełni kochać bliźniego, trzeba kochać siebie. Ktoś, kto stawia przed samym sobą tylko ograniczenia i zakazy, ten siebie nie kocha – i mści się na innych.

Liczba nawróceń na protestantyzm rośnie. Interesują się nim katolicy, a nawet racjonaliści-ateiści. Może to oznaczać, że Polki i Polacy zaczynają więcej myśleć o sprawach ducha,

a mniej o tym, co ziemskie. Miejmy nadzieję, że to początek duchowej zmiany – po której przyjdzie zmiana społeczna.

Bo dobra i trwała zmiana społeczna musi się opierać na dogłębnej zmianie duchowej. Reformacja wzmacnia człowieka, ale przedtem zderza go z jego słabością. Najpierw trzeba uznać swoją bezsilność wobec własnego i cudzego zła. Najpierw trzeba się powierzyć Chrystusowi całym sobą – razem ze swoimi tradycjami i razem ze swoim rozumem. Co znaczy: nie wyrzucać ich na śmietnik, ale znaczy też: nie stawiać ich na piedestale. Trzeba kochać Boga, siebie i bliźniego. A kochać, to szanować. To naprawiać zło bez krucjat. Przyjmując życie, jakie jest, i zaczynając naprawę od nas samych. Reszta przyjdzie sama. Będzie darem i łaską.

Tekst zamieszczony za zgodą Tomasza Piątka.

POLITYKA

Teraz Ku*** My

Jeśli przestępca pochodzi z najwyższych kręgów władzy i zna, kogo trzeba, może spać spokojnie. Prawo jest dla was, maluczkich Polaczków, a nie dla nas, Wielkich Polaków i Prawdziwych Patriotów. Jeśli łudziliście się, że wszyscy są równi wobec prawa, współczujemy głupoty – taki przekaz dostali dziś Polacy od prezydenta Andrzeja Dudy, który ułaskawił właśnie Mariusza Kamińskiego, byłego szefa CBA, skazanego na bezwzględne więzienie i dziesięcioletni zakaz pełnienia funkcji publicznych przez niezawisły sąd (sędziemu i jego rodzinie teraz głęboko współczuję). PiS tak się spieszył do pokazania, kto tu rządzi, że nie zaczekał nawet, dla zachowania pozorów, z nominowaniem Kamińskiego na ministerialne stanowisko do tego – nie ma wątpliwości, że umówionego wcześniej z Andrzejem Dudą – ułaskawienia. A co tam: skoro sprawa jest ustalona, niech Kamiński jak najszybciej dostanie stołek, a jeśli obywatelom to się nie spodoba, tym gorzej dla obywateli.

Oczywiście, jak słusznie napisał Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej", prezydent, ułaskawiając byłego szefa CBA, pokazał, że wie, że Kamiński jest winny. Pokazał to też sam

Kamiński, wycofując swoją apelację (tylko taki ruch mógł pozwolić na uprawomocnienie wyroku i ułaskawienie go przez prezydenta, bo ułaskawić można tylko przestępcę skazanego prawomocnym wyrokiem).

A zatem: czy teraz już można mówić, że Kamiński jest przestępcą? Wcześniej groził, że pozwie każdego, kto nazwie go w ten sposób. Ciekawa sytuacja, bo teraz nazwał go tak jego kolega prezydent – ułaskawiając.

Niezależnie od wszystkiego, nawet będąc głęboko przekonanym o niewinności Kamińskiego, Andrzej Duda nie miał prawa go ułaskawić właśnie dlatego, że były szef CBA jest jego znajomym – zachowania takiej podstawowej bezstronności wymagają standardy demokratycznego państwa prawa.

Wydaje się, że dziś, bardziej niż kiedykolwiek, trzeba przypomnieć, że państwo to nie jest prywatny folwark Jarosława Kaczyńskiego i Andrzeja Dudy, tylko nasze wspólne dobro, którym oni chwilowo zarządzają, i też nie wedle uznania, tylko w ramach ogólnie przyjętych zasad, nazywanych przez cywilizowanych ludzi systemem prawnym. W normalnym kraju ludzie są równi wobec prawa, a za złamanie go ponosisz odpowiedzialność – niezależnie od tego, czy jesteś murarzem, czy ministrem.

Oprócz prawa są także zasady przyzwoitości, normy liberalnych demokracji szanowane na całym świecie, podmiotowe, a nie przedmiotowe traktowanie państwa i jego instytucji, nie używanie władzy powierzonej przez ludzi nieodpowiedzialnie i beztrosko, a przeciwnie – posługiwanie się nią ostrożnie, ze świadomością, że niesie ze sobą wielką odpowiedzialność.

O odpowiedzialności nie ma mowy, gdy Andrzej Dera z kancelarii prezydenta informuje, że prezydent nie uzasadni

swojej decyzji o ułaskawieniu partyjnego kolegi. No i temu się akurat nie dziwię: jeszcze by sobie obywatele pomyśleli, że prawo i prezydent są dla nich.

Swoją decyzją prezydent i PiS pokazali, że nie uważają Polski za normalny kraj, a Polaków za obywateli, którym należy się szacunek, że prawo traktują instrumentalnie. Polska jest w ich oczach republiką bananową, w której instytucje i przepisy są ledwie narzędziem do gorszącego załatwiania prywaty, w tym, jeśli trzeba, pomagania kolegom – przestępcom. Teraz Kurwa My.

Nie w naszym imieniu

PiS jest partią populistyczną, od wielu lat uprawiającą wyłącznie propagandę i manipulację, partią, która kłamie, nie szanuje instytucji państwa i porządku prawnego, nadużywa władzy, szantażuje i zastrasza wszystkich myślących inaczej, a więc znakomitą większość społeczeństwa. Ale to się zmieni, bo – zapewniam was, funkcjonariusze PiS-u – partia polityczna utrzymywana z pieniędzy podatników, działająca (co prawda już tylko teoretycznie) na mocy przepisów prawa, tak wyglądać nie może i nie będzie.

Polacy zbuntują się – już się buntują! (Komitet Obrony Demokracji) – przeciwko próbom zamknięcia im ust i pozbawienia dostępu do informacji, bo tak należy rozumieć zawieszenie Karoliny Lewickiej z TVP, która zawiniła wyłącznie tym, że z premierem Glińskim rozmawiała nie na kolanach, ale normalnie, ośmielając się zadawać mu dociekliwe pytania i obnażać manipulacje.

Informacja jest sprawą w demokracji kluczową, bo tylko dobrze, rzetelnie poinformowani ludzie mogą podejmować, także w wyborach, decyzje oparte na faktach. A informacją jest, jak mawiał Andrzej Wojciechowski, wyłącznie to, co

władza chce ukryć. Reszta to propaganda i reklama. Dlatego dobry dziennikarz nie jest, nie może i nie powinien być lubiany przez polityków, przeciwnie – im bardziej dobiera się im do skóry i odkrywa ich grzechy i zaniechania, tym bardziej go nie znoszą. I tak ma być. I to jest normalne i właściwe. W Ameryce mawia się, że dziennikarze i redakcje, którym politycy nie wytaczają procesów, to słabi dziennikarze i słabe redakcje, nie zdołali bowiem nadepnąć władzy na odcisk.

Politycy PiS-u z profesorem Glińskim, którego kolejne wypowiedzi dotyczące mediów pokazują, że woda sodowa coraz bardziej uderza mu do głowy, nie przyswoili sobie jeszcze tej prostej prawdy, że w dobie swobód obywatelskich, praw człowieka, Internetu i przynależności Polski do różnych międzynarodowych organizacji nie będzie łatwo założyć dziennikarzom kaganiec. Wszystkich nas nie zwolnicie, a jeśli zwolnicie – zostaną blogi, felietony książki, gazety, a choćby i prywatne i niszowe media. Zapewniam, że informacje o waszych wyczynach tak czy owak popłyną do opinii publicznej szerokim strumieniem. Sami Polacy zbuntują się przeciw zawłaszczaniu państwowych instytucji i traktowaniu ich samych jak chłopów na folwarku, bo wbrew temu, co o nich myślicie, parobkami na folwarku nie są.

Wasza władza upadnie, nawet nie obalona z zewnątrz. Pozbędziecie się jej sami: swoją butą, pychą, arogancją, chciwością, podłością, pogardą i głupotą – bo nie rozumiecie, że dla Polaków ich wolności i ich prawa z takim trudem wywalczone mają znaczenie kluczowe i fundamentalne. Wasza władza upadnie także dlatego, że w przeciwieństwie do was większość obywateli rozumie, czym jest demokracja. Wy tej większości nie reprezentujecie. Reprezentujecie ledwie mniejszość, której obawy i lęki cynicznie wykorzystaliście

i wyolbrzymiliście, żeby zdobyć władzę. Mniejszość, która się boi (bo agresja zawsze wynika ze strachu). Wy zaś, zamiast ten strach ukoić i obrócić w pozytywne propaństwowe działanie – bo tak postępują politycy troszczący się o swój kraj – zamieniliście go w bezrozumne przerażenie, snując przez lata obłąkańczą narrację o niemiecko-rosyjskim kondominium i zdrajcach w najwyższych kręgach władzy.

Mimo że chwilowo to wasze, agresywne i nieliczące się z nikim i z niczym, jest na górze, jedno wam powiem: mnie nie reprezentujecie. I wielu, wielu, wielu innych też nie. Są nas miliony i wy – partia Bezprawia i Niesprawiedliwości – w naszym imieniu nie mówicie. Wy nas nie reprezentujecie.

Warto mieć pod górę

Lubię mieć pod górę. Lubię się wspinać. Może dlatego, że – jak powiedział jeden z filozofów – z wysiłkiem i trudem zmierza się na szczyt, łatwo i lekko tylko spada się w dół. Wszystkim nam, z różnych powodów, coraz trudniej żyć w Polsce. Myślę sobie jednak, że sytuacja, w której się znaleźliśmy, to nie porażka, tylko lekcja. PiS nie jest wrogiem – jest naszym nauczycielem, uzmysławia nam braki i słabości naszego państwa i systemu prawnego, pokazuje nam sprawy, które zaniedbaliśmy, które sobie odpuściliśmy, które musimy poprawić.

Prawda jest taka, że dojrzałe zrównoważone społeczeństwo, odpowiedzialne i dalekowzroczne, nie wybrałoby PiS-u, nie dałoby władzy (ani nawet tak silnego poparcia, tak dobrych sondaży) populistom i autokratom, ludziom zachłannym, krzykliwym, nieuczciwym i bezideowym. To nie PiS jest problemem – PiS jest tylko objawem choroby toczącej Polskę i nas wszystkich: braku nowoczesnej edukacji, tkwienia w religijnych zabobonach, przedkładania chciejstwa i naiwnych wyobrażeń nad fakty, niechęci do długiego i mozolnego budowania trwałego dobrobytu, chodzenia na łatwiznę i na skróty. Rządy PiS-u to także konsekwencja

zaniedbań poprzednich rządów – odpuszczenia Ziobrze Trybunału Stanu, bagatelizowania działań Antoniego Macierewicza i Mariusza Kamińskiego, ale też zaniedbań sporej części mediów i dziennikarzy: sprowadzania wszystkiego do wymiaru operetki, mówienia o najważniejszych sprawach jakby były błahe, ślizgania się po powierzchni zamiast wnikania w sedno, ośmieszania mądrości poprzez zestawianie jej (na przykład w programach telewizyjnych) z galopującą głupotą i prostactwem. Dopiero kiedy odrobimy tę lekcję, wyciągniemy wnioski, dopiero kiedy to zrozumiemy – zwyciężymy.

Bo musicie wiedzieć, że PiS się nigdy nie zmieni, on zostanie PiS-em na wieki wieków amen. Zamiast szukać w nim słabości, musimy odnaleźć swoją siłę. Żeby w Polsce było dobrze, to nie PiS się musi zmienić. Zmienić się musimy my, Polacy, politycy i media. Musimy dorosnąć. Zrozumieć, że to nie zabawa. Zamiast szukać słabości u Kaczyńskiego czy Brudzińskiego, znajdźmy własną odwagę i rozum, mądrość i spryt, solidarność i pragnienie wolności. Nauczmy się je wyrażać głośno i zdecydowanie, z pasją i przekonaniem. Odzyskajmy głos. Kiedy to się stanie – nie tylko partia Kaczyńskiego, ale każdy podobny polityczny twór po prostu zniknie, straci rację bytu. Czy to łatwe, pociągające? Skąd! Będzie trudno, będzie koszmarnie, będą schody i będzie wspinaczka – ale jeśli wytrwamy, jeśli to zrobimy, zwyciężymy.

Po co nam wolność?

Żeby uświadomić sobie skalę strachu PiS-u przed wolnością, należy zrozumieć, że Polska wolnych, myślących ludzi, wolny, nieskrępowany przesądami rynek opinii i idei, na którym ścierają się poglądy, a do swojego punktu widzenia trzeba innych przekonać rozsądną argumentacją, a nie przemocą i krzykiem – to byłby koniec tej partii. Dlatego, choć w tytule pytam, po co nam wolność, powinnam zapytać raczej, po co PiS-owi nasza wolność. Bo powody, dla których potrzebujemy wolności, są dokładnie takie, jak powody, dla których PiS zrobi wszystko, żeby nam ją odebrać.

Zastanawialiście się kiedyś, co łączy wszystkie grupy zawodowe i społeczne, z którymi walczy PiS? Dlaczego to właśnie niepokorni sędziowie, nieposłuszni dziennikarze i obywatele maszerujący z KOD-em budzą taką agresję tej partii? Otóż, oprócz oczywistych politycznych korzyści płynących z zabicia Trybunału Konstytucyjnego i upadku państwa prawa, PiS nie znosi tych ludzi, ponieważ odważnie walczą o to, w co wierzą, a im bardziej demonstrują swoją wolność, tym słabiej na ich tle wypadają wyrastający jak grzyby po deszczu populiści, tchórze i karierowicze, nieudolnie

przysłaniający oportunizm i żądzę władzy listkiem z parodii patriotyzmu i katolicyzmu.

A więc banalnie i po prostu: ludzie wolni każdego dnia przypominają Polakom, że można i warto być niezależnym i odważnym, stanowiąc bolesny dla PiS-u kontrast z zawodowymi działaczami, którzy obok odwagi cywilnej i wierności wyższym wartościom nigdy nawet nie przechodzili.

Wolność musi dziś jednak walczyć o przetrwanie także z innych, ważniejszych powodów: jest jedynym realnym zagrożeniem dla rządu i zachłanności PiS-u. Jarosław Kaczyński nigdy tego nie przyzna, ale dobrze rozumie, że jeśli nam jej nie zabierze, szybko straci władzę. Nikt lepiej od prezesa PiS-u, zakompleksionego na punkcie własnej skromnej działalności opozycyjnej, nie wie, jak cudze męstwo mocno inspiruje bliźnich, jak cudza odwaga daje do myślenia. Tak jak nikt nie wie lepiej od byłego prokuratora Stanisława Piotrowicza, jak zaraźliwa jest wolność i jak trudno ją sobie wybić z głowy, gdy już się jej, często idąc za cudzym przykładem, zapragnie. Dlatego obaj: mózg i usta PiS-owskiej operacji pozbawiania Polski wolności, boją się jej jak zarazy i jak zarazę chcą ją wytępić. I dlatego w walce z nią, oprócz zakazywania, próbują poniżać i obśmiewać, bo dobrze wiedzą, że oprócz otwartej wojny to właśnie drwina, umniejszenie i oczernianie są zawsze najskuteczniejszą bronią.

I to jest odpowiedź na pytanie zadawane z oburzeniem w mediach przez wiele dni: jak mogli działacze PiS-u na odbywający się w Warszawie Nadzwyczajny Kongres Sędziów i sformułowaną przez nich mocną tezę o zagrożeniu totalitaryzmem zareagować kpiną i pogardą: ot, wolność to głupstwo, niepotrzebny drobiazg, a walka o nią to przejaw pieniactwa, a wręcz niezrównoważenia? Ano mogli, bo te

wszystkie protekcjonalne połajanki: „Nikt nie chce słuchać o Trybunale", „Trybunał jest dziesiąty na liście tematów, które obchodzą Polaków" służą wytworzeniu w Polakach przekonania, że wolność jest im niepotrzebna, że się nie liczy, że jest tylko niepoważną przeszkodą na drodze do silnego państwa.

Musimy jednak pamiętać o jednym: choć PiS bardzo próbuje nas przekonać, że lekceważy wolność i nią gardzi, prawda jest zupełnie inna. PiS śmiertelnie boi się naszej wolności, nic nie przeraża PiS-u tak jak ona. Ulubione przez lata zawołanie sympatyków tej partii „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie" to czysta propaganda, bez pokrycia w faktach. W ojczyźnie prawdziwie wolnej los populistów i nacjonalistów był przecież nie do pozazdroszczenia: przegrywali wybory niemal przez dekadę i przepadliby z kretesem, gdyby nie katastrofa smoleńska, która politycznie uratowała im skórę. Dlatego wiedzą, że w świecie wolnych, ciekawych świata i nieskrępowanych w krytykowaniu władzy ludzi kłamstwa wyczuwa się z kilometra, a głupota i nieodpowiedzialność polityka przekreślają jego karierę. Pamiętają, że wobec wolnych ludzi nie można przyjmować protekcjonalnego tonu ani łamać prawa, na wolnych ludzi nie działa w końcu ordynarny szantaż.

Prawda jest taka, że nasz rozwój, nasza odwaga i wolność w końcu unicestwią PiS. Sprawią, że lenie, kłamcy, pozoranci, populiści, krzykacze bez dokonań i ogłady, fanatycy, szaleńcy, przemocowcy i aroganci, nie tylko zresztą z tej partii, ale wszelkiego rodzaju, stracą rację bytu. Dlatego musimy zażarcie i do końca walczyć z PiS-em o naszą wolność, bo dla nas, tak jak dla niego, to walka o przetrwanie.

Prawda

Problem polega na tym, że nie istnieje cała prawda, nasza prawda, wasza prawda, zła prawda, dobra prawda, prawda lewicowa i prawda prawicowa. Nie istnieje też prawda rządu i prawda opozycji, ani nawet – wbrew temu, co mówił klasyk – prawda czasu i prawda ekranu. Prawda jest po prostu taką sobie skromną prawdą, która – no właśnie – po prostu jest i – znów po prostu – siedząc sobie spokojnie w kąciku, trwa. Prawda nie krzyczy, że jest prawdą, i nie przekonuje nikogo o swojej słuszności, nie woła i nie atakuje agresywnie, nawet tych, którzy twierdzą, że prawdą nie jest. Ona po prostu ma to w nosie. Jest jaka jest i ten, kto potrafi ją dostrzec (a jest to wielka umiejętność), widzi. Reszta mówi o swoich wyobrażeniach na temat prawdy, o swoich projekcjach i chciejstwach. Tyle że prawda ma to gdzieś. Bo wie, że wszystko przeminie, a ona pozostanie, niezmieniona. I będzie trwać, i będzie sobą. Cichą, skromną, nagą i najprawdziwszą prawdą.

Daliśmy sejmowym małpom brzytwy, to mamy

Artykuł pisany na początku sierpnia 2015 roku, tuż przed końcem VII kadencji Sejmu.

Wiecie jak rasiści uzasadniali niewolnictwo? Mówili, że to z troski o niewolników. Że czarnoskórzy są umysłowo na poziomie dzieci, że dla ich własnego dobra należy decydować za nich. Dziś politycy, wspierani przez Kościół katolicki, uważają, że należy decydować za kobiety i mężczyzn o ich życiu, ciałach, prokreacji, seksualności i wyborach, i dla niepoznaki nazywają dyskusję o tym sporami światopoglądowymi. Robią to, sami stojąc ponad prawem (immunitet na przestępstwa i wykroczenia) i tworząc kasty innych prawu niepodlegających (księża niepłacący niektórych podatków). Dziś posłowie zdecydowali, że „nie chce im się gadać" o milionach Polaków żyjących w nieformalnych związkach. Zrobili to, bo mogą. To my daliśmy sejmowym małpom te brzytwy, którymi teraz krojà nas na kawałki.

Bo tak naprawdę nie istnieją i nigdy nie istniały sprawy nazywane przez wielu pogardliwie światopoglądowymi. Pogląd to można mieć na temat wyższości dżemu truskawkowego nad wiśniowym, a nie na temat ludzkiej wolności, godności i możliwości decydowania o sobie. To są nasze niezbywalne prawa, których nikt nie może nam odebrać, a nie żaden światopogląd.

Regulacje prawne dotyczące aborcji, związków partnerskich, *in vitro*, małżeństw homoseksualnych to być albo nie być społeczeństwa obywatelskiego. To kwestia wartości, jakie wyznajemy i jakie za pomocą prawa, ustaw wdrażamy w życie.

Odpowiedzcie sobie na fundamentalne pytania: czy wierzycie, że jesteście wolni i macie prawo decydować o sobie? Czy wierzycie, że tylko wy możecie i powinniście decydować, jak i z kim macie żyć? Czy chcecie dążyć do szczęścia w sposób, który uznajecie za słuszny? Czy też zrzekacie się tych praw, dając politykom prawo do dzielenia ludzi na lepszych i gorszych, tych z pełnią praw człowieka (katolików, małżonków) i społeczne odrzuty (geje, lesbijki, feministki, ateiści, ludzie innych wyznań niż katolickie, żyjący w związkach partnerskich)?

Bo to właśnie oznacza pozwolenie, by politycy zakazywali: aborcji, związków partnerskich czy *in vitro*. (Uważacie że już macie *in vitro*? To poczekajcie, aż PiS dojdzie do władzy). To dokładnie znaczy dzisiejsza decyzja Sejmu, by odłożyć sprawę związków partnerskich na później.

Protestujcie przeciw takim posłom, politykom, liderom opinii ze wszystkich sił, na Facebooku, Twitterze, blogach, w listach otwartych i przy urnach wyborczych. Nie głosujcie na nich i obnażajcie publicznie ich totalitarne zapędy, bo jeśli dziś zgodzimy się dać im władzę dzielenia ludzi na lepszych

i gorszych, to później nie będziemy mieli prawa narzekać, że w takim świecie pełnym nienawiści i pogardy przyszło nam żyć.

I jeszcze jedno: nie dajcie się nabrać na obłudną retorykę troski o rodzinę i społeczeństwo. Gdyby przeciwnikom aborcji chodziło o szacunek dla życia, nie mogliby równocześnie być zwolennikami kary śmierci – to logiczne. Gdyby chodziło im o dobro dzieci, nie głosowaliby i nie agitowali przeciw procedurze *in vitro*, bo to właśnie ona umożliwia poczęcie. Gdyby wrzeszczącym z nienawiści ludziom, którzy wyznaniem katolickim posługują się jak bronią i narzędziem do moralnego szantażu, chodziło o dobro rodziny, poparliby związki partnerskie – bo rodzina to osoby, które łączy miłość, wzajemna troska o swoje dobro, więzi psychiczne, ekonomiczne i życiowe i szacunek. Gdyby chodziło im o dobro kobiet, nie blokowaliby rozwiązań pomagających ofiarom przemocy. Gdyby byli dobrymi ludźmi, nie używaliby języka nienawiści.

Wszyscy jesteśmy priorytetowi. Wszyscy jesteśmy ważni

Nie potrafię (już nie) spokojnie słuchać zapewnień Beaty Szydło o tym, że rolnictwo jest priorytetową dziedziną (jakby nauczyciele, policjanci, górnicy, urzędnicy, robotnicy i inni byli mniej priorytetowi), tak jak nie mogę słuchać, jak Platforma Obywatelska, a wcześniej SLD, mówi o pracy i lepszym życiu dla młodych (jakby starsi mieli mniejsze prawo do pracy i godnego życia). Chcę polityków, liderów, którzy rozumieją, że w Polsce wszyscy jesteśmy priorytetem. Wszyscy. Bo to jest nasz kraj, kraj, w którym żyjemy, kochamy, zakładamy, rodziny, spełniamy marzenia. Wszyscy: rolnicy, górnicy, związkowcy, dziennikarze, bankierzy, nauczyciele, katolicy, ateiści, kobiety i mężczyźni, większości i mniejszości – mamy swoje finanse, potrzeby, lęki, rozterki i marzenia. Wszyscy jesteśmy tak samo ważni. Ani mniej, ani więcej. Dokładnie tak samo. Każdy z nas jest cegiełką, bez której Polska się rozpadnie. Nie ma miejsca na priorytetowe grupy i zawody, nie ma miejsca na lepszych i gorszych. Takie mówienie to zwykły brak szacunku.

Czas na polityków, którzy zamiast o tym, jak szczuć jedne grupy społeczne na inne, pomyślą, jak razem popracować nad dobrymi ramami życia dla wszystkich Polaków, bez względu na ich zawód, dochody, płeć, orientację, rasę, wyznanie i wszystkie inne różnice, jakie tylko możecie sobie wyobrazić.

Beata Szydło czy Andrzej Duda, podobnie jak Ewa Kopacz czy Leszek Miller, Ryszard Petru czy Paweł Kukiz, nie muszą mi mówić, kto jest w Polsce aktorem głównej roli, a kto mistrzem drugiego planu. Czyj zawód i przekonania są priorytetem, a czyje się nie liczą. Nie muszą mi w ogóle niczego mówić, oceniać, podawać na tacy moralności czy wartości, bo – po pierwsze – mam swój rozum i serce tak samo ważne jak ich rozum i serce i – po drugie – nie od tego są. Nie na tym polega ich praca.

Ta pogarda musi się skończyć. Wszyscy jesteśmy tak samo ważni. Bo życie – jak gospodarka, budżet, rodzina, religia i wszystko inne – jest złożonym systemem powiązań, w którym wszystko wpływa na wszystko. Ludzie nie tworzą oderwanych, odrębnych grup, które powinny odgradzać się od siebie i dbać wyłącznie o swoje interesy. Takie myślenie serwują politycy, którzy chcą nas przekształcić w sieć konkurujących ze sobą wilczych plemion po to, żeby naszą wzajemną nienawiść, umiejętnie podsycaną, wykorzystywać później do zdobywania głosów.

Jednak kiedy przystaniemy na chwilę, wyłączymy telewizory i dobrze się zastanowimy, to zrozumiemy, że w prawdziwym życiu, na najbardziej podstawowym poziomie, wszyscy zależymy od wszystkich: nauczyciel od dziennikarza, dziennikarz od rolnika, rolnik od górnika, górnik od przedsiębiorcy, przedsiębiorca od urzędnika, urzędnik od lekarza, lekarz od prawnika, prawnik od piekarza, piekarz od

drogowca… Mogłabym wymieniać w nieskończoność. Nasz prawdziwy, wspólny, polski interes polega na zrozumieniu tego i dostrzeżeniu w tym wspaniałej szansy.

Nie jesteśmy dla siebie nawzajem konkurencją. Jesteśmy szansą i możliwością. Jesteśmy różnymi ludźmi i właśnie dlatego, tylko dlatego, jedynym tematem kampanii wyborczej prowadzonej przez mądrych polityków teraz i zawsze powinno być: Jak wykorzystać te wszystkie wspaniałe grupy społeczne, umiejętności, temperamenty i różne punkty widzenia do wypracowania Polski, w której będziemy czuć się fantastycznie, zarabiać i dobrze żyć, bez względu na osobiste gusta, poglądy, orientację, płeć czy wyznanie? Jak popracować razem nad projektem „Polska”? Jakie ramy zbudować, byśmy mogli w tej Polsce, każdy na swój własny sposób, dążyć do szczęścia i realizować wolności, a także prawa i obowiązki?

Chcę polityków, którzy to rozumieją. Rozumieją, że wszyscy zależymy od wszystkich. Że wszyscy jesteśmy tak samo ważni, tak samo priorytetowi. Że w naszym interesie nie jest walczyć ze sobą, ale współpracować.

Nie chcę więcej dzielenia i szczucia. Hierarchii. Kategorii ważności i przydatności. Certyfikatów dawanych przez posłów i senatorów, którzy żerują na nienawiści, którą sami tworzą, po to właśnie, by na niej skorzystać.

Polemizujmy ze sobą z szacunkiem, spierajmy się z pasją, toczmy ze sobą spory ideowe, wymieniajmy opinie i poglądy – po coś. Niech to będzie sposób, żeby stworzyć lepsze jutro, lepszą rzeczywistość, a nie dokopać innemu, mniej priorytetowemu, rządzić nim i kontrolować. Ta droga jest drogą do upadku.

Ten ma rację, kto mocniej bije

Ten tekst powstał w 2013 roku, dwa lata przed wygraniem wyborów przez PiS. Niesamowite było przeczytać go i przekonać się, że to wszystko równie dobrze mogłabym napisać dziś. Jak widać, PiS jest partią, w której strukturę i metody działania przemoc jest po prostu wpisana.

Po awanturze na Uniwersytecie Warszawskim w 2013 roku Mariusz Błaszczak powiedział: „Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę, a profesor Magdalena Środa, której próbowano uniemożliwić wygłoszenie wykładu, ma poglądy nawet nie lewicowe, tylko lewackie". Czytaj: sama się prosiła. Już wtedy nie był to pierwszy raz, kiedy prominentny polityk partii narodowosocjalistycznej wspierał łamiące prawo grupy marginesu społecznego: chuliganów, kiboli, bojówki narodowe i faszyzujące czy radykalnych i agresywnych zwolenników Radia Maryja.

W świecie Prawa i Sprawiedliwości wartością jest przemoc, a argumentem – pięść. Przekaz płynący z jego wypowiedzi jest jasny: ten ma rację, kto mocniej bije. Nie miejmy złudzeń: to było wyrażone wprost przyzwolenie PiS-u na stosowanie przemocy wobec przeciwników ideologicznych i politycznych.

Dobra wiadomość jest taka, że, paradoksalnie, przemocy używają ludzie słabi, więc im bardziej PiS wspiera stosowanie agresji, tym większą słabość tej partii to oznacza.

Wymówka (często dziś zresztą powtarzana w różnych wariantach i okolicznościach przez PiS): mają prawo bić, bo ktoś im na coś nie pozwolił (Uniwersytet nie zezwolił na wiec narodowców), jest tym właśnie – marną wymówką, pozbawioną merytorycznej wartości. Uniwersytety na całym świecie cieszą się autonomią, tak jak w demokratycznych społeczeństwach autonomią cieszą się ludzie, i tę właśnie autonomię cały cywilizowany świat uznaje za wartość.

Mówiąc co innego, politycy PiS-u świadomie mijają się z prawdą. Co oczywiście – i to także powinno dawać wyborcom do myślenia – nikogo już nie dziwi.

KUKIZ, POLITYK, JAKICH WIELU

Ten tekst powstał przed wyborami parlamentarnymi, w kwietniu 2015 roku. I podobnie jak w przypadku poprzedniego artykułu, dziś podpisuję się pod każdym jego słowem.

Paweł Kukiz nie jest żadnym politykiem antysystemowym. Jest niedouczony, agresywny, pełen wyższości, przekonany, że pozjadał wszystkie rozumy i nikogo nie musi słuchać, ma zestaw gotowych, niezmiennych bez względu na okoliczności recept na wszystko, pełen pogardy dla ludzi inaczej myślących. Jednym słowem, jest dokładnie taki sam, jak większość polityków, których krytykuje.

Wysłuchałam Pawła Kukiza w Polsat News. Długa rozmowa, na którą trafiłam przypadkiem, na tyle ciekawa, że odłożyłam wszystko, co robiłam, usiadłam i zaczęłam słuchać. Mimo że nie jest kandydatem z mojej bajki, cenię go za konsekwencję w promowaniu idei okręgów jednomandatowych i pasję, z jaką to robi. Podeszłam więc do tego, co mówił, z życzliwością i bez uprzedzeń. Usłyszałam, że kampanię prowadzi głównie we wsiach i małych miasteczkach, w Polsce regionalnej, która niesłusznie nazywana jest „Polską B", bo jego zdaniem, to jest

właśnie „Polska A” – taka, w której nie zatraciło się poczucie polskości, tożsamości, wiary i honoru.

Mówił długo, a przekaz był jasny: wy, ludzie z dużych miast, poza tym klasa średnia, inteligencja i wolne zawody, kosmopolici, ateiści, buddyści, lesbijki, geje, trans i single – jesteście ludźmi gorszej kategorii. Nie jesteście prawdziwymi Polakami, ten kraj nie jest dla was, nikogo tu nie reprezentujecie.

Paweł Kukiz to nie żaden odnowiciel. To kolejny polityk, jak szereg przed nim i zapewne wielu po nim, któremu się wydaje, że może żyć, decydować, oceniać i wybierać (także w kwestiach religijnych, moralnych, etycznych, sposobu życia) za nas. Bo wie lepiej. Bo posiadł przepis na polski patriotyzm, polską polskość i polską tożsamość. I polską rację. Nie tylko stanu.

Antysystemowości tu nie ma za grosz, nie ma też wiedzy i pokory. Jest za to kupa złego wychowania i dużego mniemania o sobie.

WYBORY STRACHU

Zwycięstwo populistycznej prawicy to nie jest efekt gniewu młodych, ale ich strachu, ich przerażenia brakiem perspektyw. I podobnych lęków ich rodziców, przenoszonych na własne dzieci. Zaś jedyną obroną przed populistami nie jest walka z nimi, bojkotowanie ich w mediach, wyśmiewanie czy wyzywanie ludzi, którzy na nich głosują, od głupków. Przed populizmem, w prawdziwy i trwały sposób, może obronić nas jedynie władza nastawiona na wysłuchanie i zrozumienie głosu własnego społeczeństwa, jego potrzeb i najgłębszych lęków.

Zwycięstwo wyborcze ludzi nazywanych przez elity intelektualne oszołomami – bo wliczając PiS, takie partie dostały ponad czterdzieści pięć procent poparcia – nie jest, jak chce wielu publicystów, efektem gniewu młodych. Jest efektem ich strachu.

Wszystko to: i wybór populistycznej prawicy, i wrzaski „patriotycznej" młodzieży, i pełne agresji zakłócanie wykładów działaczy lewicy, i oskarżanie elit o zdradę, podszyte jest strachem, z którego być może oni sami nie zdają sobie sprawy.

Przerażeniem, że bez radykalnej zmiany nie zdołają ułożyć sobie normalnie życia, nie zdołają nawet na to życie zarobić.

Widzą, że z powodów, których nie rozumieją, nie należą do środowiska nazywanego przez ich rodziców nienawistnie „salonem", i widzą, że należeć do niego nie mają szans. Czują się przegrani i już na starcie pozbawieni perspektyw, i szukają sposobów, żeby to swoje kiepskie życie zamienić na lepsze. Nie są wykształceni, a nawet jeśli – przekonania nie pozwalają im dostrzec faktów, nie rozumieją więc procesów dziejowych, których są ofiarami, nie widzą swojego miejsca w świecie w szerszym – historycznym, socjologicznym, gospodarczym kontekście. I – powtórzę to po raz kolejny – bardzo się boją. Zaś ich coraz większa frustracja rodzi coraz większą agresję.

Dlatego wysiłki mediów powinny być skupione nie na szokujących wypowiedziach takich czy innych populistów, ale na działaniach ludzi władzy, na tym, jak służą społeczeństwu i jak wypełniają powierzone sobie zadania, jak wydają publiczne pieniądze, czy pracują zgodnie z planem, rzetelnie i rozsądnie, czy to, co robią, służy – i w jaki sposób służy – wspólnemu dobru.

Jeśli po tych wyborach czegoś się boję, to nie Janusza Korwin-Mikkego, Jarosława Kaczyńskiego, Jarosława Gowina czy Marka Jurka. Boję się, bo nie widzę żadnej grupy polityków gotowych zadać sobie trud zaspokajania prawdziwych potrzeb ludzkich, a przede wszystkim, stwarzania takiego otoczenia, w którym ludzie te potrzeby będą mogli zaspokajać sobie sami – jeśli tylko zechcą pracować i dążyć do szczęścia w sposób, jaki sami uznają za najwłaściwszy.

Uchodźcy

Problem uchodźców skupia jak w soczewce przede wszystkim kłopoty, jakie my, Polacy, mamy ze sobą. Dlatego przyjmowanie uchodźców musimy symbolicznie i praktycznie zacząć od siebie. Jak bowiem mamy przyjąć pod dach obcych, skoro siebie samych, Polacy Polaków, nie potrafimy przyjąć – z naszymi lękami, fobiami, wątpliwościami i odmiennymi punktami widzenia. Jak mamy znaleźć rozwiązanie problemu strachu przed fundamentalizmem islamskim, skoro tu, w Polsce, hodujemy najgorszy z możliwych fundamentalizmów: postawy skrajne, posunięte do absurdu i absolutny brak świadomości, że na jedną sprawę może istnieć wiele (tak!) równoprawnych punktów widzenia.

Wyznawcy islamu budzą moje wątpliwości w co najmniej dwóch obszarach: wolności słowa i praw kobiet, podobnie jak w tych sprawach moje poważne wątpliwości budzą rodzimi fundamentaliści i fanatycy katoliccy.

Często jestem pytana o uchodźców, więc odpowiadam: ludziom, których życie jest zagrożone, trzeba pomagać, ale z głową, przeprowadzając wcześniej odpowiednią weryfikację i mając na to dobry plan.

Kwestia przyjmowania uchodźców bardzo nas, Polaków, dzieli, głównie dlatego, że zaciekle starają się o to politycy, którzy na naszej niezgodzie zbijają swój kapitał. Sądzę, że ponad ich głowami my, tak przeciwnicy, jak i zwolennicy przyjmowania uchodźców, powinniśmy wreszcie zacząć naprawdę ze sobą rozmawiać i naprawdę się wzajemnie słuchać. Polska to przecież nasz wspólny dom i musimy go urządzić znośnie dla nas wszystkich, niezależnie od wyznawanych opinii, poglądów, wierzeń, płci wieku i wszystkich innych różnic. Także niezależnie od tego, która partia akurat wygrała wybory.

Grzechem lewej strony jest wyzywanie przeciwników przyjmowania uchodźców od rasistów, zamiast podejmowania trudu wysłuchania ich, zrozumienia ich lęków i obaw (bo przecież agresja zawsze wypływa z lęku), wytłumaczenia lub pokazania – ale spokojnie i z szacunkiem – dlaczego mogą się mylić. Taka postawa rzecz jasna prowadzi tylko do eskalacji polsko-polskiej przemocy.

Oczywiście prawica jest równie nierozumna, lżąc wszystkich, którzy chcą przyjmować uchodźców, od „lewaków" i „pożytecznych idiotów", kompletnie nie słuchając tego, co się do nich mówi, aż niejeden liberalny polityk i publicysta traci cierpliwość i macha ręką, mówiąc: „Ależ, na miłość boską, czegóż wymagać od zwolenników teorii spiskowych, przekonanych, że w Smoleńsku był zamach!".

Obie drogi prowadzą donikąd. Wymagajmy od siebie, skoro tak się wysoko cenimy i chwalimy własną tolerancję, uznając zasadę, że komu więcej dano, od tego więcej się wymaga (gdyby ktoś nie odczytał: tak, jest w tym spora dawka autoironii). Zamknijmy się czasem i wysłuchajmy, zamiast upajać się własnym głosem i mądrością.

Przemówienie Szydło w Sejmie

Premierka Szydło w Sejmie [29 grudnia 2015 roku – przyp. EM]: „Cała Polska wymaga naprawy". Szczerze mówiąc, mam już serdecznie dość tej PiS-owskiej, prostacko-infantylnej gwary rodem z podrzędnego warsztatu samochodowego, w którym mechanik wmawia ci, że musisz naprawić lub wymienić wszystko, żeby wyciągnąć z ciebie jak najwięcej kasy. A ty drapiesz się w głowę i nie rozumiesz, o co chodzi, bo przecież zajechałeś do niego nowiutkim autem…

Szydło mówi dokładnie tak jak wszyscy naciągacze i oszuści, i nie ufam jej dokładnie tak samo jak im. Polska jest normalnym, demokratycznym krajem, z ogromnym dorobkiem w wielu dziedzinach. Nie jest zepsutą zabawką, którą trzeba naprawić, nie jest państwem złodziei i układów. Jedyne, czego potrzebuje Polska, to mądre przywództwo i spokojny zrównoważony rozwój. Oraz wywiezienia na wyborczej taczce populistów, którzy dla kilku czy kilkunastu tysięcy marnych stołków i żenujących posadek dla swoich totumfackich, co to bez protekcji nigdy nie zdobyliby porządnej, dobrze płatnej pracy, obrócą ją w perzynę.

Nowy rząd na szkodę Polski

Tekst powstał zaraz po wyborach, jesienią 2015 roku.

Mam spore wątpliwości, czy powierzenie Antoniemu Macierewiczowi, Mariuszowi Kamińskiemu i Zbigniewowi Ziobrze (dołożyłabym do tego również Witolda Waszczykowskiego) stanowisk państwowych powinno budzić – a tak się właśnie dzieje – nasze oburzenie ze względów moralnych. Sądzę, że powinniśmy się raczej (my, media, liderki i liderzy opinii) zainteresować, jak te niebezpieczne i nieodpowiedzialne nominacje wpłyną na bezpieczeństwo państwa i interesy Polski w kraju i poza jego granicami. Bo co do tego, że wpłyną i wpłyną źle, trudno mieć wątpliwości.

Śmieszność, utrata wiarygodności i twarzy, zaufania wyborców i robienie przez polityków PiS-u z gęby cholewy to teraz naprawdę najmniejszy problem – choć, przyznaję, nader wdzięczny do komentowania i robienia sobie żartów (takich z gatunku czarnego humoru).

I można by się nawet pocieszyć, że plusem ogłoszonych dziś nominacji jest brak ministerstwa do spraw religii, moralności i świętości rodziny – kabarety z pewnością pod rządami tej

ekipy odżyją. I śmiałabym się do rozpuku, gdyby nie fakt, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Wygląda na to, że 25 października złożyliśmy swój los w ręce ludzi, którzy naprawdę sądzą, że w samym środku bardzo trudnej i wymagającej taktu, kompetencji, umiejętności łączenia wielu talentów, w tym negocjacyjnego, sytuacji międzynarodowej, w przededniu olbrzymich zakupów dla wojska, w sytuacji utraty przez wielu obywateli zaufania do własnego państwa (stąd tak wielu nowych posłów), rozwiązaniem mają być:

Zbigniew Czy-pan-wie-kim-ja-jestem Ziobro: mierny prawnik bez osiągnięć, z ukończoną z trudem aplikacją prokuratorską (należącą w Polsce do najmniej wymagających), za to z paroma poważnymi prawniczymi wpadkami na koncie, który ponadto dał się poznać jako mściwy i małostkowy człowiek, skłonny do wydawania wyroków, zanim zrobi to sąd, oczerniania ludzi i wygrażania oponentom politycznym pięścią. Polityk, który o mały włos nie stanął przed Trybunałem Stanu.

Mariusz Kamiński: człowiek skazany wyrokiem sądu – cóż z tego, że jeszcze nieprawomocnym – za rażące nadużywanie władzy i naginanie prawa, lekceważący także teraz wymiar sprawiedliwości i mający w nosie ciążącą na nim odpowiedzialność.

Antoni Macierewicz: człowiek odpowiedzialny za zniszczenie polskiego kontrwywiadu wojskowego, którego odbudowa, zwłaszcza pod kątem siatki agentów, struktur i wiarygodności, zdaniem ekspertów zajmie nawet kilkadziesiąt lat. Człowiek, który naraził życie polskich szpiegów, ujawnił współpracowników służb specjalnych, a niektórych o współpracę z nimi bezpodstawnie pomówił (choć do dziś nie wiem, dlaczego współpraca polskiego obywatela z służbami

jego kraju miałaby być czymś wstydliwym), za co przegrywał procesy sądowe i naraził Skarb Państwa na straty. Człowiek, który, upowszechniając bzdury o katastrofie smoleńskiej, przysłużył się Putinowi tak, że złośliwi mówią, że gdyby Rosjanie mieli mieć agenta w polskim Sejmie, musiałby nim być właśnie Antoni Macierewicz.

I wreszcie Witold Waszczykowski: dyplomata, który zdradził prasie kulisy tajnych negocjacji swojego kraju z USA w sprawie rozmieszczenia w Polsce elementów tarczy antyrakietowej, za co ABW odebrała mu certyfikat dostępu do informacji niejawnych, i zrobił to z najniższych możliwych pobudek: żeby dokopać szefowi, którego nie lubił, ministrowi spraw zagranicznych Radosławowi Sikorskiemu. Naraził na szwank interesy ojczyzny, żeby osiągnąć swoje osobiste małe cele, co w każdym kraju dyskwalifikuje dożywotnio z służby (bo to jest służba) w dyplomacji. Ten człowiek w Polsce będzie teraz nie pracownikiem, lecz szefem dyplomacji. Nasi zagraniczni partnerzy z pewnością się ucieszą i obdarzą go olbrzymim zaufaniem.

Myślę, że wszystkie służby specjalne obcych państw, śledzące w ramach białego wywiadu doniesienia medialne z Polski, zachodzą w głowę: o co chodzi z tymi nominacjami? Zapewne wietrzą jakiś makiaweliczny plan i podstęp, bo nikomu w miarę zorientowanemu do głowy przecież nie przyjdzie, że można być – zwyczajnie i po prostu – tak nieodpowiedzialnym lub szalonym i działać na szkodę własnego kraju.

PS Pisałam ten tekst zaraz po wygraniu przez PiS wyborów parlamentarnych w 2015 roku. Jakże śmieszne dziś, z perspektywy tysięcy Misiewiczów i Piotrowiczów, zawłaszczania państwa na niespotykaną dotąd skalę, wydaje się mnie samej oburzenie z powodu zatrudnienia kilku „zaledwie" zaufanych kolegów prezesa bez kompetencji na najważniejszych państwowych

stanowiskach. Mechanizm, który opisuję w tym tekście, pozostał bez zmian. Tyle że przybrał rozmiary niespotykanej w historii Polski korupcji politycznej.

24. urodziny Radia Maryja

„Ręka podniesiona na Kościół to ręka podniesiona na Polskę” – powiedział Jarosław Kaczyński na urodzinach Radia Maryja. Uświadomiłam sobie, że już lata całe nie słyszałam wypowiedzi tego pana, która by nie była retoryką wojenną, atakiem na kogoś lub coś, groźbą, szantażem moralnym, pomówieniem lub plugastwem, kłamstwem, insynuacją albo wyrazem pogardy. W najlepszym razie – policzkiem dla mojej inteligencji.

KATASTROFA SMOLEŃSKA

Żadna asysta honorowa i nasilenie narodowej propagandy nie sprawi, że zacznę widzieć katastrofę smoleńską inaczej niż przerażający i tragiczny w skutkach efekt piramidalnej głupoty kilku polityków i wojskowych, pogardy dla procedur i przepisów, arogancji władzy i fałszywego przekonania o własnej wszechmocy. Żaden zagłuszający swoje wyrzuty sumienia i tchórzostwo polityk nie przekona mnie, że mam czcić rocznicę, miesięcznicę czy tygodnicę niewyobrażalnej niekompetencji i manii wielkości, połączenia buty z ignorancją – mieszankę zabójczą, ale stale goszczącą, a ostatnio nawet bardzo nasiloną, w polskiej polityce.

Współczuję polityczkom i politykom, działaczom społecznym i prawdziwym propaństwowcom, tym wszystkim niewinnym, którzy znaleźli się w samolocie lecącym do Smoleńska przypadkowo, i nie mając żadnego wpływu na bieg wydarzeń, ponieśli ich straszliwe konsekwencje. Z ich tragicznej śmierci płynie jednak tylko jedna uniwersalna nauka, o której pisał już siedemnastowieczny filozof Baltasar Gracian – a przed nim i po nim wielu innych – żeby nigdy w żaden sposób nie zadawać się z głupcami i ignorantami, niezależnie od ich rangi

i zajmowanego stanowiska, bo przystawanie z nimi zawsze kończy się tragicznie, a długofalowe skutki ich bezmyślności zawsze w sposób nieprzewidywalny i gwałtowny dotykają nieszczęśników, którzy im zaufali lub zbagatelizowali ich głupotę.

Konstytucja

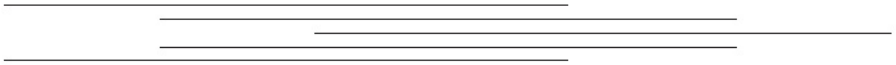

Zdaniem głównych polityków opozycji łamanie prawa i Konstytucji to za mało, by mówić o putinizacji Polski. Jeśli tak, to pokażcie mi dom, który stoi niewzruszony, gdy runęły jego fundamenty.

Profesor Rzepliński

Na profesora Rzeplińskiego odbywa się właśnie polowanie z nagonką. Nie chodzi o to, że profesor musi podobać się wszystkim. Nie musi. Ja także nie przepadam za jego zaangażowaniem w sprawy kościelne i za paroma orzeczeniami, pod którymi się podpisał. Rzecz jednak nie w tym, że analizowana jest sędziowska działalność profesora, tylko w tym, jak ta dyskusja się odbywa, i w tym, że analizowana jest nie tylko ta działalność, ale on sam, jako człowiek. Poddaje się dyskusji jego charakter, moralność, osobowość, pobudki i człowieczeństwo. Przedmiotem Kafkowskich rozważań jest człowiek – a może już nie człowiek, może po prostu wróg narodu – Rzepliński.

Właściwie słowo dyskusja jest tu sporym nadużyciem, bo rzecz w tym, że żadna prawdziwa dyskusja się nie odbywa, choć powinna. Nie odbywa się rozmowa, w której sędzia Rzepliński może się wypowiedzieć i obronić, odeprzeć argumenty PiS-u i przedstawić własne. Jako sędziemu – i o tym ci, którzy go atakują, wiedzą bardzo dobrze – nie wolno mu się wypowiadać we własnej sprawie, nie wolno odpowiadać na najbardziej nawet nieprawdziwe i nikczemne,

bo podyktowane złą wolą, zarzuty. Cokolwiek powie, obróci się przeciwko niemu. Musi więc milczeć w obliczu zajadłych obelg, musi bezczynnie patrzeć, jak jego wieloletnia praca i dorobek życia, reputacja, obracają w pył, jak ludzie wielokrotnie przyłapani na kłamstwach – ba, tacy, których przyłapywać już nawet nie trzeba, bo kłamią, nie wstydząc się tego wcale, jawnie i bezczelnie, śmiało patrząc oszukiwanym w oczy, ludzie nadużywający w przeszłości prawa, swoich uprawnień, którzy sami, dzięki niezgułowatości innych polityków, wywinęli się od odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu, ludzie, o których już dziś najwięksi znawcy prawa mówią „konstytucyjni przestępcy" – wystawiają mu oceny ze sprawowania i moralności. Patrzcie uważnie, bo po profesorze Rzeplińskim przyjdzie kolej na innych. Na naszych oczach uruchomił się sprawny propagandowy mechanizm niszczenia ludzi. Sądzę, że zabicie – w sensie śmierci cywilnej – prof. Rzeplińskiego to ledwo początek obłąkanego projektu „wymiany elit", a właściwie ich zniszczenia, bo tylko elity mogą stanąć na drodze projektowi V RP.

Ten artykuł napisałam, jak się pewnie Państwo domyślacie, w czasie przegranej niestety przez Polskę wojny z PiS-em o Trybunał Konstytucyjny. Jest ciągle aktualny, bo za rządów PiS-u nagonki na ludzi, polegające na dyskredytowaniu ich bez najmniejszych dowodów (a nawet gdy istnieją dowody, że jest wprost przeciwnie), poniżaniu i oczernianiu, stały się niestety normalnym sposobem walki. Władza posuwa się nawet do tego, że różnicę zdań, odmienną opinię o swoich poczynaniach przedstawia jako… dowód braku patriotyzmu.

Polska po PiS-ie

Szanowni Państwo, sama należę do najzagorzalszych i głośnych krytyczek obecnej i każdej populistycznej i autorytarnej władzy. Trudno stać poza polsko-polską wojną, bo pisanie i mówienie o tym, co się dzieje, demaskowanie kłamstw i wyciąganie na światło dzienne ciemnych sprawek polityków jest konieczne. Ujawnianie prawdziwych mechanizmów rządzenia jest zresztą nie tylko robotą dziennikarską, ale także – zwyczajnie – społecznym wentylem bezpieczeństwa. Nazywanie rzeczy po imieniu pozwala przecież zrozumieć rzeczywistość, w której się żyje, i znaleźć język do jej opisania. Głośny zaś sprzeciw lub śmiech (całkiem niezła broń na tyranów!) daje ujście nagromadzonym w ludziach emocjom.

A jednak, w samym środku tej naszej narodowej krwawej jatki, tak słusznej przecież walki o prawdę, krytykowania, a czasem opluwania jedni drugich (bo już jesteśmy „my" i „oni", zauważyliście?), nachodzi mnie coraz częściej taka myśl, że przecież, w gruncie rzeczy, wszyscy gramy do jednej bramki. Wszyscy – i feministki, i najbardziej moherowe z moherowych beretów, geje i hetero, kobiety i mężczyźni,

księża i posłowie, nauczyciele, urzędnicy, górnicy, murarze, szpiedzy, starzy, młodzi – wszyscy! potrzebujemy tej naszej Polski. To jedyny dom, jaki mamy, innego nie będzie. Nie wiem, w jaki sposób przerwać to błędne koło nienawiści, zakasać rękawy i nauczyć się normalnie kłócić i debatować – nie tak, żeby zatłuc przeciwnika, ale żeby wspólnie dojść do najlepszego rozwiązania. Żeby nie tylko wytykać drugim błędy, ale wyciągać z nich wnioski na przyszłość, a dostrzeżone nieprawidłowości nie tylko krytykować i za nie karać, ale także naprawiać spokojnie to, co zepsuły. Jak uciszyć wszechobecne gęganie – niepotrzebne głędzenie, od rana do wieczora wylewające się z telewizorów, radia i Internetu, nierozróżniające rangi spraw i ludzi, ten przerażający obłędny słowotok, tak samo traktujący prawdę i fałsz, fakty i przekonania, sprawy wagi państwowej, jak głupstwa bez znaczenia.

Nie wiem.

Nie wiem więc, jak to wszystko zrobić, ale mam przeświadczenie, przeczucie, że to konieczne. Że jeśli tego nie dokonamy (być może KOD okaże się dobrym początkiem), stracimy coś dużo gorszego, niż nawet Trybunał Konstytucyjny, Prokuraturę czy media publiczne, stracimy ducha i staniemy się zgorzkniałymi nienawistnikami, pełnymi wzajemnych pretensji, zdolnych tylko do osądzania każdego, kto myśli inaczej, bez żadnej umiejętności zbudowania czegoś dobrego i trwałego. Zastanawiam się, także na skutek rozmów z różnymi mądrymi ludźmi (jak Katarzyna Kądziela), jak będzie wyglądała Polska po PiS-ie i co zobaczymy, kiedy przejrzymy się w lustrze następnego dnia po ich przegranej, która, co do tego nie mam wątpliwości, w końcu nastąpi. Bo

coś mi mówi, że jeśli, zapominając na chwilę o PiS-ie, zmian nie zaczniemy wszyscy od siebie, wcale nie będzie tak różowo.

Do elit PiS-u

Elity Prawa i Sprawiedliwości. Wy, ludzie, którzy, parafrazując premiera Węgier, kłamiecie rano, kłamiecie w południe i kłamiecie wieczorem, obrażacie wszystkich myślących inaczej. Po pierwsze dlatego, że nie pojmujecie, co to znaczy myśleć, nie rozumiecie, na czym polega samodzielnie przeprowadzone rozumowanie, zakończone wnioskowaniem (nigdy wcześniej tego nie robiliście i przerasta to wasze możliwości). Po drugie, bo się boicie, a jak słusznie ktoś kiedyś zauważył, fanatycy zawsze skrywają wątpliwości. Gdybyście wierzyli, że macie rację, że czynicie dobrze i sprawiedliwie, nie balibyście się dyskutować, wymieniać argumenty i przekonywać do swojego zdania. Jednak wy wiecie, że wasze czyny są niegodziwe, i sądzicie, że natarczywość i prostactwo odwrócą naszą uwagę od waszej żądzy zysku i władzy, od chciwości i pragnienia, żeby zagarnąć jak najwięcej. Bo wasz pośpiech i niechlujstwo stąd właśnie płyną: z gorączkowego, obsesyjnego pragnienia zagarniania, zagarniania, zagarniania, jak najprędzej, jak najszybciej, jak najwięcej, wszystkiego, co się da, wszystkiego, co możliwe, żeby nikt nie mógł odebrać, nie zdążył się sprzeciwić,

zauważyć. Stąd wściekłość, że jednak zauważają i protestują: media, opozycja, obywatele, zagraniczne instytucje i dziennikarze, organizacje obywatelskie, prawnicy, wpływowi politycy.

Jeszcze jest pan na etapie wściekłości, jeszcze pan nie pojmuje, że wszystkich nas nie zwolnicie, na wszystkich nie naplujecie. Zapomina pan, pośle Żalek, obrażając mnie i inne Polki i Polaków, że przemoc – słowna, psychiczna i instytucjonalna – jest nieodłącznym atrybutem słabeuszy i głupców. Tchórzy. Dlatego sądzę, że jest pan głupcem, słabeuszem i tchórzem. Pan i pańscy niemądrzy koledzy z „elit" PiS-u zaledwie w ciągu kilku pierwszych miesięcy rządów cofnęliście Polskę w rozwoju o co najmniej kilka lat, Jesteście tchórzami, ponieważ wykonujecie polecenia Jarosława Kaczyńskiego, i głupcami, bo to wy, a nie on, poniesiecie konsekwencje łamania prawa i pogardy, którą dziś obdzielacie wszystkich w bezrozumnym triumfalizmie. Czy jest pan świadomy, pośle Żalek, że należy do partii, która naraża zdrowie i życie ludzie mogących umrzeć z powodu smogu, żeby zapłacić Tadeuszowi Rydzykowi za polityczne przysługi? Do partii, która gloryfikuje komunistycznych aparatczyków, takich jak pan Piotrowicz, i pluje ludziom w twarz, pozwalając, by ci aparatczykowie z trybuny sejmowej pouczali o demokracji? Do partii, która niszczy Polskę, pozwalając na wycinkę drzew w Puszczy Białowieskiej? Niszczy służbę cywilną i wszelką przyzwoitość i uczciwość w życiu publicznym. Publiczne media. Do partii, która nie ma oporów i wstydu i wszystko załatwia, używając siły? Do partii wreszcie, która obsadza – ba, kradnie! – stanowiska państwowe dla niekompetentnych swoich?

To my kochamy ten kraj. To my, którzy swoimi podatkami utrzymujemy go i dbamy, żeby się rozwijał, jesteśmy patriotami. Pan i pana koledzy Polskę niszczycie i używacie jak przedmiotu. Dlatego nie ma pan prawa i kwalifikacji, mało tego, swoimi wypowiedziami dowiódł pan nie raz, że nie ma pan dość przyzwoitości i mądrości, żeby wydawać opinie w jakiejkolwiek sprawie, żeby mówić, kto jest, a kto nie jest Polakiem. Nie tacy jak pan będą mi i innym wydawać świadectwa polskości i certyfikaty moralności. Nie jest pan moim posłem, nie jest Pan pan moją elitą, a pańska partia nie jest moją partią.

My, ludzie drugiego sortu

Byliśmy ludźmi drugiego sortu, resortowymi dziećmi, wnukami ubeków, nieprawdziwymi Polakami, a nawet Polakami niemającymi prawa należeć do tego narodu. Teraz dowiaduję się, że jesteśmy agentami Putina. Mówią tak o nas przedstawiciele partii, której Putin postawi kiedyś pomnik, bo nikt jak PiS, najbardziej prorosyjska czy też – jak pisze wprost Sierakowski – rosyjska partia w Polsce, Kremlowi się dotąd nie przysłużył. Pozwólcie, że na tę wyjątkową okoliczność zacytuję wam Orwella. Oto, jak w *Folwarku zwierzęcym* świnie traktowały swoich oponentów: „Każdy śmiałek, który zaatakuje tę panującą ortodoksję, zostaje natychmiast skutecznie uciszony. Jeśli czyjeś poglądy godzą zdecydowanie w obowiązującą ideologię, niemal zawsze stają się one przedmiotem nieuczciwej krytyki i nagonki, już to na łamach prasy popularnej, już to w poważnych periodykach". Dobranoc i powodzenia.

Patriotyzm

Ze słownika: „Szacunek – postawa wobec osób i rzeczy uważanych za wartościowe, cenne, godne podziwu”. A teraz uświadomcie sobie, co niektórzy politycy od lat sądzą o Polsce i Polakach: kondominium, reżim, wszystko do naprawy, kraj w ruinie, zdrajcy, gorszy sort, zomowcy, współpracownicy gestapo.

Mój postulat do prawdziwych patriotów: nie kochajcie ojczyzny. Po prostu zacznijcie ją szanować.

Siedzącym cicho krzywda się nie dzieje

Władza zakomunikowała nam właśnie, że demokratyczne demonstracje przeciw polityce rządu to przestępstwo, za które idzie się do więzienia (choć w zasadzie powinien to być psychiatryk, bo jak mówi Jarosław Kaczyński, protestują głównie upośledzeni) i dała pośrednio – przez wypowiedzi różnych swoich polityków – wskazówkę, jak kary uniknąć: otóż im bardziej władza kłamie, tym bardziej trzeba udawać, że się tego nie widzi. I tak patriotyzm, słowo, które jeszcze niedawno oznaczało miłość do ojczyzny, niepostrzeżenie zaczęło oznaczać już tylko miłość do PiS-u.

Test na patriotyzm stał się bardzo prosty: głośno deklarujesz, że kochasz PiS (w najgorszym wypadku – nie krytykujesz lub krytykujesz, nie krytykując, to znaczy mówisz, że na wszystko, nawet na łamanie Konstytucji i represje polityczne, można spojrzeć z dwóch stron, a wina zawsze leży pośrodku), przyjmujesz bez mrugnięcia okiem kłamstwa na każdy temat, nieprzestrzeganie prawa, zastraszanie, prostactwo, plecenie coraz większych

ekonomicznych, życiowych – i właściwie na każdy temat – bzdur. Jak nie, bądź gotów na to, że władza cię uciszy, wsadzi albo zreedukuje (zgodnie z reformą PiS-u w szkołach ma być więcej historii i religii – bo przecież nauki ścisłe, filozofia i najnowsze technologie szkodzą młodym obywatelom na mózg).

W duchu patriotyzmu, czyli miłości do partii, wychowuje się też młodzież (która, jak wiadomo, jest jej przyszłością, czyli mówiąc wprost – przyszłością narodu). Dla wiecznych rządów partii jest bowiem kluczowe, żeby młodzież nie potrafiła dostrzec kłamstw i nielogiczności, choćby miała je pod nosem, żeby nie wiedziała, co to samodzielne myślenie, kwestionowanie czy kontestowanie, a prawdy nie umiała rozpoznać, choćby kopnęła ją w zadek. Starszych, których już tak wychować się nie da, trzeba zastraszyć, zaszantażować, zmusić, żeby siedzieli cicho.

Są co prawda tacy – dziennikarze, politycy opozycji i niemal siedemdziesiąt procent społeczeństwa, które na PiS nie głosowało – co żalą się na represje, wyzwiska i brak szacunku, ale – umówmy się – to są kwiki świń, może nawet siłą oderwanych od koryta, przy którym teraz (ale jak dostojnie!) posilają się Misiewicze i Piotrowicze.

Zresztą: po co kłapali dziobem? Siedzącym cicho krzywda się nie dzieje!

To zresztą – że obywatel może sobie myśleć o PiS-ie, co chce, byle siedział z tymi myślami w domu, po kryjomu – zdaje się być mottem i Jarosława Kaczyńskiego, i ministra Błaszczaka, i całego rządu. Choć mój ulubiony cytat z pozbawionego kompetencji, właściwości i charakteru szefa MSWiA to odpowiedź na pytanie Bogdana Rymanowskiego: „A co, jeśli się okaże, że zdaniem sądu publikacja wizerunków

protestujących 16 grudnia narusza ich dobra osobiste?”. „Jeśli sądy tak orzekną, to będzie oznaczało, że państwo jest teoretyczne” – odrzekł Błaszczak, nie mrugnąwszy okiem.

Oto PiS w pigułce. Oto stosunek tej partii do prawa, zasad, równości, wolności słowa i obywatelskich swobód. Oto konstytucyjny minister, przedstawiciel władzy wykonawczej, który w telewizji, jawnie i publicznie łamie Konstytucję, zastrasza władzę sądowniczą, w międzyczasie prawiąc nam kazania o przestrzeganiu prawa. Oto widomy znak nowego patriotyzmu: facet, który powinien natychmiast wylecieć z pracy za łamanie norm, poucza nas o zasadach.

Rzecz jasna to, czego świadkami byliśmy w tym tygodniu, ten zaostrzający się język gróźb, pogarda i agresja, i kompletny odlot od rzeczywistości, to klasyczna próba sił. PiS-owi puszczają nerwy. Wprowadzanie zamordyzmu nie idzie tak gładko jak by chciał, coraz bardziej męczy konieczność tłumaczenia się z przekrętów i systemowej korupcji politycznej. I jeszcze ta głupia opozycja i jej jeszcze głupsi wyborcy, wciąż domagający się różnych wyjaśnień (a przecież władza, wiadomo, przed obywatelami tłumaczyć się nie powinna). Stąd próba zakneblowania wszystkim ust. Stąd agresja i chamstwo.

I wiecie co? Ja nawet wierzę, że politycy PiS-u naprawdę nie pojmują, o co ta cała wrzawa, o co ci wszyscy ludzie tak się awanturują. Oni sami od lat żyją w świecie jednego bóstwa Jarosława Kaczyńskiego, pracowicie przed nim pełzając, znosząc upokorzenia. Oni więc przywykli do braku własnego zdania, z mózgami wypełnionymi przekazami dnia, mentalnie niezdolni pojąć, po co komu własne zdanie.

Tylko że to jest wyłącznie ich problem. Tych łamiących prawo aparatczyków służących partii i własnym interesikom

i pensyjkom, marnym posadkom i kredycikom, którymi kiedyś, mam wielką nadzieję, zajmą się sądy i Trybunał Stanu, a nie problem obywateli i Polski.

Obywatele w tej sytuacji mogą robić tylko jedno: walczyć o prawo i zasady wszędzie, gdzie to możliwe, w sądach, na policji i nawet w prokuraturze (nieprawidłowości dokumentować, spisywać imiennie odpowiedzialnych za łamanie prawa), upubliczniać nieprawidłowości i nadużywanie władzy, protestować, wychodzić na ulicę. W żadnym wypadku i pod żadnym pozorem nie siedzieć cicho. I – nade wszystko – nie zacząć się bać.

Kaczyński z 7 marca 2016

Słuchałam przemówienia Jarosława Kaczyńskiego na żywo i muszę powiedzieć, że po raz pierwszy pomyślałam, że mówi jak szaleniec. Nie chodzi nawet o to, że niemal każde sformułowanie – poza spójnikami, nazwiskami i nazwami własnymi – było obelgą, kłamstwem, próbą szantażu i manipulacji – do tego (o zgrozo!) się przyzwyczaiłam. Jednak Kaczyński mówił rzeczy nieracjonalne, nieleżące nawet w interesie PiS-u, na przykład, że jeśli chodzi o zmiany (rozumiem, że także te związane z Trybunałem), PiS nie cofnie się o krok. W kontekście nacisków Ameryki, by przywrócić praworządność, bo inaczej stracimy USA jako sojusznika, w kontekście potępienia ze strony Unii, której członkiem i partnerem jesteśmy, z którą robimy interesy, nie potrafię znaleźć żadnego racjonalnego uzasadnienia dla treści i tonu tego przemówienia, dla zawartego w nim ładunku agresji i pogardy. I na końcu, choć wcale nie jest to najmniej ważne: już nie publicystycznie, tylko tak normalnie, po ludzku: to jest zgroza. Kaczyński gardzi Polakami i nienawidzi Polaków.

Wrogowie narodu

Kobiety, geje, lesbijki, konkubenci, ateiści, innowiercy, kosmopolici, wegetarianie, rowerzyści, dziennikarze (także ci zagraniczni), prawnicy, synowie, córki i wnuki wszystkich z PZPR lub o to podejrzewanych, artyści, działacze organizacji pozarządowych, uczestnicy demonstracji KOD (o organizatorach nie wspominając), posłanki i posłowie opozycji, feministki, bezdzietni i single, zwierzętolubni, liberałowie, fani Mrożka i Miłosza – to wrogowie narodu. A kto ten naród tworzy, bo zapomniałam?

Beata, publikuj

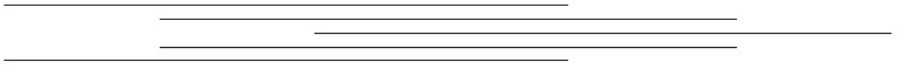

Ustalmy jedno. Nie może być stanowiska rządu wobec polskiego prawa. To nie jest pole do dyskusji, pogadanek i kompromisów. Macie opublikować wyrok TK i już.

Dowód demokracji

17 marca 2016 roku napisałam na moim Facebooku:

Dowodem demokracji jest to, że można przeciw nam protestować, można nas krytykować – mówi PiS. Otóż nie. Nie można. Spójrzcie, co spotyka działaczy i sympatyków KOD. Spójrzcie na znikających ludzi: dziennikarzy i pracowników mediów zwalnianych z pracy tylko za to, że nie są wobec PiS-u bezkrytyczni, spójrzcie na czystki w publicznych instytucjach i urzędach. Wsłuchajcie się w groźby (sprawdzimy, skąd macie pieniądze, żeby dojeżdżać na demonstracje, kim jesteście i dlaczego to robicie), uświadomcie sobie totalną i nieskrępowaną żadnym sądem inwigilację, bezkarność prokuratora generalnego, który może wszystko, nie ponosząc za nic odpowiedzialności. Zrozumcie, jak bardzo władza wami gardzi, jak bardzo, jej zdaniem, nic nie znaczycie i jesteście nikim. To się dzieje tu i teraz. Tak – do was mówię, gestapowcy, dzieci i wnuki ubeków, drugi sorcie, niegodny, żeby należeć do narodu polskiego, do was, wegetarianie i liberałowie w futrach z norek, i do was, głupie feministki

i rozwodnicy – najlepiej, żebyście zebrali manatki i wyjechali za granicę. Bo tu już nie pasujecie. Tu jest Polska.

PS Teraz, gdy powstaje ta książka (grudzień 2016), już nie można krytykować, jest praktyczny zakaz zgromadzeń – uzależnienie manifestacji przeciwników rządu od decyzji rządu.

PiS-owcy

O matko, nie mogę już słuchać tych PiS-owców. To takie żałosne – gołym okiem widać, jaka jest prawda: że łamią prawo, Konstytucję, są chciwi władzy, małostkowi, mściwi i często głupawi, że jest wśród nich wielu agresywnych nieuków i/lub prostaków jak Brudziński, Kempa, Jaki czy Kurski, PZPR-owców jak Piotrowicz. Na niczym się nie znają, a często ich niewiedza, gdyby nie tak straszna, byłaby komiczna (jak z biednymi końmi w Janowie czy krowami gdzieś tam), nie potrafią dyskutować, zakrzykują, szantażują wszystkich Smoleńskiem, który wykorzystują w grze politycznej w najobrzydliwszy z możliwych sposobów, nie potrafią rozmawiać z nikim, kto ma inne zdanie, nie mają ani kultury debaty, ani tej osobistej, zastraszają i się mądrzą, i wydaje im się, że ktoś sensowny – co? będzie się ich bał?! Przy tym wszystkim nie mają kompletnie na nic pomysłu – ani na gospodarkę, edukację, prawo, politykę socjalną, stosunki społeczne, dialog, ani na nic innego, a ponieważ wiedzą, że go mieć nie będą, usiłują kneblować media, żeby doniesienia o ich niekompetencji, prywacie i głupocie oraz nadużyciach, które już są gigantyczne, a będą jeszcze większe, nie wyszły na

jaw. Miejcie świadomość, że i tak wyjdą, bo to nie PRL, media i blogerzy pracują, a my, społeczeństwo, po prostu się nie damy.

I choć oczywiście szkoda Polski, którą cofną w rozwoju, to ja naprawdę wierzę, że i z tych rządów niebywałych wprost miernot wyjdziemy cało. Najgorsze jest jednak, że tak kłamią w żywe oczy – no i ten PRL-owski, a miejscami ubecki i faszystowski język i uniżoność wobec kleru. Słabi, głupi ludzie, którym się wydaje, że wszystkich zastraszą, zwolnią i zakrzyczą.

Wsadźcie sobie w nos to swoje 500 Plus i mierne posadki dla lizusów, te wyśmiane przez ekspertów nierealne plany Morawieckiego syna i bełkot Morawieckiego ojca. Mam niesmak i brak mi już cierpliwości do słuchania tych bzdur. Wisienką na torcie jest rzecz jasna wielbiciel „Leśnych Ruchadeł", który łamie Konstytucję, i jeśli jest sprawiedliwość na tym świecie, pójdzie kiedyś za to siedzieć, a mądrzy się, jakby nie rozumiał, że jak się nie ma nic do powiedzenia, nie należy tego faktu przyoblekać w słowa. Generalnie: jeszcze niedawno sądziłam, że trzeba mieć odwagę, żeby przetrwać rządy PiS-u, teraz myślę, że trzeba mieć wiele cierpliwości. Skąd się w ogóle biorą takie kłamczuchy i prymitywy?

Oczernianie poprzedników

Czy Antoni Macierewicz właśnie ogłasza w telewizji naszym partnerom z NATO, że od kilku lat w ramach współpracy wywiadowczej powierzali swoje tajemnice wojskowe przestępcom i idiotom (poprzednim polskim rządom)? Czy PiS właśnie powiedział w swoim audycie wszystkim krajom, które pożyczyły nam pieniądze, że pożyczały je skorumpowanym złodziejom lub/i zdrajcom? Czy właśnie oznajmił wszystkim premierom, prezydentom i królom, którzy kiedykolwiek byli tu z wizytami zagranicznymi, że rozmawiali z marionetkowymi przywódcami kondominium, a nie normalnego kraju, który jest ich równorzędnym partnerem? Czy cały świat się dziś dowiedział i dowiaduje nadal właśnie teraz, że Polski przez te lata właściwie nie było?

Macierewicz to narzędzie, którym Kaczyński szkodzi Polsce

Antoni Macierewicz nie nadaje się na ministra obrony narodowej. Więcej – nie nadaje się ani na żadnego ministra, ani do pełnienia najmniejszej funkcji publicznej. Pół biedy, gdyby był nieodpowiedzialny i miał za nic fakty, gdyby nie szanował własnych słów i był chwiejnym emocjonalnie, agresywnym fantastą – te cechy są w polityce (niestety) na tyle często spotykane, że pewno machnęlibyśmy na nie ręką. Jednak Macierewicz to człowiek, który w przeszłości, zajmując ważne stanowiska, działał na szkodę Polski i uszło mu to na sucho. Dziś o wiele groźniejszy, bo pewien swojej bezkarności i stojącej za nim siły PiS-u i prezesa Jarosława Kaczyńskiego, idzie dalej – realnie zmniejsza nasz potencjał obronny, ośmiesza i poniża Polskę w oczach sojuszników i niszczy nie tylko naszą reputację i wiarygodność, ale także struktury państwa i wiarę obywateli w ich skuteczność.

Polityczna pozycja Antoniego Macierewicza jest papierkiem lakmusowym stanu państwa polskiego: w rozwiniętych demokracjach procedury sprawdzające kandydatów do

pełnienia strategicznych z punktu widzenia racji stanu i bezpieczeństwa obywateli funkcji są tak zaawansowane, że nikt, co do czyjej prawdomówności, stanu psychicznego i/lub stabilności emocjonalnej są wątpliwości, nie byłby nawet brany pod uwagę jako kandydat.

W Polsce, mającej za sobą doświadczenie zaledwie dwudziestu siedmiu lat państwa prawa, Macierewicz, który ujawnił raport z likwidacji WSI, będący w dużej mierze stekiem plotek, pomówień, domniemywań, kłamstw i spekulacji, który zadenuncjował polskich agentów między innymi w Afganistanie, narażając ich na śmierć, który dał zagranicznym wywiadom nieocenione informacje o strukturze i metodach działania polskich służb i naraził życie zagranicznych obywateli z tymi służbami współpracujących, przegrywał procesy z ludźmi, których zniesławił, okazuje się godny szefowania Ministerstwu Obrony Narodowej – instytucji kluczowej z punktu widzenia obronności i bezpieczeństwa państwa.

Antoni Macierewicz nie działa w próżni – jego szaleństwo jest firmowane i wspierane przez Prawo i Sprawiedliwość, przez premierkę Szydło i realnego szefa wszystkich polityków tej partii – Jarosława Kaczyńskiego. To Jarosław Kaczyński politycznie odpowiada za to, że nasi partnerzy zagraniczni i NATO-wscy dowiedzieli się właśnie od Antoniego Macierewicza, że przez ostatnich kilka lat w ramach współpracy wywiadowczej i wojskowej przekazywali swoje tajemnice niekompetentnym głupcom lub skończonym szujom, że Polska jest zupełnie niewiarygodnym i nieprzewidywalnym partnerem. To Jarosław Kaczyński jest odpowiedzialny za to, że na chwilę przed szczytem NATO w Polsce nasza pozycja została sprowadzona do zera, kraj

wprost nazwany bezbronnym, my jako sojusznik NATO – bezwartościowym, a polscy generałowie będą się wstydzili spojrzeć w oczy swoim zagranicznym partnerom.

Antoni Macierewicz z każdej prywatnej firmy wyleciałby z hukiem, a żaden rozsądny człowiek nie powierzyłby mu kluczy do swojego mieszkania. Jarosław Kaczyński nominacją Macierewicza na szefa MON zrobił prezent wszystkim wrogom Polski, o których tak dużo i często mówi. Każdy, kto Polski nie lubi i życzy jej wszystkiego najgorszego, zaciera dziś ręce i modli się, żeby Macierewicz pozostał na swym stanowisku jak najdłużej.

Prezydentura nie tylko zmarnowana, ale żenująca

Po roku prezydentury największe osiągnięcie Andrzeja Dudy to pokazanie społeczeństwu, że trudne i fundamentalnej wagi kwestie prawne i polityczne da się „rozwiązać" w minutę, nie zawracając sobie głowy obciążającą mózg argumentacją. Duda rozczarował pogardą dla prawa, małostkowością, brakiem samodzielności oraz kompletnym niezrozumieniem swojej roli w państwie i ogromnego zaszczytu, jakim jest wybór na tak odpowiedzialne stanowisko. Zdegradował prezydenturę do poziomu biura podawczego Jarosława Kaczyńskiego i naraził wszystkich Polaków na niebezpieczeństwo demontażu demokracji.

Doktor nauk prawnych prezydent Duda wypowiada się w kwestiach społecznych i prawnych infantylnie, a skomplikowane i najważniejsze dla obywateli sprawy zdarza mu się zbyć jednym bon motem wątpliwej jakości. Protesty KOD? To frustracje ludzi odspawanych od stołków. Światowej sławy prawnicy krytykujący łamanie prawa przez PiS i popierający ich obywatele? To ci, którzy chcieliby zaśpiewać

„Ojczyznę dojną racz nam wrócić, Panie". W domyśle: po prostu złodzieje. I już.

W jakimś sensie to prostactwo umysłowe jest zrozumiałe. Argumentowanie jest zajęciem bardzo męczącym, wymaga myślenia i wysiłku. Trzeba je przecież poprzeć wiedzą, a wyrażenie mądrego stanowiska poprzedzić trudnym namysłem. Później trzeba jeszcze zdobyć się na trud uzasadnienia go przed opinią publiczną oraz mozolnie doń przekonywać. Wreszcie, o zgrozo, należy umieć publicznie przemawiać i mówić prosto i jasno o kwestiach zawiłych. Trzeba też mieć uczciwość wewnętrzną, przekonanie o własnej słuszności i odwagę cywilną, by nie obrażać, lecz dyskutować. Trzeba stawić czoła oponentom i podjąć ryzyko, że mimo wszystko pozostaną przy swojej opinii.

Jedno można powiedzieć na pewno: takiej głowy państwa jeszcze w historii Polski nie było. Prezydent Duda jest politycznym trendsetterem – wszystko, co robi, jest nowe, niespotykane i niebywałe w innych, jak mówią złośliwcy „normalnych", demokracjach. Nie tylko nie jest strażnikiem Konstytucji – do czego zobowiązuje go prawo, ale w ciągu trzech miesięcy urzędowania, jak mówią eksperci, złamał Konstytucję co najmniej trzy razy: ułaskawiając Mariusza Kamińskiego, nie zaprzysięgając trzech sędziów TK wybranych przez poprzedni Sejm i zaprzysięgając czworo wybranych przez Sejm obecny.

Ustanowił też nowy standard w nieznajomości ustawy zasadniczej (co jest prawdziwą perełką, zważywszy na jego stopień naukowy): ustami ministra Krzysztofa Szczerskiego z własnej kancelarii oznajmił opinii publicznej, że jeśli partie polityczne nie dogadają się w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, on zabierze im zabawki i… sam będzie

rządził. Ciekawa propozycja, zważywszy że takie rozwiązanie po prostu nie jest możliwe w świetle polskiego prawa. Mamy system demokracji parlamentarnej, a nie system prezydencki, i prezydent, który to wie, będąc w dodatku doktorem nauk prawnych, stanowi dla wielu obywateli i liderów opinii spore wyzwanie intelektualne. Mój komentarz po wysłuchaniu wypowiedzi ministra Szczerskiego nie był co prawda zbyt głęboki, za to wyrażał, jak sądzę, emocje i wątpliwości targające wieloma Polkami i Polakami, i brzmiał po prostu: Yyyyy???

Kontrowersje obyczajowe właściwie niewarte są wzmianki – choć obserwowanie „Pimpusia sadełko" i „Leśnego Ruchadła" na Twitterze oraz wysyłanie o drugiej w nocy młodziutkim fankom dość flirtująco sobie poczynającym własnych selfie nie licuje z powagą najwyższego urzędu w państwie. Można to jednak wyjaśnić słabością czysto ludzką. Ot, szerzej nieznany polityk, który sam nie wierzył, że te wybory wygra, nagle stał się celebrytą i uwierzył w siebie. Tyle że Andrzej Duda nie reprezentuje już siebie, PiS-u i swojej coraz bardziej milczącej żony, lecz nas wszystkich.

I wisienka na torcie tych pionierskich dokonań: Andrzej Duda otwarcie nie respektuje rozdziału Kościoła od państwa – na uroczystościach kościelnych i mszach bywa tak często, że furorę robią żarty o rosnącej produkcji klęczników i niezwykłej prosperity producentów dewocjonaliów za jego prezydentury. Szkoda, że jednocześnie prezydent nie hołduje wartościom chrześcijańskim w praktyce… Nie zwolnił Marka Magierowskiego, który życzył Marii Czubaszek i Magdalenie Środzie śmierci tylko dlatego, że mają inne niż on poglądy (w 2014 roku napisał na Twitterze: „Czubaszek i Środa się nie zmienią. Powiem brzydko: muszą wymrzeć"). Dziś, gdy po

śmierci Marii Czubaszek przypomniano tę wypowiedź, Duda skwitował: „Każdy może mieć swoje poglądy. Ja to szanuję".

Andrzej Duda przejdzie do historii jako prezydent, który przegapił swoją okazję do wielkości. Miał niepowtarzalną i wyjątkową szansę. Mógł zatrzymać łamanie Konstytucji przez Prawo i Sprawiedliwość, mógł pokazać, czym jest godność, umiłowanie prawa i wolności, czym jest służba publiczna i stawianie dobra wspólnego ponad partyjnym interesem. Mógł stać się symbolem praworządności i uczciwości. Zamiast tego stał się symbolem małostkowości, niesamodzielności, pogardy dla prawa, zupełnego braku odwagi cywilnej i niezrozumienia, czym jest polska racja stanu.

Jeśli dosięgnie go sprawiedliwość, stanie przed Trybunałem Stanu i zostanie skazany. Tak czy owak, odejdzie w niesławie, bo nie dorasta do prezydentury. Brakuje mu nie tyle charyzmy, co zwyczajnie – charakteru, osobowości, zasad i prawości, które zapewniłyby mu coś więcej niż zdawkowe i raczej krytyczne zdanie w podręcznikach historii. Chyba że będą to podręczniki pisane przez PiS.

Odwrócona rzeczywistość PiS-u

Marszałek Kuchciński powołał Zespół ds. Problematyki Trybunału. To jest faktycznie język Orwella, a my znaleźliśmy się w środku roku 1984. Przecież nie ma żadnej „problematyki Trybunału". Trybunał jest instytucją bez zarzutu, jest natomiast problem łamania prawa przez PiS. Jeśli miał powstać jakikolwiek zespół, powinien to być zespół do spraw łamania Konstytucji przez Prawo i Sprawiedliwość. Ta partia spełnia bowiem przesłanki do zbadania przez Trybunał, czy nie należy jej zdelegalizować (powód: działania niezgodne z prawem). Niech jakiś uprawniony organ, grupa ludzi złoży odpowiedni wniosek. Na co czekacie? Na koniec demokracji?

Minister od pogardy, Konstanty Radziwiłł

Konstanty Radziwiłł wytoczył przeciwko pielęgniarkom z Centrum Zdrowia Dziecka najcięższe, bo zakłamane i manipulatorskie działa. Można by go nawet pochwalić za PR-owe działania, gdyby nie drobny szkopuł: ministrowi zdrowia my, obywatele, płacimy nie za to, żeby straszył i szantażował grupy społeczne domagające się poprawy swego losu i odmawiał im prawa do strajku, tylko za to, żeby system zdrowia funkcjonował na tyle dobrze, by pielęgniarki strajkować nie musiały. I ten egzamin, w przeciwieństwie do egzaminu z obelżywych wrzasków, pan Radziwiłł oblał z kretesem.

Pielęgniarki nie są nędzarkami, więc strajkować nie powinny, a w domyśle nawet więcej – nie mają moralnego prawa! On, minister Radziwiłł, przypomina im (krnąbrnym pielęgniarkom) o ich powołaniu (czyli pracy jakieś sto razy cięższej i bardziej odpowiedzialnej niż praca Radziwiłła i za półdarmo?). Pielęgniarki nie zdają sobie chyba sprawy, jak poważna jest sytuacja w Centrum Zdrowia Dziecka, w jak fatalnej kondycji

finansowej jest ta placówka. Strajkując, wykazują się więc kompletną znieczulicą i nieodpowiedzialnością.

Takie argumenty wytoczył dzielnym dziewczynom, które miały odwagę upomnieć się o los swój i swoich rodzin, minister rządu, który na hasłach wyborczych niósł dialog i słowa premierki Szydło: „Ten rząd będzie słuchał obywateli". Jak widać, potrzeba słuchania nie idzie tak daleko, żeby potraktować z szacunkiem kobiety, które harują za półdarmo, więc tak – muszą kochać swoją pracę i od lat wykonywać ją z powołania. Zamiast tego minister zagląda im do portfela, ocenia finansowe aspiracje i moralność, robi wiwisekcję sumienia.

Porozmawiajmy więc, szanowny panie ministrze, o szacunku, którym tak wycierają sobie przy każdej okazji usta politycy PiS-u (precyzując: domagają się szacunku dla siebie, bo innym już go odmawiają). Otóż szacunek, drogi panie Radziwiłł, oznacza, że nawet (zwłaszcza!) jeśli się z kimś nie zgadzamy, traktujemy go jak równego sobie, przyznając mu takie same prawa, jakie sami posiadamy bądź chcemy posiadać. Oznacza też, że przedstawiamy swoje stanowisko, a następnie bronimy go spokojnie i merytorycznie, posługując się argumentami (to jest faktami dotyczącymi danej sprawy), a nie wyzwiskami, obelgami i insynuacjami. Próbujemy interlokutora przekonać, a nie poniżyć i zdezawuować, zniszczyć jego wartość jako człowieka.

Szacunek oznacza też, że wysłuchujemy drugiej strony z dobrą wolą, zakładając, że próbuje najlepiej jak potrafi wyłożyć swoje racje, że stara się osiągnąć pewien dobry i ważny dla siebie cel, i staramy się, w miarę możliwości, wyjść jej naprzeciw. Jeśli z czymś się nie zgadzamy, tłumaczymy i mówimy, w czym rzecz. Dążymy do porozumienia.

Zastraszanie i szantaż moralny nie należą do dobrych praktyk i nie posługują się nimi wartościowi, uczciwi i przyzwoici ludzie.

Pielęgniarki z Centrum Zdrowia Dziecka strajkować nie tylko mogą – i nie potrzebują na to pańskiego pozwolenia! – ale wręcz powinny. Po pierwsze dlatego, że mówią w ten sposób „Sprawdzam!" dobrej zmianie, po drugie dlatego, że w kraju o niemal najniższych w całej UE pensjach ich przykład doda odwagi i zachęci do tego samego inne grupy społeczne.

A jeśli chodzi o pańskie argumenty poniżej pasa, panie ministrze: pielęgniarki nie są od dbania o kondycję finansową Centrum, ponieważ to nie ich praca. Tę pracę wykonuje dyrektor finansowy i menedżerowie, sowicie zapewne (założę się z panem o dobre wino, że nawet bardzo sowicie!) opłacani. Jeśli wykonują ją źle, pielęgniarkom należą się przeprosiny, bo przez ich niekompetencję są zbyt nisko wynagradzane.

I dalej: nie panu oceniać czyjeś powołanie. Niech pan pilnuje swojego nosa, tak jak w tych kwestiach każdy normalny człowiek pilnować swojego nosa powinien. Nie siedzi pan w cudzym sumieniu, tak jak nikt nie siedzi w pańskim. Moje sumienie na przykład nie pozwoliłoby mi powiedzieć tego, co pan powiedział o pielęgniarkach. Uznałabym to za niegodne. Pan jednak to powiedział bez żadnego problemu, prawda?

Przypominam też panu, że gdy strajkowali lekarze, wspierał ich pan i mówił o zrozumieniu dla ich postulatów. W czym tkwi problem teraz? Przyświeca panu tak pogardzana solidarność korporacyjna? A może kobiety pan szanuje mniej?

I jeszcze jedno: gdyby strajkowali górnicy, gdyby przyjechali wyrywać spod sejmu płyty chodnikowe, nie byłoby rozmowy o odpowiedzialności i powołaniu, prawda? Bo pana świat dzieli się na słabych, którymi można pomiatać, i silnych, przed

którymi się klęka, spełniając (właśnie kosztem słabszych) ich najbardziej kosztowne i nieracjonalne żądania. Mam rację?

Proszę przemyśleć swoje publiczne reakcje i wypowiedzi, panie ministrze, ponieważ nie życzę sobie więcej jako obywatelka czuć niesmaku, słysząc w telewizji kogoś, kto u mnie pracuje, komu płacę pensję.

Jest prosty sposób na PiS: wystarczy przestrzegać prawa

Sytuacja jest jasna: nie ma żadnego kryzysu wokół Trybunału Konstytucyjnego. Jest tylko rząd i prezydent, którzy łamią prawo, i większość parlamentarna, która to łamanie prawa aktywnie wspiera i w nim uczestniczy, uchwalając i przepychając kolanem niezgodne z prawem ustawy. Jest pogarda dla odmiennych opinii, jest przemoc werbalna i symboliczna, jest chamstwo i rozprawianie się z opozycją. Jest i być musi, bo agresja, słowotok i mętna, Orwellowska retoryka są niezbędne, żeby przykryć jasną i prostą prawdę: że Polska (nie demokracja, Polska!) jest zagrożona i że tak postępować nie wolno, że do takiego postępowania nie uprawnia nic, nawet wygrane wybory.

Jednak Polacy i opozycja nie pozostają bezbronni wobec bezprawia PiS-u. Są skuteczne i proste metody, żeby ukrócić ich totalitarne zapędy. Problem polega na tym, że nikt nie ma odwagi nie tylko ich zastosować, ale nawet o nich głośno mówić, a jak powiedział jeden z moich gości w Superstacji,

prawnik, rozwiązanie istnieje i jest proste: wystarczy stosować prawo.

Nie tylko Konstytucja, ale i ustawa o partiach politycznych (Rozdział V. Postępowanie w sprawie zgodności z Konstytucją celów lub działalności partii politycznych oraz Rozdział VI. Likwidacja partii politycznej, artykuły 42–44) chronią nas przed sytuacją, gdy wybrana w demokratycznych wyborach partia zaczyna łamać prawo i zagrażać demokracji. Jest możliwość zbadania przez Trybunał Konstytucyjny (na wniosek uprawnionej instytucji, grupy osób, na przykład posłów), czy taka partia działa w sposób zgodny z prawem, i jeśli nie, zdecydowania o wykreśleniu jej z rejestru partii politycznych.

Tyle że aby to zrobić, muszą znaleźć się odważni, którzy zdecydują się narazić na wściekłe ataki, także personalne, pomówienia i kampanię oszczerstw i nienawiści, jaką niewątpliwie rozpęta w takiej sytuacji PiS i przyjazne mu media. Taka decyzja byłaby historyczna, a badanie przez TK takiej sprawy odbiłoby się głośnym echem. Ale tak właśnie, wobec wątpliwości, jakie budzą działania PiS-u, należałoby postąpić. Tak byłoby uczciwie i przyzwoicie. Odpowiedzialnie wobec obywateli. I skutecznie.

Opozycja, rzecznik praw obywatelskich i wszyscy inni, którzy mają uprawnienia, żeby zgłosić sprawę postępowania PiS-u przed Trybunał Konstytucyjny, nabrali wody w usta. Dużo mówią – w świetle kamer, robią wokół siebie sporo szumu, alarmując (i słusznie) instytucje międzynarodowe i Komisję Europejską – tyle że takie postępowanie nie jest tak naprawdę skuteczne. Ono jest ważne, tak jak krzyk i głośno wyrażona niezgoda ofiary przemocy, ale przecież nie załatwi sprawy. A tą sprawą jest dla nas wszystkich, dla Polski, Polek i Polaków,

żeby każdy wybrany w wyborach człowiek, każdy poseł, senator, każdy premier i szef zwycięskiej partii, każdy minister wiedział, że może i musi (pod groźbą realnych, nie wydumanych, konkretnych sankcji) działać w granicach i ramach nakreślonych przez prawo.

Sytuacja z Prawem i Sprawiedliwością jest testem naszej demokracji. Tak, wszyscy wiemy, że jest ona jeszcze niedojrzała i niezbyt dorosła, ale tym razem to nie zabawa, tym razem sytuacja jest naprawdę poważna. Ograniczenia praw i wolności, którego dokonał PiS przez zaledwie kilka miesięcy, terror, przemoc – także w sferze symbolicznej, Orwellowski język i najgorsze: jawne łamanie prawa, którym niektórzy politycy tej partii wręcz się szczycą, dokonywane w świetle jupiterów, bezczelnie i jawnie, nie mogą i nie powinny pozostać bez zdecydowanej odpowiedzi.

Szanowna opozycjo, szanowne instytucje pozarządowe oraz takie, jak urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, musicie zdać sobie sprawę, że zagrożona jest nie polska demokracja (ten zbitek słów, to abstrakcyjne pojęcie naprawdę na nikim nie robi wrażenia). Zagrożona jest Polska. My i nasza przyszłość.

Czego mi brakuje u polityków opozycji

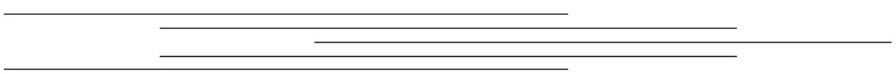

Czego brakuje mi u polityków opozycji? Wkurzenia. Gniewu. Niezgody na to, co jest. Ale też wiary i nadziei. Wizji. Wyrażanej z pasją niezbitej pewności, że możemy jako społeczeństwo wzrastać i rozwijać się, możemy żyć w Polsce, o jakiej marzę i o jakiej marzy wiele i wielu z nas: wolnej, zamożnej, świeckiej i nowoczesnej. Zrozumienia, że trzeba tylko pojąć pewne rzeczy i włożyć w tę zmianę trochę pracy.

Boże, co powie PiS

Platforma i Nowoczesna, deklarując, że są przeciwko liberalizacji ustawy antyaborcyjnej, powiedziały „nie” nie tylko złagodzeniu napisanemu pod dyktando Kościoła prawa. Powiedziały „nie” prawom człowieka, a kobietom – połowie polskiego społeczeństwa! – że nie są równe mężczyznom. Udowodniły, że kobiety nie mogą, tak jak oni, decydować samodzielnie o swoim życiu i zdrowiu. Najgorsze, że nie tylko opowiedziały się po stronie niesprawiedliwości i nieuczciwości, ale jeszcze zrobiły to z możliwie najniższych pobudek: z tchórzostwa. Ze strachu przed tym, co powie PiS.

Bo w projekcie ustawy przewidującym prawo kobiet do aborcji, pod którym Inicjatywa Ratujmy Kobiety zebrała dwieście tysięcy podpisów, nie chodzi o aborcję, tylko o godność. Nie chodzi też o lewicowość czy prawicowość (bo przyzwoitość i dobro nie są lewicowe ani prawicowe), lecz o prawo kobiet do bycia traktowanymi z szacunkiem. Czyli jak normalni dorośli ludzie, którzy mogą za siebie odpowiadać i podejmować decyzje dotyczące ich życia, kierując się własnym (a nie polityków) rozumem, przekonaniami i moralnością. Tak jak mężczyźni.

Udawanie, że się nie widzi, lub, co gorsza, naprawdę niedostrzeganie, że połowa narodu jest ubezwłasnowolniona w najważniejszej i najbardziej intymnej kwestii, jaką jest własne rozmnażanie i seksualność, dyskwalifikuje każdego polityka z funkcji reprezentanta jakiejkolwiek grupy społecznej, dowodzi bowiem zupełnego braku zasad i wrażliwości.

Argument: „Nie możemy poprzeć liberalizacji aborcji, bo ten projekt nie ma teraz szans przejść w Sejmie, a polityka jest przecież sztuką rzeczy możliwych", kompromituje też Platformę i Nowoczesną intelektualnie. Z łatwością można by przecież użyć go także w sprawie Trybunału Konstytucyjnego – wobec sejmowej przewagi PiS-u także w tej kwestii nie ma szans na wygraną, po co więc walczyć? Czy nie lepiej, skoro nie ma szans na wygraną, po prostu sobie odpuścić?

Odpowiedź na to pytanie jest zapewne brutalna: po prostu walka o Trybunał nabija im punkty w sondażach, a walka o prawo kobiet do decydowania o sobie – nie.

Martin Luther King i wielu innych podejmowali walkę nie wtedy, gdy mieli pewność, że się uda, ale wtedy, gdy droga do zwycięstwa była trudna i żmudna, a samo zwycięstwo niepewne. Dlaczego więc to robili? Z wiary. Z głębokiego przekonania, że warto walczyć o to, co dobre i słuszne, że taka walka nie może i nie powinna podlegać kalkulacjom. Że nikt nie ma prawa kontrolować innych i zmuszać siłą, by żyli według jego przekonań i widzimisię. Że natura – czy też, jak kto woli, Bóg – stworzyła ludzi równymi i że powinni być równi także wobec prawa.

Prawdziwe pytanie, na które Platforma i Nowoczesna odpowiedziały swoim brakiem poparcia dla Inicjatywy Ratujmy Kobiety, nie brzmi więc: czy jesteś za zaostrzeniem,

czy za złagodzeniem prawa do aborcji? Brzmi ono: czy uznajesz, że w Polsce każdy człowiek, kobieta i mężczyzna, ma prawo do decydowania o własnym losie i podejmowania suwerennych decyzji o swoim życiu, zdrowiu i reprodukcji? Czy każda kobieta, tak jak każdy mężczyzna, ma prawo dążyć do szczęścia w sposób, jaki uznaje za słuszny?

To właśnie na to pytanie obie partie odpowiedziały: nie.

Oprócz projektu liberalizacji aborcji w Sejmie leży już, złożony tam z kolei przez fanatyków religijnych, projekt ustawy całkowicie zakazującej aborcji, nawet w przypadku, gdy kobieta może z powodu ciąży umrzeć lub gdy zostanie zgwałcona. Nieludzki, okrutny, pozbawiający nas prawa własności do siebie samych. Nie do przyjęcia! Jednak nie dla polityków opozycji. Oni właśnie spojrzeli w oczy nam, swoim wyborczyniom, i oznajmili: „Tak, to nie do przyjęcia, wiemy o tym – zabijanie kobiet i zniewolenie kobiet w imię fanatyzmu religijnego jest nie do przyjęcia! Ale… nie drażnijmy tych szaleńców! Jasne, że powinniśmy traktować kobiety jak dorosłych, odpowiedzialnych ludzi, ale na miłość boską – nie teraz! Teraz za bardzo boimy się tego, co powie Kaczyński! Co napisze o nas »wSieci« i »Do Rzeczy«! PiS może się wkurzyć!”.

Ile dobrych rzeczy można by w Polsce zrobić, gdyby nie strach opozycji, że PiS się wkurzy! Że pogrozi, postraszy Rydzykiem i nagonką na mszach w kościołach, wyzwie od niewierzących w Boga, a może i gestapowców, rzuci zdrajcami, poprawi drugim sortem, atakiem na Kościół, gender i zboczeniem! Polska mogłaby wreszcie zacząć żyć, gdyby nie strach przed tym, co zrobi i powie PiS.

Dla zastrachanych, trzęsących się z obawy przed Jarosławem Kaczyńskim i radykałami machającymi katolicyzmem jak cepem, posłów opozycji mam wiadomość: nie jesteście od

odgadywania życzeń PiS-u. To nie jest wasza robota i nie za to wam płacimy.

Nie jesteście od tańczenia, jak wam zagra Kaczyński. Powinniście tańczyć własny taniec. Jeśli nie potraficie sięgać wzrokiem dalej niż wasi wyborcy, sprzeciwiać się złu, roztaczać politycznych wizji, które przeciwstawiają się fanatyzmowi i szaleństwu, przenosząc nas do świata wolności i dobra, praworządności i szacunku, jeśli nie szanujecie kobiet na tyle, by obdarzyć je pełnią swobód obywatelskich, to – niezależnie od poglądów na inne sprawy – nie nadajecie się do swojej pracy.

Antoni Macierewicz może zagrażać polskiej racji stanu

To nie są żarty i to nie jest sensacja. Po lekturze świetnie udokumentowanego artykułu Tomasza Piątka w weekendowej „Gazecie Wyborczej" wiem, że Antoni Macierewicz nie jest człowiekiem, za którego od lat się podaje. Po rozmowie z Tomaszem Piątkiem w Superstacji wiem, że Antoni Macierewicz ma także – wymagające wyjaśnienia przez służby specjalne, a być może także przez prokuraturę i sejmową komisję śledczą – powiązania niebezpiecznie wskazujące na Rosję. Jeśli współorganizatorem Macierewiczowskiej obrony terytorialnej jest pułkownik Krzysztof Gaj, który nie ukrywa, że jest zwolennikiem polityki Putina na Ukrainie, i jeśli dzieje się to w tym samym czasie, w którym minister obrony przyznaje, że członkowie obrony terytorialnej będą mieli zwiększony dostęp do broni, co oznacza przewagę nad innymi obywatelami i możliwość ich zastraszania – to ja zaczynam się bać.

Z artykułu Tomasza Piątka – tekstu śledczego na światowym poziomie, opartego na faktach i bezstronnego – bez tak

charakterystycznej dla prawicowego „dziennikarstwa" śledczego nieukrywanej radości, że przeciwnika politycznego udało się na czymś przyłapać, satysfakcji, że człowiek okazał się ułomny, pomijania niewygodnych faktów, a wybijania na pierwszy plan tych, które pasują do z góry ustalonej tezy, wynika, że minister obrony narodowej nie jest osobą, za którą się podaje. Na pewno nie jest namiętnym lustratorem, bo współpraca, branie pieniędzy (powinien to wyjaśnić, tymczasem wcale się do tego nie odnosi) od byłego płatnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa, o którym wiedział, że był skazany (także w drugiej instancji) przez sąd lustracyjny, w zasadzie to wyklucza.

Można i należy w tej sytuacji postawić pytania o stosunek Antoniego Macierewicza do lustracji: czy jego agresywne działania, w których na pozór domagał się lustracji, a które tak naprawdę ją uniemożliwiły i skompromitowały jej ideę, były tylko głupotą? A może Antoniemu Macierewiczowi współpracującemu z TW i biorącemu od niego pieniądze nie wiadomo za co (panie ministrze, proszę to wyjaśnić!) chodziło dokładnie o taki efekt. Może lustracji, która była Macierewiczowi i jego środowisku politycznemu nie na rękę, po prostu miało w Polsce nie być? Być może prolustracyjna retoryka jest dla skrajnie populistycznego PiS-u tylko przykrywką, umożliwiającą jego prominentnym politykom zarabianie pieniędzy i zdobywanie władzy dzięki powiązaniom i umiejętnościom między innymi tajnych współpracowników bezpieki?

W świetle doniesień o Antonim Macierewiczu i zachowania jego partii w tej sprawie, w świetle posługiwania się przez PiS byłymi funkcjonariuszami PZPR, byłymi PRL-owskimi sędziami i prokuratorami, także oskarżającymi i skazującymi

opozycję, są to bardzo zasadne pytania, na które media powinny postarać się odpowiedzieć. Tego wymaga interes publiczny.

Przybrana przez PiS linia obrony, wyrażona ustami Beaty Mazurek, że znajomość z Luśnią to wypadek przy pracy, nie wytrzymuje porównania z faktami. Luśnia nie jest zresztą jedyną osobą z kręgu dawnych służb bezpieczeństwa, które znajdują się w gronie znajomych i współpracowników Macierewicza. Tropy poprzez tych ludzi prowadzą, jak się okazuje, nawet do byłych agentów GRU (wywiadu wojskowego Rosji Radzieckiej, ZSRR, a następnie Federacji Rosyjskiej), co brzmi już dużo bardziej niepokojąco.

Reakcja Macierewicza jest typowa dla oszusta – to klasyka, precyzyjnie opisana w książce *Anatomia kłamstwa*, której autorami są dwaj byli oficerowie CIA (ich praca polegała na wykrywaniu podwójnych agentów): zakrzykiwanie, nieodnoszenie się do zarzutów, mówienie o „atakach" i próby „przykrycia tematu", czyli skierowania oczu opinii publicznej w inną stronę. Mam nadzieję, że media się na to nie nabiorą, jak nabierały się tysiące razy wcześniej.

To oczywiste, że Antoni Macierewicz utracił zaufanie publiczne niezbędne, żeby pełnić tak ważną i kluczową dla bezpieczeństwa państwa i obywateli funkcję, jaką pełni. To oczywiste i zgodne ze standardami każdego państwa prawa, gdzie wymóg wiarygodności jest wymogiem minimalnym, że Antoni Macierewicz powinien podać się do dymisji do czasu wyjaśnienia sprawy lub zostać zdymisjonowany.

To nie jest walka polityczna, to nie jest kwestia przepychanek rządu z opozycją. Ten człowiek już raz, w 2008 roku, stracił dostęp do informacji niejawnych oznaczonych klauzulą ściśle tajne i certyfikatów bezpieczeństwa NATO i UE. Oznacza to, że

zdaniem polskiego kontrwywiadu wojskowego były bardzo poważne zastrzeżenia co do jego wiarygodności (ciekawe, kto przywrócił mu ów dostęp do tych informacji, czy aby nie koledzy z PiS-u?). Wyjaśnienie wątpliwości dotyczących ministra obrony narodowej to – jak słusznie mówi Tomasz Piątek – kwestia odpowiedzialności za państwo, za Polskę.

Mam nadzieję, że żadna z redakcji nie odpuści tej sprawy i nie przestanie o tym mówić i pisać, dopóki nie zmusi się rządu i Antoniego Macierewicza do złożenia wyjaśnień lub dopóki nie zrobi tego prokuratura (teraz widać, do czego PiS-owi potrzebny był nadzór nad niezależną prokuraturą) lub sejmowa komisja śledcza.

Jeśli będziemy odpuszczać takie sprawy, Polska faktycznie stanie się bytem, który istnieje tylko teoretycznie.

PiS rynsztoka się chwyta (a raczej od dawna w nim się tapla)

Tomasz Piątek, autor artykułu demaskującego Antoniego Macierewicza, w którym opisał, że szef MON brał pieniądze od Roberta Luśni, milionera, byłego płatnego i świadomego TW, i że do dziś nie zerwał z nim formalnych związków, a także (w kolejnych tekstach), że ma – pośrednio – niepokojące rosyjskie powiązania, został dziś personalnie zaatakowany przez rzecznika MON. Bartłomiej Misiewicz, który, jak przypuszczam, za kilka lat, jeśli ma choć odrobinę przyzwoitości, nie spojrzy sobie w lustrze w oczy, zasugerował na Twitterze, że autor „Gazety Wyborczej" mógł pracować pod wpływem narkotyków.

Nie pierwszy raz się zastanawiam, w jakim świecie pozwoliliśmy na takie plugastwo, złe intencje, podłość i żenujący brak jakichkolwiek standardów moralnych u osób publicznych i jak u diaska doszło do tego, że o zasadach i wartościach chrześcijańskich pouczają nas intencjonalni oszuści bez skrupułów, zwykłe małostkowe i mściwe ludziki, cwaniaki i dranie bez elementarnego poczucia przyzwoitości

i minimalnej choćby kultury osobistej, o zasadach etycznych nie wspominając.

Tak nie może być. Dość tego! Wszyscy daliśmy się sterroryzować PiS-owi. To nie jest kwestia takich czy innych poglądów. To jest kwestia standardów.

Te insynuacje, ta głupota, ta miałkość i brak argumentów, te obelgi, wyzwiska, ta kompletna patologia i język jak z rynsztoka. To kręcenie, kluczenie, gdakanie, te publiczne występy, w których, jak słusznie powiedział Wojciech Mann, niezależnie od tego, o co są pytani, recytują jak katarynki jedną kwestię, niczym uczeń, który wykuł na blachę wierszyk i bardzo chce go powiedzieć. Ten kompulsywny, zawstydzający, pozbawiony na ogół sensu i związku z pytaniem słowotok. To prostactwo. Pogarda. Pomówienia. Świństwa robione na każdym kroku. Ta kompletna nienormalność i stawianie wszystkiego na głowie. To jakiś żart?

Odmawiam brania w tym udziału. Odmawiam dyskutowania na tym poziomie. Odmawiam kontaktów – także zawodowych – z ludźmi, którzy nie trzymają standardów kultury w dyskusji i międzyludzkich kontaktach. Moje sumienie mi na to nie pozwala. Moje człowieczeństwo mi na to nie pozwala. Nie pozwala mi na to także mój rozum, szacunek do samej siebie i moich widzów.

Apeluję o narodową akcję przywracania szacunku. O egzekwowanie zasad, przyzwoitości, normalności. O nazywanie, głośno i mocno po imieniu tego, co widzimy. A jeśli chodzi o ludzi, którzy tak się zachowują – o pełną adekwatność w ich traktowaniu. Niech sami zasmakują tego, co tak obficie serwują innym. Śmiało.

Antoni Macierewicz pokazuje, że nie ma wstydu (wstyd jest prawdopodobnie w jego rozumieniu kategorią dla

naiwniaków). Pokazuje raczej, że ma interesy, które zostały naruszone przez ujawnienie faktu, że nie jest osobą, za którą od lat się podaje. Jego rzecznik zachowuje się jak płatny zderzak pozbawiony podstawowych zasad przyzwoitości. Premierka Szydło, która ignoruje fakty, nawet nie chce ich sprawdzać, i wbrew nim mówi, że Macierewiczowi ufa, albo jest niemądra i kompletnie nieodpowiedzialna, albo ma w takim postępowaniu jakiś interes. Sprawdzenie, czy i jaki – to już robota dziennikarzy śledczych.

Ale niezależnie od tego, co sobą reprezentują czy też nie reprezentują, wobec obywateli i obywatelek ci wszyscy państwo, których zatrudniamy i którym płacimy pensje, mają psi obowiązek wyjaśnić, dlaczego rzekomy czołowy lustrator RP bierze kasę od byłego TW (od którego tropy prowadzą do byłego agenta GRU)? Zasiada z nim we władzach fundacji? Kontaktuje się? Na co poszły pieniądze, które wziął, i za co je wziął? Jakie stosunki prywatne i zawodowe z osobami wymienianymi w artykułach Tomasza Piątka łączą go teraz?

Czekam, panie ministrze. Czekam, szanowny PiS-ie, wypchany jak balon frazesami o uczciwości i esbeckich układach.

Szydło przemówiła po raz drugi

Chamskie, butne i wygłoszone z tępym samozadowoleniem partyjnej biurwy przemówienie premierki Szydło [5 lipca 2016 roku – przyp. EM], która miała czelność powiedzieć, że ci, którym nie podoba się działalność Macierewicza, powinni się wstydzić; że media krytykujące jego działalność stają po stronie zdrajców – zdrajców! – takich jak Maleszka.

Ona – firmująca twarzą niszczenie demokracji, promocję kolesiostwa, nepotyzmu i afer na niebywałą skalę. Ona – zadłużająca Polaków szybciej niż Gierek, zakłamana (pamiętacie, jak mówiła, że Gowin będzie ministrem obrony?) i siedząca cicho, gdy niszczy się pozycję Polski w UE, łamie Konstytucję. Niemająca najmniejszego wpływu na rzeczywistość, trzęsąca się ze strachu przed utratą posadki, gdy wyrzuca się ludzi z pracy, zamyka usta mediom i opozycji, łamie kręgosłupy i usiłuje łamać życia. Niejeden, szanowna pani Szydło, nazwałby zdrajczynią panią i zdrajcami – pani kolegów, bo tak jak w czasie wojny zdrajcami są przechodzący na stronę wroga, tak w czasie pokoju zdrajcami są ci, którzy działają na szkodę swojego kraju i nie szanują jego obywateli,

ci, którzy sprawują władzę w interesie swoim, a nie obywateli, ci wreszcie, którzy łamią Konstytucję swojego kraju.

Co to za język u premierki kraju, szefowej rządu? Co to za język – język nazistowskich gadzinówek – u polityczki partii rządzącej? Co to za język u cywilizowanego rzekomo człowieka? Co to za widzenie świata i ludzi? Pomówienia, oszczerstwa, krzyk, przemoc i prostactwo, tępota i złodziejstwo. Możecie krzyczeć, ile wlezie, możecie wszystkich pozamykać. I tak nie macie racji. Jesteście nieuczciwi, cyniczni i zakłamani, kradniecie to państwo, zawłaszczacie obszary, które do was nie należą. Krzyczcie dalej, róbcie, co musicie, ale prawdy nie zakrzyczycie. Dziś wasze na wierzchu, ale jeszcze zobaczymy.

Kaczyński boi się najbardziej

Im bardziej fałszują historię, przeinaczają fakty, im bardziej próbują sprawować kontrolę nad rzeczami, których kontrolować się nie da, przypisują sobie cudze zasługi i bohaterstwo, im głośniej krzyczą, straszą i szantażują, tym bardziej wiem, że przegrają. Bo światło zawsze zwycięża z ciemnością, a odwaga i hart ducha z małością i zacofaniem, z nienawiścią i uprzedzeniami. Pamiętajcie, że rosnące kłamstwa są oznaką rosnącego strachu – ich, nie naszego. Bo, jak ktoś słusznie napisał, w dyktaturze boją się wszyscy, ale jeden boi się najbardziej. To Jarosław Kaczyński jest dziś pierwszym tchórzem Rzeczpospolitej, nikt nie lęka się bardziej niż on.

Śledztwo w sprawie nazwania Szydło nędznym błaznem

Nazwanie polityczki lub polityka nędznym błaznem [ktoś się ośmielił nazwać tak premierę Szydło – przyp. EM] mieści się w granicach wolności słowa. To po prostu opinia, do której każdy ma prawo, tyle że wyrażona niegrzecznie i prostacko. Na razie jednak w Polsce prostactwo i brak kindersztuby nie są zakazane prawem ani karane. Jedyne kraje, w których nie wolno krytykować polityków, a ze swoim zdaniem trzeba siedzieć cicho w domu, po kryjomu, to kraje autorytarne i totalitarne, dyktatury. Wolałabym, żeby niektórzy prokuratorzy nie stawali przeciwko wolnościom i prawom obywatelskim, i nie pracowali tak usilnie na miano najbardziej usłużnej wobec władzy grupy zawodowej. I wolałabym, żeby polska wolność słowa nie była jedynie wolnością do chwalenia PiS-owców.

TK

Przygotowany przez PiS projekt ograniczenia przywilejów sędziów Trybunału Konstytucyjnego to w istocie brutalne represje polityczne. To rzeczy, o których do dziś czytaliśmy w podręcznikach historii: prześladowanie ludzi, którzy w imię wolności i szacunku dla prawa sprzeciwili się władzy, i likwidowanie niezależnego sądownictwa. To szykany i represje, które łatwo przeoczyć, bo dzieją się na naszych oczach, między planowaniem urlopu a kłopotami z dzieckiem i spłatą kredytu.

A jednak trzeba mieć świadomość, że właśnie tu i teraz, wśród tych codziennych banałów, dzieje się historia. Ta właśnie PiS-owska ustawa będzie końcem państwa prawa i początkiem dyktatury jednej partii. W Polsce niezależny Trybunał Konstytucyjny nie pełni już swojej funkcji, uniemożliwiono mu czynienie tego, do czego został powołany – patrzenie na ręce władzy ustawodawczej, pilnowanie, by nie łamała prawa. Sądzę, że profesor Andrzej Rzepliński bez trudu uzyska dziś azyl polityczny, argumentowany prześladowaniami we własnym kraju, w każdym cywilizowanym państwie, które o to poprosi. Sądzę też, że to dopiero początek, że niedługo

przyjdzie kolej na niepokorną inteligencję, dziennikarzy, organizacje pozarządowe i wszystkich niezależnych ludzi i instytucje. Dokładnie według schematu, jaki pamiętamy z historii. Szkoda Polski.

Gdy oddaję książkę do druku, 1 lutego 2017 roku, przepychana jest ustawa „reformująca" Krajową Radę Sądownictwa – ostatni bastion niezależnego sądownictwa. Minister Ziobro chce, żeby sędziów do Rady wybierali politycy większości sejmowej – czyli w praktyce politycy PiS-u. Ponieważ niezależność sędziów nie jest przywilejem, ale gwarancją sprawiedliwego procesu dla obywateli, którzy mogą sądzić się także z władzą – pomysły Ziobry oznaczają likwidację trójpodziału władzy i niezawisłego sądownictwa w Polsce. Odtąd każdy obywatel będzie sądzony przez sędziego wyznaczonego przez PiS, a jeśli wyrok się PiS-owi nie spodoba, sędziego będzie można ukarać – zwolnić lub przenieść do innego sądu. Pomyślcie, jak będą orzekać sędziowie i jakiego wyroku możecie się spodziewać, gdybyście kiedyś mieli nieszczęście sądzić się o cokolwiek, choćby i o miedzę, z kimś z PiS-u.

76. miesięcznica smoleńska, 10 sierpnia 2016, Warszawa

Oglądam obchody z 76. miesięcznicy. Słyszę, jak Jarosław Kaczyński stawia siebie i swoją partię ponad prawem, ponad Konstytucją, ponad przyzwoitością, ponad wszelkimi normami, jak mówi, że jego oponenci polityczni przypominają nazistów i są formacją w jakiejś mierze obcą kulturowo. I widzę, czytam, w mediach i na portalach, jak opozycja skarży się na to, bezradnie płacze i narzeka.

Prawda jest taka, droga opozycjo i drodzy KOD-owcy, że nie powinniście być teraz na wakacjach. Prawda jest taka, że się lenicie. Kiedy krajowi zagraża autorytaryzm, trzeba było zostać na posterunku, trzeba było bez przerwy i bez wytchnienia – działać. Nie mamy dziś w Polsce normalnej sytuacji, ot, zwykłych, może nieco bardziej ostrych przepychanek między rządem a opozycją, mamy sytuację zagrożenia państwa i ustroju, w której władzy trzeba bardzo dokładnie patrzeć na ręce i robić, co możecie, żeby przeszkadzać i nagłaśniać przypadki hucpy i samowoli. Choćby miało to oznaczać dwie konferencje prasowe dziennie,

trzy marsze, sześć demonstracji i kilkumiesięczną okupację terenu przed pałacem prezydenckim lub przed KPRM.

A KOD? Gdzie jest KOD? Dlaczego pięćdziesiąt czy sto osób nie demonstruje wszędzie tam – powtarzam: dosłownie wszędzie! – gdzie jeździ, pokazuje się i przemawia premierka Szydło, Jarosław Kaczyński, minister Ziobro i inni, którzy stawiają się ponad prawem. Dlaczego nie krzyczycie wtedy: „Publikuj wyrok!", „Szanuj Konstytucję!", „Stop łamaniu prawa!", nie trzymacie w dłoniach transparentów tak, żeby nawet TVP nie mogła was nie pokazać? Nie uprzykrzacie im życia tak, żeby to odczuli? Nie od czasu do czasu, raz na miesiąc czy dwa, z chorągiewkami w rękach i uśmiechami na twarzach, ale zawsze, na każdej ważnej imprezie i uroczystości? Z powagą i gniewem, z pełną determinacją, odpowiednią do okoliczności? Czemu nie było was przy kongresie PiS?

Otóż Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory, bo robiło właśnie takie rzeczy. Solidarni 2010 nie demonstrowali raz na parę tygodni, oni po prostu okupowali Krakowskie Przedmieście przez wiele miesięcy. Kluby „Gazety Polskiej" nie działały gdzieniegdzie, tylko w całej Polsce, wszędzie, gdzie się da, organizowały spotkania, protestowały, zakłócały, promowały własne książki, media oraz polityków. Działały niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. PiS był widoczny, wpychał się wszędzie. Pamiętacie wybory, w których w każdym, naprawdę w każdym punkcie wyborczym byli obserwatorzy tej partii? No właśnie.

Nie jestem działaczką, jestem dziennikarką, ale powiem wam jedno: demokracji nie broni się nieśmiało i od czasu do czasu, demokracji nie broni się, jeżdżąc na wakacje i zbijając bąki, nie broni się jej też na Twitterze i Facebooku – tam wyżywać

się mogę literacko ja, publicystka, nie Wy, ludzie, na których spoczywa odpowiedzialność za wolność i spokój Polaków. Zresztą – jakie wakacje na miłość boską, skoro przegraliście wybory? Kiedy się przegrywa, haruje się jak wół, czas na urlop przychodzi później, po odrobieniu strat. I te wasze miękkie, nijakie gadki szmatki, pozbawione charyzmy, zdecydowania, twardej diagnozy sytuacji: No, niby Kaczyński łamie prawo, ale może nie do końca… Może i jest źle, ale nie aż tak… No, może robią, co chcą, ale mogliby gorzej.

Litości! Jeszcze moment, a sama zagłosuję na PiS.

Napaść na ludzi KOD-u na pogrzebie „Inki” i „Zagończyka”

Słucham dzielących włos na czworo, relatywizujących refleksji komentatorów i komentatorek po incydencie na pogrzebie „Inki” i „Zagończyka” i powiem wam jedno: swoimi wypowiedziami prezydent, premierka, prezes PiS-u i posłowie tej partii dali zielone światło najgorszym tchórzom, szumowinom i zwykłym przestępcom. Bo tym właśnie, tchórzami, szumowinami i przestępcami, są ludzie, którzy biją innych ludzi, popychają ich i szarpią, i obrzucają obelgami.

I nie ma znaczenia, jaką ideologią czy religią się takie szumowiny i przestępcy zasłaniają i jakie sobie dorabiają usprawiedliwienia i przyklejają etykietki: kibic, katolik, narodowiec, prawicowiec, konserwatysta, ani jaką akurat w tym momencie pełnią funkcję czy grają rolę społeczną. Szumowina to szumowina, przestępca to przestępca, kimkolwiek by nie był, czy jest sprzedawcą na stacji benzynowej, dziennikarzem, politykiem, czy arcybiskupem. Zło to zło.

Niestety, rozbudzanej świadomie przez polityków PiS żądzy – pobicia, zabicia (mam nadzieję, że tylko w sensie symbolicznym), zniszczenia innego, obsesji kontrolowania ludzi i narzucania im swojej woli, pragnienia władzy i okazywania pogardy, a przede wszystkim silnego pragnienia zemsty, którymi dyszą dziś doły i góra tej partii, właśnie środowiska narodowe i kibolskie lub/i wszelkiej maści fanatycy, czy to antyaborcyjni, religijni, czy antysemici i rasiści – nie da się później na życzenie wygasić i schować do pudełka (nawet gdyby niektórzy z partii Kaczyńskiego, przerażeni konsekwencjami własnych działań, tego chcieli, choć dziś nic na to nie wskazuje).

Najgorsze już się stało: przemoc, krzyk, brutalność, okrucieństwo i pogarda dla słabszych weszły do życia publicznego i dobrowolnie z niego nie wyjdą. I to my, Polacy, będziemy musieli się z nimi uporać, bo Kaczyński, który nam to piekło zafundował, ani nie jest odpowiedzialnym człowiekiem, ani – wbrew frazesom, których ma pełne usta – nie przejmuje się losem Polaków na tyle, żeby po sobie posprzątać.

I jeszcze jedno: czy ktoś może mi wytłumaczyć dlaczego policja wyprowadza Mateusza Kijowskiego, który wraz z innymi działaczami KOD przyszedł na pogrzeb „Inki" i „Zagończyka", a nie zwraca najmniejszej uwagi na agresywnych mężczyzn krzyczących do niego: „Ty kurwo!" i „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!" oraz – nie wiedzieć czemu – „KGB!"?

Na marginesie: zwróćcie Państwo uwagę, że „Dziennik Narodowy" opatruje relację o tym zdarzeniu nagłówkiem „Co za typ!" (to o Kijowskim) i gorszy się… jego obecnością, a nie zachowaniem narodowców i kiboli!

Nie odpuszczać

Dlaczego Jarosław Kaczyński, Zbigniew Ziobro czy Antoni Macierewicz robią, co robią? Bo mogą. Bo mimo podejrzeń o łamanie prawa i traktowanie państwa jak prywatnego folwarku nigdy nie spadł im włos z głowy. I dlatego w przyszłości wygra z PiS-em i popchnie Polskę na właściwe tory ten, kto mając w nosie wrzaski o małostkowości i mściwości (jakie zawsze podnoszą wszyscy zainteresowani finansowo i politycznie własną bezkarnością), sprawiedliwie ich osądzi i – wreszcie – ukarze.

Kto puszcza wolno gwałciciela, może się spodziewać, że w okolicy niedługo znów dojdzie do gwałtu, kto nie karze mordercy, ma jak w banku, że ten wkrótce zamorduje ponownie. Pobłażanie ludziom, którzy nas krzywdzą, nie jest dowodem dobrego serca, lecz głupoty, a karanie ich to nie przejaw mściwości, lecz sprawiedliwości i rozsądku.

W polityce jest dokładnie tak samo: rządy PiS-u nie wzięły się z kosmosu, lecz są wynikiem pobłażania, które przez lata okazywano ciemnym postaciom i sprawkom tej partii. Dlatego na prawdziwego lidera opozycji wyrośnie ten (lub ta), kto, nie patrząc na manipulatorskie posądzenia o odwet i zemstę

(stara śpiewka zagrożonych karą) i na własny interes („jeśli dziś puszczę ich wolno, to może oni kiedyś puszczą wolno mnie"), surowo, lecz uczciwie wreszcie rozliczy PiS.

Dlaczego nie ośmieliła się tego zrobić Platforma Obywatelska wtedy, kiedy mogła, trudno powiedzieć, jedno jest pewne: wyszła na największą naiwniaczkę świata, bo choć straciła cnotę, rubla nie zarobiła. Darowała PiS-owi przypadki nadużywania prawa, odpuściła Ziobrze nawet Trybunał Stanu (!), w zamian za co PiS nie daruje jej niczego, a jeśli nie będzie powodów do linczu, to je sobie wymyśli.

Ten mechanizm wydaje się tak oczywisty i tak samobójczy, że z ogromnym zdumieniem patrzę, jak z zapałem powiela go nawet lider KOD-u, który ni mniej, ni więcej tylko oznajmił w poniedziałkowej „Wyborczej", że zamierza bronić zasad, które łamie PiS, takich jak praworządność, otwartość i tolerancja, ale… nie atakując PiS-u. Nie sądziłam, że wobec tego, co wyprawia teraz partia Kaczyńskiego, usłyszę jeszcze od kogokolwiek tę zdartą śpiewkę, nie tylko społecznie demoralizującą (obywatele widzą, że są ludzie stojący ponad prawem), ale też, co w kategoriach politycznych jest może nawet ważniejsze, kompletnie nieskuteczną.

Dla większego efektu powtórzę więc: to genialnej metodzie zapewniania bezkarności przestępcom i podejrzanym typom u władzy oraz strachowi przed nazywaniem rzeczy po imieniu zawdzięczamy zwycięstwo PiS-u w wyborach, obsadzenie najważniejszych ministerstw, kierownictwa służb specjalnych i wojska ludźmi oskarżanymi o łamanie prawa i wszystko inne, a teraz ćwiczymy boleśnie na własnej skórze: chaos, prawo pięści, przemoc faktyczną i symboliczną, zagrożenie dla rządów prawa i naszych podstawowych wolności.

I w naszym wspólnym polskim interesie ludzie pretendujący do miana przywódców muszą wreszcie zrozumieć, że walka o wyższe wartości i zasady nie kłóci się z surowym, choć sprawiedliwym karaniem tych, którzy je łamią. Nie tylko można, ale nawet koniecznie trzeba robić jedno i drugie. Mało tego – bez karania politycznych przestępców, bez zdecydowanych działań przeciw nim żadnych wartości i zasad się nie obroni.

Nie da się pogodzić wody z ogniem. Nie da się bronić uczciwości i Konstytucji, puszczając oko do ludzi popełniających przestępstwa i nadużywających władzy. Każda choćby sugestia, że mogą liczyć na pobłażliwość i wyrozumiałość, jest kolejnym przestępstwem przeciw Polakom, jest symbolicznym wbiciem im noża w plecy.

Używam ostrych słów, bo i sytuacja jest poważna: Komisja Europejska w odtajnionym fragmencie swojego raportu stwierdza, że praworządność jest w Polsce systemowo zagrożona. Systemowe zagrożenie oznacza zaś, że nie mamy do czynienia z pojedynczymi wybrykami ludzi, którym woda sodowa uderzyła do głowy, z jednostkami, które zachłysnęły się władzą i za moment zostaną przez niezależny wymiar sprawiedliwości przywołane do porządku. Systemowe zagrożenie to zagrożenie całego państwa, pewnych reguł, na które się umówiliśmy, jak ta, że rząd i parlament wyłonione w wyniku demokratycznych wyborów są kontrolowane przez w pełni niezależnych sędziów i dziennikarzy właśnie po to, żeby żadnemu z ministrów, premierów, prezydentów czy posłów nie przyszło do głowy stawiać się ponad prawem.

My takiej kontroli już prawie nie mamy.

Zakaz handlu w niedzielę

Zupełnie nie rozumiem argumentów używanych w dyskusji, a raczej awanturze o zakaz handlu w niedzielę. Argument związkowców, że zamiast do sklepu powinno się pójść na spacer z rodziną, jest chybiony, ponieważ związkowcy, jak wszyscy inni ludzie, mają prawo decydować tylko o tym, jak oni sami spędzają weekend, a nie o tym, jak mają robić to inni. Krótko mówiąc: niech spacerują po parku do woli, ale od cudzej niedzieli im wara.

Argument katolików, że zamiast na zakupy w niedzielę powinno się pójść na mszę świętą, jest z tej samej półki, z tym że nieco głupszy i bezprawny. Głupszy, bo mamy w Polsce wolność wyznania i wolność sumienia, co oznacza, że nikt nie ma prawa zmusić katolika, żeby poszedł w niedzielę do galerii, zamiast na mszę, ale i katolik nie ma prawa zmusić nikogo, żeby żył według zasad i przepisów jego religii. Kropka. Jeśli to się jakiemuś katolikowi nie podoba, niech pójdzie na terapię i spróbuje uporać się z uporczywą potrzebą kontrolowania życia innych ludzi.

Co jednak najważniejsze i w zasadzie zamyka dyskusję, Konstytucja gwarantuje obywatelom rozdział Kościoła od

państwa. Oznacza to, że parlament, choćby nawet chciał, nie może, nie ma prawa, nie wolno mu, uchwalać ustaw zapisujących w formie prawa zasad jednej wybranej religii, w tym wypadku katolickiej. Gdyby tak się stało, byłoby to (wybaczcie że tak uporczywie o tym mówię) łamanie Konstytucji.

Jedyny argument, który nie tylko można, ale wręcz powinno się starannie rozważyć, dotyczy skandalicznych warunków pracy ludzi zatrudnionych w galeriach handlowych. Na to remedium nie są jednak zakazy czy zamykanie sklepów, bo wtedy ludzie ci stracą tę pracę i ich los jeszcze się pogorszy, tylko wymuszenie na sejmowej większości (sensownym lobbingiem) zajęcie się następującym problemem: problemem Inspekcji Pracy, od lat patrzącej przez palce na śmieciowe umowy tam, gdzie ich być nie powinno, na nagminne niepłacenie pracownikom nadgodzin i dodatkowego wynagrodzenia za pracę w niedzielę i święta. Tu zaś nie potrzeba nowych ustaw, tylko sprawnego egzekwowania już istniejącego, całkiem niezłego prawa. Koniec pieśni, posłowie do roboty.

PiS – Posady i Swoi

PiS chce zlikwidować konkursy przy zatrudnianiu na kierownicze stanowiska w Agencji Mienia Wojskowego. (Czytaj: potrzebujemy sporo synekur do rozdania tępym partyjnym działaczom. Tępym – bo gdyby byli kompetentni i inteligentni, nie mieliby żadnych obaw przed startowaniem w konkursach). Beata Mazurek, rzeczniczka PiS-u, tłumaczyła przed chwilą w telewizji, że konkursy i tak były fikcyjne, więc można spokojnie je sobie odpuścić.

Pomijając publiczne postawienie poprzednikom zarzutu popełnienia wielu przestępstw – na które będąc na miejscu kierownictwa PO zareagowałabym pozwem sądowym i na które pani Mazurek nie przedstawiła cienia dowodu – zgodnie z tą logiką PiS powinien zlikwidować kary za kradzieże, rozboje, morderstwa i gwałty, bo i tak, mimo zakazów, ludzie przecież kradną, napadają, mordują i gwałcą. Po co więc utrzymywać fikcję?

I już zupełnie na marginesie, moja darmowa litościwa rada dla PiS-u: nie jest fanaberią, ale absolutnym wymogiem minimalnego choćby profesjonalizmu, żeby rzeczniczka/rzecznik prasowy, czyli wizytówka partii: a) mówił

nienaganną polszczyzną, b) uśmiechał się choć raz na jakiś czas, c) był w stanie zbudować choćby jedno zdanie wielokrotnie złożone bez obrażenia kogokolwiek, d) wyglądał (świeżo umyte włosy, dobrze skrojona garsonka lub garnitur i czyste buty – to w dzisiejszych czasach absolutny „must").

PiS-owska komisja weryfikacyjna do spraw reprywatyzacji

Patryk Jaki mówi właśnie TVN 24, że stosunek do PiS-owskiej komisji weryfikacyjnej to test uczciwości. W domyśle: wszyscy, którzy nie poprą komisji, są za tym, żeby nie rozliczać złodziei. Otóż w państwie prawa złodziei się nie rozlicza. W państwie prawa złodziei łapie policja, później prokuratura stawia im zarzuty i jeśli uważa, że dowiodła ich winy – sporządza akt oskarżenia, który trafia do sądu. Dopiero kiedy niezawisły sąd orzeknie winę, wiemy, że złodzieje faktycznie byli złodziejami i możemy ich tak nazywać, i dopiero wtedy ponoszą karę za swój czyn. Podczas całego tego postępowania, aż do skazania, obowiązuje domniemanie niewinności. Długotrwała ta procedura? Męcząca? Owszem. Ale to jedyny sposób na zrealizowanie w praktyce prawa do obrony (a pamiętajcie, że posądzonym o coś może być w każdej chwili każdy z was, a wtedy będziecie chcieli nie szybkiego i medialnego, lecz uczciwego procesu). Jeśli stosunek do komisji weryfikacyjnej, o której już tęgie prawnicze głowy mówią, że nie mieści się w polskim systemie prawnym, cokolwiek testuje, to to, czy PiS

i jego żołnierze nauczyli się normalnej debaty i rzetelnej dyskusji, zamiast straszenia i – ulubiona metoda tej partii – szantażowania.

Otóż nie – nie nauczyli się. Słowa Jakiego są bowiem właśnie ordynarnym tępym szantażem: nie jesteś z nami, jesteś podejrzany. Przetestujmy więc, ile osób ze strachu przed trafieniem do szuflady z napisem „podejrzany" i posądzeniem o wspieranie „złodziei" będzie milczeć. Ja nie będę. Pomysł komisji weryfikacyjnej jest skandaliczny i zły. Niezgodny z prawem i zdrowym rozsądkiem, a także elementarnymi zasadami uczciwości i rzetelności. Posłowie w przypadku reprywatyzacji, także warszawskich, mają do roboty tylko jedno: uchwalić ustawę reprywatyzacyjną i zastanowić się, co zrobić, żeby realnie przyspieszyć procesy sądowe (nie narażając na szwank ich jakości). Patryk Jaki zaś – i to już uwaga na marginesie – kompletnie nie nadaje się na swoje stanowisko. Właściwie nawet przynosi mu wstyd.

Zasady czy ludzie?

Mówić (Mateusz Kijowski), że się występuje w obronie zasad, a nie przeciwko tym, którzy je łamią (PiS), to jakby powiedzieć, że gwałt i mord jest zły, ale do gwałcicieli i morderców nic nie mamy – niech robią, co chcą. Nie można obronić zasad, jeśli nie wymierzy się sprawiedliwości tym, którzy je łamią.

Moje zastrzeżenia do Kijowskiego

Tekst ten opublikowałam na Facebooku 28 października 2016 roku, a więc jeszcze przed wybuchem afery „fakturowej" z Mateuszem Kijowskim i jego żoną w rolach głównych.

Mateusz Kijowski wie, że go podsłuchują, że „ktoś za nim chodzi", ale nie powie, skąd to wie, i nie ujawni dowodów (choć je ponoć ma). Wypisz wymaluj Jarosław, a wcześniej Lech Kaczyńscy – to identyczna retoryka insynuacji i retoryka „wiem, ale nie powiem". Walczyłam z tym zawsze, nie dlatego, że posługiwał się tym PiS, ale dlatego, że to niedopuszczalne – oskarżenia bez dowodów są nie tylko realnym zagrożeniem dla praworządności, ale też całkowitą kompromitacją polityka i każdej osoby publicznej, która wypowiada się w ten sposób.

Ale to jeszcze nie koniec rewelacji: Mateusz Kijowski, oprócz tego, że „wie, ale nie powie", a nie powie, „bo tak", wyznaje dziennikarzowi, że inwigilowanie nic go nie obchodzi (przypominam, mówimy o podsłuchiwaniu opozycji) i że nie będzie wnosił żadnych spraw przeciw PiS ani robił wokół tego rabanu – bo w końcu co z tego, że ktoś usłyszy, jak kłóci się z żoną. Dowodzi to głębokiego niezrozumienia przez Mateusza,

czym jest prawo, zasady i reguły społeczne w państwie prawa, i jak ważne jest, byśmy wszyscy, słusznie domagając się od Prawa i Sprawiedliwości przestrzegania wysokich standardów nie tylko etycznych, ale i proceduralnych, wymagali tego najpierw od siebie i dawali dobry przykład (nie tylko słowem, lecz przede wszystkim czynem). I jeszcze – choć to w zasadzie wisienka na tym kwaśnym torcie – ta PiS-owska retoryka Kijowskiego, ta argumentacja uwiarygadniająca stosowane przez polityków od Kaczyńskiego złe, nieprawidłowe, nieprawdziwe i podłe myślenie: nie przeszkadza mi, że mnie podsłuchują, bo nie mam nic do ukrycia. Przecież to właśnie mówi ta autorytarna władza: kto jest niewinny, nie ma się czego bać. Przecież to jest właśnie żywcem wyjęte z języka i propagandy bolszewików. Temu właśnie sprzeciwia się KOD, my wszyscy się sprzeciwiamy!

Jeśli Mateusz Kijowski nie wytłumaczy się z tych słów, nie pokaże dowodów i nie pociągnie PiS do odpowiedzialności – od dziś przestaje być wiarygodny jako obrońca demokracji. Uważam te wypowiedzi za absolutny skandal i szkodę wyrządzaną ludziom, którzy chodzą w marszach KOD, narażając się na wyzwiska i czasem szykany ze strony władzy. Taki lider to także ogromna krzywda wyrządzana działaczom KOD, którzy bardzo ciężko pracują, próbując się przeciwstawić realnemu zagrożeniu dla demokracji, praw człowieka i wartości, takich jak uczciwość, jawność, równość wobec prawa, zasady jednakowe dla wszystkich, wolność i godność, do których nie tylko oni, ale, jak sądzę, większość obywateli jest głęboko i prawdziwie przywiązana.

Cztery tysiące za dziecko z gwałtu

Cztery tysiące złotych za urodzenie (choć tylko żywego) dziecka z nieuleczalną chorobą lub mocno upośledzonego. Plus propozycja czterech tysięcy złotych za urodzenie dziecka gwałcicielowi. A za gwałt zbiorowy będzie cztery tysiące razy liczba gwałcicieli? A za gwałt ze szczególnym okrucieństwem dorzuci się kobiecie jeszcze kilka tysięcy ekstra? Już widzę gwałcicieli, którzy powiedzą sobie, że w sumie, gwałcąc, robią kobiecie przysługę – przecież ona na tym wszystkim może jeszcze zarobić.

Dla rządu PiS wszystkie kobiety to prostytutki, a mężczyźni – bezsilni frajerzy. Już tak na marginesie pogardy PiS-u dla nas, kobiet, zapytam was, panowie, bo zdaje się, nikt dotąd o to nie pytał: chcielibyście żeby wasza żona czy dziewczyna urodziła gwałcicielowi dziecko? Wychowacie takie dziecko bez problemu, będziecie je kochać i łożyć na jego utrzymanie? Dla was – nie ma sprawy?

Bo jeśli nie, to może coś zrobicie? Zaprotestujecie? Może czas na czarny marsz mężczyzn, partnerów kobiet? Nigdy jaśniej nie można było zobaczyć, czym się kończy dopuszczanie do władzy ludzi bez moralności, empatii, charakteru i zasad, bez

podstawowego choćby kręgosłupa i wartości, którzy innych traktują wyłącznie instrumentalnie, jak środek do osiągania własnych celów. Nigdy jeszcze od 1989 roku nie było w Polsce rządu, który by tak nienawidził własnych obywateli, tak ich nie rozumiał i tak nimi gardził.

Cytat

„Ludzie którzy głosują na nieudaczników, złodziei, zdrajców i oszustów, nie są ich ofiarami. Są ich wspólnikami”. George Orwell.

Pierwszy rok rządów PiS-u

Od rana w mediach trwa festiwal propagandowy rządu (rocznica), dzielnie wspierany zwłaszcza przez dziennikarzy mediów niby krytycznych wobec władzy. Kiedy ich słucham, doznaję olśnienia, w psychologii nazywanego „efektem Aha!" – już wiem, dlaczego populiści tak łatwo wygrywają wybory i dlaczego, mimo łamania prawa i skrajnej niekompetencji w prowadzeniu polityki zagranicznej, militarnej i legitymizowania kiboli i bandytów, utrzymują relatywnie niezłe notowania. „Część obietnic dotyczących rodziny rząd spełnił, teraz czas na gospodarkę". „Wdrożono 500 Plus i Mieszkanie Plus". „Pierwszy rząd, który pokazał, że obchodzą go biedni" – to tylko niektóre z entuzjastycznych okrzyków wznoszonych przez podekscytowanych reporterów, którym entuzjazm wystarcza najwyraźniej za merytoryczne przygotowanie się do pracy.

Wszystko to nieprawda. Spełniona obietnica to obietnica wdrożona z sukcesem, której efekty są takie, jak oczekiwano, czyli dobre dla ludzi. W przypadku 500 Plus mamy do czynienia zaledwie z początkiem działania tego programu, który wielu uważa za niekonstytucyjny (dzieli dzieci na lepsze

– drugie i gorsze – pierwsze, i ich rodziców na lepszych i gorszych), a już zabrakło w niektórych samorządach pieniędzy, mimo że zapłacimy za niego wszyscy (już płacimy) wyższymi podatkami, dziurą w budżecie i biedą już za rok. Mieszkanie Plus właściwie nie istnieje – to tylko puste hasło, do którego nie ma nawet ustawy, a enuncjacje w prasie, które gdzieniegdzie się na ten temat pojawiają, nie są wcale zachęcające. „Mieszkania w Mieszkaniu Plus nie będą wcale tanie" – to tylko jeden z nagłówków w fachowej prasie z tego tygodnia, dotyczący tematu. Trudno tu mówić o „spełnieniu" – samo to hasło jest jeszcze obietnicą, i to obietnicą czegoś w ogóle niefajnego, bo przecież od normalnego rządu w normalnym kraju nikt nie oczekuje, żeby budował mieszkania. Oczekujemy raczej takich warunków dla gospodarki, żeby mogła się rozwijać, żebyśmy mogli pracować, zarabiać i kupować sobie mieszkania – i wcale nie najtańsze, tylko takie, jakie chcemy, za własne, uczciwie zarobione pieniądze. Mieszkania powinny budować prywatne firmy – działające na zdrowym, rzetelnie uregulowanym przepisami prawa rynku.

O „zajęciu się biednymi" nawet szkoda gadać. Ten rząd produkuje nie tylko ludzi biednych finansowo, ale i ubogich duchem i umysłem – wystarczy spojrzeć na ciemnotę szerzoną w przestrzeni publicznej przez kościelno-PiS-owską propagandę, „reformę" edukacji (choć to coś, co robi ministra Zalewska w szkołach, obok reformy nigdy nawet nie stało), infantylny i agresywny sposób rozmawiania o najważniejszych sprawach. Przecież ten rząd w ogóle nie rozmawia – praktycznie zlikwidował dialog społeczny – tylko krzyczy, zastrasza i/lub wygłasza tyrady.

Szczytem wszystkiego natomiast było widoczne w każdej niemal prywatnej stacji „czekanie na konferencję rządu, który opowie o swoich dokonaniach". Ludzie! Od kiedy stara rzymska zasada, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie, już nie obowiązuje? Od kiedy o ocenę jakiegokolwiek przedsięwzięcia pytamy jego autorów? A jeśli pytamy – czego się spodziewamy? Rzetelnej i wnikliwej oceny? Zdrowego krytycyzmu?

Rząd powinni oceniać eksperci, ludzie, którzy znają się na tym, o czym mówią, za którymi stoi poparta doświadczeniem wiedza w konkretnej dziedzinie. Rząd nie powinien oceniać się sam za pośrednictwem mediów, które usłużnie transmitują peany polityków na własny temat.

Czy powołaniem mediów nie jest to, aby patrzeć władzy na ręce? Czy naszą misją nie jest obnażanie wszystkiego, co władza chce ukryć, i wyciąganie na światło dzienne tego, co chciałaby schować? Czy nie jesteśmy od mówienia o rzeczach dla polityków niewygodnych, o których za nic na świecie nie chcieliby rozmawiać? Czy naszymi pracodawcami nie są obywatele, a nie politycy?

Niestety, media w zaskakująco sporej części zachowują się jakby zidiociały i zapomniały o swoim podstawowym warsztacie: dochodzeniu do faktów i pokazywaniu, jak jest.

Ludzi dobrej woli jest więcej

Od zwycięstwa PiS-u w wyborach wszyscy miewamy czasem wrażenie, że żyjemy w domu wariatów. Wielu z was męczy pytanie (wiem, bo zadajecie mi je na spotkaniach, w mailach i korespondencji): jak rozmawiać z populistami? Jak debatować w przestrzeni publicznej – i wygrywać dyskusje! – z ludźmi, których propaganda jest tak niezwykle skuteczna, jak bronić się przed widocznym wszędzie kłamstwem, praktycznie na każdy temat, i odpierać ataki agresywnych krzykaczy?

W normalnym prywatnym świecie odpowiedź brzmi rzecz jasna: nie rozmawiać. Nie zniżać się do poziomu obskurantyzmu, obłożyć infamią, nie zaszczycać polemiką oczywistego głupstwa i podłości, nie wynosić – przez podejmowanie dyskusji – do własnego poziomu. Najwyżej obśmiewać. W życiu publicznym jednak tak nie można, bo oznaczałoby to poddanie się bez walki, oddanie pola i kraju niekompetentnym kłamcom bez sumienia.

Populistów, kłamców i mitomanów można pokonać tylko w jeden sposób: nazywając rzeczy po imieniu. Pytając, kwestionując, dociekając, sprawdzając, wyciągając jedno

kłamstwo po drugim i uważnie mu się przyglądając, demaskując, prostując i obnażając rzeczywiste intencje kłamczuchów, pokazując, dlaczego kłamią i jaki mają w tym interes. Ujawniając drugie dno, bo – i na to uczulam was szczególnie – zazwyczaj istnieje jakieś drugie, a nawet trzecie i czwarte dno.

Wskazane byłoby też nie odpowiadać na próby zastąpienia rzetelnego dialogu emocjami, nie dać się zakrzyczeć ani zaszantażować, także moralnie, odmawiać pływania w odmętach histerii i „zranionych uczuć", także religijnych, i po prostu z uporem sprowadzać każdą kwestię do faktów, prawdy i uczciwości.

A nade wszystko zamiast, jak się dzieje dziś, ograniczać się do czystej reaktywności i pasywnego odpowiadania na zarzuty i zaczepki, odnoszenia się do PiS-owskich wymysłów czy połajanek, zacząć wykazywać inicjatywę, mówić i robić swoje. Cierpliwie i bez nerwów, spokojnie, ale jednak w kółko, tak długo, jak będzie trzeba, wciąż i wciąż to samo.

Odkłamywać. Co to znaczy? Otóż dla mnie odkłamywać to prostować każde, nawet najdrobniejsze kłamstwo (zresztą nie ma czegoś takiego jak drobne kłamstwo, kłamstwo to kłamstwo). Niczego nie zostawiać bez odpowiedzi. Na zniesławienie odpowiadać faktami, nagłaśniać, kiedy coś złego się dzieje, nie wstydzić się o tym mówić – a wstydzimy się częściej niż chcielibyśmy przyznać – przeciwnie: głośno krzyczeć. Robić dużo hałasu. Wierzgać. Robić raban. Dalej – i tego, jak sądzę, tłumaczyć nie trzeba – przywracać słowom ich prawdziwe znaczenie.

I wreszcie: przestać oglądać się na to, co robi PiS, przestać ciągle zerkać nań przez ramię. A niech sobie robi, co chce. Robić swoje. Zamiast wyłącznie odpowiadać swoimi

działaniami na kolejne posunięcia władzy, partii, narodowców, prawicowych mediów, Kościoła czy kiboli, robić to, co my sami uważamy za słuszne (rzecz jasna, wymaga to znajomości siebie i świadomości, co tak naprawdę uważamy za słuszne), zamiast zajmować się tematami podrzucanymi przez PiS (najczęściej w celu przykrycia innych – niewygodnych), pisać i mówić o tym, o czym akurat my sami z jakiegoś powodu chcemy mówić i pisać.

Działać w swoim tempie. Nie dać się poganiać. Zachowywać zimną krew. To ważne, bo histeria (co wiemy choćby z lektury portali wPolityce.pl czy Fronda.pl) bardzo osłabia wiarygodność. Wyrobić w sobie odporność na drwinę, na poniżanie. Nie oburzać się (a przynajmniej nie za często), nie tłumaczyć, nawet nie za wiele narzekać (choć wiem, jak trudno się powstrzymać). Nie dyskutować z każdym i przestać przepraszać. Po prostu: z uporem, bez względu na okoliczności i cenę, jaką przyjdzie zapłacić, być sobą i działać po swojemu.

A w tym wszystkim, rzecz jasna, wspierać się w każdy możliwy sposób. Wykazywać wzajemną troskę i solidarność.

I na koniec – *last but not least* – niezwykle ważna jest odwaga cywilna i dawanie przykładu (to także najtrudniejsze, bo niesie ze sobą osobiste ryzyko, choćby zwolnienia z pracy, ale konieczne – bez tego ani rusz). Bo tak jak człowiek czasem nie wie, że jest smutny, dopóki nie spotka kogoś, kto ma w sobie prawdziwą pasję i radość życia, tak czasem nie wie, że jest tchórzem, dopóki nie spojrzy w oczy prawdziwej odwadze. Pisałam już o tym kiedyś, ale będę pisać do skutku: przykład jest zaraźliwy, a inspiracja nie do przecenienia; to pod jej wpływem często rodzi się pragnienie czegoś więcej i zmiany,

tęsknota do wyższych uczuć i godnego życia. Trzeba znaleźć w sobie siłę, żeby dawać przykład!

Przede wszystkim jednak, żeby zwyciężyć (a zwycięstwo jest możliwe!), najpierw trzeba zrozumieć i uświadomić sobie pewien mechanizm będący zarazem naszą własną największą słabością, że w świecie kłamstw, agresji i ciągłej walki, który nas niezwykle męczy, populiści czują się dobrze i swobodnie, wręcz pływają jak rybki w wodzie. Podczas gdy my, chcąc zredukować nasz dyskomfort, niecierpliwie dążymy do przywrócenia prostoty, jasności przekazu i reguł gry (i z tej niecierpliwości popełniamy wiele błędów), oni wręcz przeciwnie – nie spieszą się i działając na zimno, robią wszystko, żeby chaos i poczucie „stanu wyjątkowego" (pod których przykrywką robią interesy życia) utrzymać jak najdłużej. Dlatego my także powinniśmy zrozumieć, że ta walka po prostu musi potrwać. I że choć efekty takich działań nie będą widoczne od razu – to będą. Bo, jak śpiewał Czesław Niemen, ludzi dobrej woli jest więcej.

Pułkownik Mazguła

Szanowni Państwo, to jakieś szaleństwo: dlaczego pan płk Adam Mazguła nie miałby podpisywać apelu wzywającego do marszu przeciwko autorytarnym rządom PiS-u 13 grudnia? Dlaczego z tego powodu od złożenia podpisów mieliby odstąpić Lech Wałęsa czy Władysław Frasyniuk? Pułkownik Mazguła był w PRL oficerem wojska polskiego – ale, jak sam twierdzi (a gdyby było inaczej, prawica z pewnością by to prędko wyciągnęła), nie miał z wprowadzeniem stanu wojennego nic wspólnego, nikogo nie prześladował (inaczej niż PiS-owscy urzędnicy Kryże czy Piotrowicz). Dziś natomiast, mając za sobą piękną kilkudziesięcioletnią kartę służby dla Polski, także za granicami kraju, z wielką konsekwencją i odwagą, głośno przeciwstawia się bezprawnym praktykom obecnej władzy. To, co robi i mówi płk Mazguła, trafia do żołnierzy i ludzi służb mundurowych, których reprezentuje na protestach i wiecach. Pułkownik Mazguła dla wielu osób stał się symbolem sprzeciwu pracowników resortów siłowych wobec braku demokracji – i za to go szanuję. Nie ulegajmy propagandzie TVP i nie dajmy się zwariować. Protest 13 grudnia – choć pod patronatem dawnych opozycjonistów – jest

wydarzeniem z teraźniejszości, z tu i teraz, i mają prawo wziąć w nim udział i zachęcać do niego wszyscy, którzy swoimi działaniami dowiedli, że zależy im na wolnej i demokratycznej Polsce.

Esbeckie emerytury

Krótko na temat trudny, obrosły w Polsce wieloma legendami i populistyczną retoryką, którego na ogół nie porusza się z tchórzostwa: rzekomą „dezubekizaję” (bo to, co proponuje PiS, żadną dezubekizacją nie jest). W Polsce jest bowiem tak, że nawet najtrzeźwiej myślący ludzie, najwięksi legaliści i/lub przeciwnicy populizmu na hasło „zabrać ubekom emerytury” nabierają wody w usta. Wolą siedzieć cicho, bo każdy, nawet cichy głos sprzeciwu, nawet ledwo słyszalny szept „nie podoba mi się to, co robi PiS” skutkuje nagonką w prawicowej prasie i okrzyknięciem nieszczęśnika „obrońcą ubeków”. Otóż ja zaryzykuję i powiem w kilku punktach, dlaczego nie podoba mi się ustawa, którą PiS nazywa dezubekizacyjną.

Nieodżałowany Kisiel mawiał, że sprawiedliwość społeczna tym się różni od sprawiedliwości, czym krzesło od krzesła elektrycznego. Słuchając argumentów za tak zwaną ustawą dezubekizacyjną (tak zwaną, bo powtórzę – to żadna dezubekizacja), nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ktoś tu kogoś robi w konia.

Bo jeśli, jak mówi PiS, wszyscy ubecy bez wyjątku byli zbrodniarzami – dlaczego nie zostaną, każdy z osobna,

osądzeni i skazani na więzienie? Skoro popełniali zbrodnie, brak sądu jest przecież niesprawiedliwy, niewytłumaczalny i szalenie demoralizujący. Jeżeli z kolei zbrodniarzami nie byli – skąd pomysł na zmniejszanie im emerytur? Za co i na jakiej podstawie PiS chce tych ludzi karać?

Bo, przypominam, to, że władza kogoś nie lubi i potrzebuje kolejnych wrogów, by zatuszować fakt, że kończą się pieniądze, to przecież żaden powód, czyż nie? Jeśli zaś, co jest najbardziej prawdopodobne, niektórzy „ubecy" popełniali przestępstwa, a inni (większość) nie – to dlaczego, w imię niekonstytucyjnej zresztą odpowiedzialności zbiorowej, karać wszystkich za winy nielicznych?

Argument, że ubecy budowali i wspierali PRL, państwo represyjne, nie przekonuje mnie także. Stanisław Piotrowicz i PRL-owscy prokuratorzy i sędziowie budowali je także, podobnie jak milicja, wojsko oraz część nauczycieli, urzędników i innych obywateli – ideowych komunistów. Całkiem sporo ludzi dobrowolnie, powodowanych żądzą zysku lub zawiścią, donosiło w PRL-u UB, a później SB na swoich sąsiadów. I co – obniżamy uposażenia wszystkim, którzy skończyli sześćdziesiąt lat?

I rzecz ostatnia, choć z punktu widzenia zasad bardzo ważna: tak, „ubecy" nie budzą naszej sympatii. Większości z nas samo hasło „UB" czy „SB" kojarzy się bardzo źle. To jednak nie jest powód, żeby traktować tych ludzi inaczej, niż chcielibyśmy, żeby potraktowano nas (to jest bez domniemania niewinności, sprawiedliwego sądu i indywidualnego, uczciwego procesu) i inaczej, niż wskazują zasady państwa prawa. Winę należy udowodnić. Nie stosuje się odpowiedzialności zbiorowej. Ludzie są równi wobec prawa. „Ubecy" też.

PS O tym, że projekt bynajmniej nie dotyczy tylko „ubeków”, ale policjantów, strażaków, pograniczników i wielu innych Bogu ducha winnych grup, nawet nie wspominam. Propaganda PiS mówi o „ubekach”, bo uznaje, że tak najłatwiej zamknie krytykom usta. Kolejne kłamstwo przebrane w dobre rzekomo intencje.

Zdelegalizować PiS

Trzeba dziś walki o Polskę tak zażartej, jak PiS walczy przeciw Polsce. Tyle że on walczy, łamiąc prawo, a Trybunał Konstytucyjny może uratować Polskę przed autorytaryzmem zgodnie z prawem.

Tak, Polska doszła już do ściany. Władza ogranicza nam wolność demonstrowania przekonań, tak jak ograniczyła wolność mediów, a dziennikarzy piszących o niej krytycznie straszy zarzutami o szpiegostwo lub zwalnia z pracy. Atakuje i poniża organizacje pozarządowe, z aresztowań robi polityczne spektakle. Szefowa rządu łamie Konstytucję, a przedsiębiorcy traktowani są jak potencjalni przestępcy. Urzędnicy państwowi i ministrowie z nadania PiS-u niszczą służby specjalne, dyplomację i narażają Polskę na izolację międzynarodową. A przede wszystkim, w propagandowych, prorządowych mediach z premedytacją kłamią: rano, w południe i wieczorem. Politycy PiS-u grożą utratą stanowiska (jeśli nie będzie posłuszny władzy) rzecznikowi praw obywatelskich i otwarcie wspierają organizacje nacjonalistyczne i faszystowskie w swojej retoryce, a niekiedy i metodach działania.

Trybunał Konstytucyjny jeszcze walczy, ale wkrótce polegnie. Małą będzie pociechą, że z honorem.

Wiem, że wielu, także liberalnych i lewicowych, polityków i dziennikarzy uważa, że stawianie sprawy tak ostro to przesada, że to wciąż „walka", a nie wojna. Jestem odmiennego zdania. Dziś jestem już pewna i mówię to głośno: PiS nie jest normalną partią polityczną, działającą według reguł państwa prawa, i nie prowadzi ze swoimi oponentami politycznymi normalnej, choć bardzo ostrej, politycznej walki. Wygrał wybory w sposób demokratyczny, ale to, co od tamtej pory robi, jest formą zamachu stanu i stopniową zmianą ustroju z demokracji parlamentarnej na autorytarny.

Tym z Państwa, którzy oburzą się na ostre sformułowanie: zamach stanu, przypomnę, że zgodnie z klasyczną definicją taki zamach to nie tylko niezgodne z porządkiem konstytucyjnym czy przeprowadzone z użyciem siły przejęcie władzy (tych przesłanek PiS nie spełnia), ale też przejęcie władzy przez jednostkę lub grupę osób z pogwałceniem normalnego toku życia politycznego i porządku instytucjonalnego. I drugi człon tej definicji to już jest dokładnie to, co robi PiS.

Gdy jakiś czas temu TVP ogłosiła na Twitterze, że rząd PiS-u to pierwszy taki rząd po '89 roku, odpowiedziałam: „Za to przed '89 już takie były". Wtedy to była ironia, dziś rzeczywistość.

W 2012 roku prof. Andrzej Rzepliński powiedział (w kontekście działalności radykalnych ruchów narodowych

nawołujących do obalenia demokracji): „Trybunał nie cofnąłby się przed delegalizacją partii politycznej, której cele lub działalność byłyby skierowane ponad wszelką wątpliwość na obalenie metodami niedemokratycznymi systemu ustroju Polski". Były to prorocze słowa. Zagrożenie – namacalne i groźne – nie nadeszło jednak ze strony narodowców, ale ze strony PiS-u.

Prezes Trybunału miał wtedy rację! Polska nie jest bezbronna wobec PiS-u. Konstytucja faktycznie składa w ręce TK ważne uprawnienie – prawo do podjęcia decyzji o delegalizacji partii politycznej, której cele i metody działania są niezgodne z Konstytucją (art. 188, pkt 4). Jej art. 13 stanowi natomiast: „Zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową" czy też „stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy".

Przemoc zaś to (przypominam) nie tylko bezpośredni, fizyczny przymus, ale także przemoc instytucjonalna i prawna oraz w sferze symbolicznej – czyli dokładnie to, czego dopuszcza się dziś PiS.

To, że TK ma prawo zdelegalizować partię, która narusza Konstytucję, potwierdza też ustawa o partiach politycznych z 27 czerwca 1997 roku, w artykule 44: „Jeżeli Trybunał Konstytucyjny wyda orzeczenie o niezgodności z Konstytucją celów lub działalności partii politycznej, Sąd niezwłocznie wydaje postanowienie o wykreśleniu wpisu partii politycznej z ewidencji".

Czy niepublikowanie przez premierkę z PiS-u orzeczeń TK, procedowanie ustaw z naruszeniem zagwarantowanych przez

Konstytucję politycznych praw opozycji, naruszanie wolności zgromadzeń, słowa i prawa do publicznego wyrażania poglądów, i w końcu proceder, który profesor Ewa Łętowska nazwała drenowaniem prawa z treści, nie są wystarczającą przesłanką – i pewnie ostatnim momentem – by zdelegalizować partię zmierzającą do zmiany Polski w państwo autorytarne, które znamy z przeszłości?

Recz jasna – do złożenia wniosku, a później podjęcia decyzji o delegalizacji PiS-u trzeba ogromnej odwagi, bo PiS będzie głośno krzyczał, zaprzeczał faktom, których świadkami byliśmy przez ostatni rok, będzie obrażał i kłamał. Po podjęciu takiej decyzji sędziowie Trybunału staliby się zapewne obiektem prześladowań i bolesnych, osobistych i medialnych ataków. Trzeba wreszcie ogromnej determinacji i konsekwencji – dokładnie tej samej, jaką ma PiS. Trzeba walki o Polskę tak zażartej, jak PiS walczy przeciw Polsce. Z tą różnicą, że PiS walczy o swoje, łamiąc prawo, a TK zgodnie z prawem uratowałby Polskę przed autorytaryzmem.

Owszem, delegalizacja partii politycznej byłaby w postpeerelowskiej historii precedensem, ale czy takim groźnym precedensem nie są też rządy i metody działania PiS-u? Warto przypomnieć, że rządy zdobywające władzę w sposób demokratyczny, a później wykorzystujące ją do działań przeciw obywatelom, którzy dali im mandat do jej sprawowania, to nic nowego. Taką sytuację przewidzieli już amerykańscy ojcowie założyciele: „Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie stworzeni są równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, że w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście, że celem zabezpieczenia tych praw wyłonione zostały wśród ludzi rządy, których sprawiedliwa władza wywodzi się ze zgody

rządzonych, że jeżeli kiedykolwiek jakakolwiek forma rządu uniemożliwiałaby osiągnięcie tych celów, to naród ma prawo taki rząd zmienić lub obalić i powołać nowy, którego podwalinami będą takie zasady i taka organizacja władzy, jakie wydadzą się narodowi najbardziej sprzyjające dla szczęścia i bezpieczeństwa". Te słowa pochodzą z najsłynniejszego chyba aktu uznania wolności, swobód i praw obywatelskich – Deklaracji Niepodległości.

Warto pamiętać, że te słowa są uniwersalne i prawdziwe – także w Polsce i dziś.

Dlaczego PiS wrzeszczy, zamiast rozmawiać

Jest pewien problem z przekonywaniem do swoich racji. Trzeba mieć argumenty. Trzeba umieć odpowiedzieć na kontrargumenty. Trzeba myśleć i nieustannie weryfikować swoje opinie, być otwartym także na to, że są tylko sądami powziętymi w określonych okolicznościach i jako takie, mogą okazać się błędne. Trzeba umieć uznać inne perspektywy i inne punkty widzenia, z których można spojrzeć na daną sytuację. Przede wszystkim zaś, trzeba być autentycznie ciekawym, co druga strona ma do powiedzenia. Trzeba naprawdę chcieć się dowiedzieć.

Debata zawsze oznacza ryzyko porażki, tego, że nasze racje nie zostaną uznane, że nie przekonamy kogoś do tego, w co wierzymy. Dlatego, żeby debatować, dyskutować, trzeba być odważnym, nieustraszonym i konsekwentnym w mierzeniu się nie tylko z cudzą opinią, ale z sobą samym, z własnym lękiem, że może się mylę, że może prawda jest inna, z ludzkim wrodzonym brakiem gotowości do zmiany własnego światopoglądu i przyznania, że opierał się na iluzji.

Dlatego tak szanuję prawdziwą debatę publiczną, dlatego uważam, że jest tlenem i jednym z najcenniejszych dóbr nie tylko demokracji, ale każdego uczciwego, mądrego i dobrego człowieka. I dlatego tak wielu woli zmuszać, zastraszać i szantażować, zamiast debatować. Z czym – choć rozumiem mechanizm stojący za zakazywaniem i krzykiem zamiast argumentów – nigdy się nie zgodzę.

Trochę szacunku dla samych siebie

Pamiętacie spalenie wozów transmisyjnych kilku stacji telewizyjnych? W oczach polityków PiS-u to był incydent. Dziś przypadkowe popchnięcie dziennikarza TVP przez tłum demonstrujących przeciw polityce rządu to dla nich tragedia. Gdy niedawno pobito profesora, bo mówił w tramwaju po niemiecku, politycy PiS-u uznali, że nic się nie stało, żaden z nich nie zabrał nawet głosu. Jednak demokratyczne protesty obywateli przeciw bezprawiu sejmowej większości bez mrugnięcia okiem uznali za warcholstwo. Wyzywanie ludzi od hołoty i zdrajców to dla nich… niezręczność. Ale już mówienie wprost o kłamstwach Kaczyńskiego – niedopuszczalny wściekły atak! Żenująca propaganda „wSieci" i w „Do Rzeczy"? Ot, korzystanie z wolności słowa. Lecz krytykowanie autorytarnych działań rządu przez wolnościowe media – histeria. PiS jest przekonany, że w życiu publicznym wolno mu więcej, a co gorsza, zdołał i nas o tym przekonać. W któryś momencie przestaliśmy się szanować i dziś na własnej skórze czujemy tego skutki.

PiS, sam nie mając żadnych kwalifikacji moralnych ani prawnych (a szczerze mówiąc i zdroworozsądkowych też nie

bardzo), od lat ma zwyczaj besztać nas jak dzieci i walić bez opamiętania słowem jak cepem. Robi to, bo może, bo pozwoliliśmy na to. Partia Kaczyńskiego była tak pewna, że wszystko ujdzie jej na sucho, że w końcu – nawet wbrew sobie – jej uwierzyliśmy. I faktycznie my – ludzie środka, ceniący praworządność i jasne reguły, wolności i prawa obywatelskie – zaczęliśmy PiS-owi na więcej pozwalać.

Powód? Podaje go Robert Cialdini w znanej książce *Wywieranie wpływu na ludzi. Teoria i praktyka* (choć wcześniej pisał o tym w swoich *Dziennikach* też Goebbels). PiS skutecznie wmówił wszystkim, że jest ofiarą, i czerpie z tego niezliczone korzyści. Ofierze się współczuje, nie patrzy na ręce, ofiary się nie rozlicza i ofierze – no właśnie – pozwala się na dużo więcej, w przekonaniu, że trzeba „wynagrodzić jej krzywdy". I to właśnie fałszywe przekonanie, że PiS jest ofiarą, uśpiło nas na kilka lat, nakazało machać ręką na niedopuszczalne słowa i czyny polityków i sympatyków tej partii. Przekonanie, że Kaczyński i reszta jego partii cierpią po Smoleńsku, nie pozwoliło nam zauważyć, że PiS od pierwszych dni po katastrofie na zimno i cynicznie realizował makabryczny plan przekucia śmierci bliskich sobie osób na swój polityczny i finansowy interes.

Kiedy PiS rósł w siłę, my – oczywiście! – siedzieliśmy cicho, bo nieśmiałych prób eleganckiej i rozsądnej polemiki nie sposób przecież nazwać odpieraniem ciosów. Kiedy pluli (bo krytyką tego nazwać nie sposób) na nas i ludzi, których reprezentujemy – wiele milionów Polaków, kiedy mówili, że jesteśmy sługusami Moskwy i złodziejami, popiskiwaliśmy nieśmiało, że tak przecież nie można. Gdy podsuwali nam pod nos zaciśniętą pięść i organizowali marsze z pochodniami, sami siebie w wolnych mediach karciliśmy za porównania do

faszystów. Kiedy obrażał wyborców liberalnych i lewicowych partii, wyzywając ich od świń oderwanych od koryta, elementów animalnych, gestapowców i ubeków, poprzestawaliśmy na nieśmiałym oburzeniu. Gdy publikowano kolejne książki o resortowych dzieciach, nie potrafiliśmy skutecznie się odwinąć, mówiąc prawdę: że tamta strona ma w swoich szeregach tylu potomków resortowych rodziców, działaczy PZPR, ubeków, sędziów i prokuratorów z PRL, że nie ma prawa się na te tematy w ogóle wypowiadać. Kiedy pouczali nas o wartościach, nie umieliśmy roześmiać się im w twarz i głośno powiedzieć, gdzie mamy moralizowanie uprawiane przez aferzystów, wariatów, kłamców i oszustów.

Nie szanowaliśmy samych siebie – i wciąż nie szanujemy – bo niektórzy ciągle zapraszają do mediów i zgadzają się występować w studiach telewizyjnych z Żalkami, Sasinami, Kempami, Pawłowiczami i innymi, o których wiadomo, że nie mają dokonań, kompetencji, szacunku do rozmówcy ani wiedzy, że są od wszystkiego, czyli od niczego, że będą obrażać, a nie rozmawiać, że są krzykaczami i prostakami, że kłamią i przeinaczają fakty, że brak im podstawowej choćby kultury. Po co? Jak możemy, nie szanując się sami, oczekiwać szacunku od PiS?

Pamiętajmy o jednym: zgromadzona przez PiS armia złożona z nazistów, kiboli, rasistów, nieudaczników, nieuków, homofonów, wrogów kobiet, maniaków religijnych, cynicznych biskupów i Rydzyka z jego radiem nie cofnie się przed niczym, poza zdecydowanym i konsekwentnym oporem, który stawić mogą tylko ludzie odważni i śmiali. Nie mamy już demokracji, tylko państwo autorytarne. Jeśli więc chcemy odzyskać Polskę, musimy o nią zdecydowanie zawalczyć. Wesołych Świąt.

Rzeczywistość

Umiejętność widzenia rzeczywistości to największa i najrzadziej spotykana ludzka umiejętność. Nikt też nie budzi większej nienawiści niż ludzie, którzy ją posiedli. I nikt nie jest bardziej wściekły i rozgoryczony niż człowiek, któremu pokazuje się rzeczywistość, drąc na strzępy zasłonę z iluzji, własnych pragnień i wyobrażeń.

Prawda nas wyzwoli

Trzeba bardzo uważać na to, co mówi PiS – właściwie to brać pod lupę każde słowo. Partia Kaczyńskiego doszła bowiem do stanu, w którym o nic już jej nie chodzi, poza własnym interesem. Każda sprawa, nawet bezpieczeństwo państwa, o pomyślności i szacunku dla obywateli nie wspominając, jest przez władze (PiS i kraju) rozpatrywana z jednego tylko, jedynego punktu widzenia: czy to pomoże, czy zaszkodzi interesom partii. Tylko to jest ważne. I tylko to się liczy.

Dlaczego uczulam na uważanie na słowa? Bo to właśnie kłamstwo jest najpotężniejszą bronią tej partii. Bez kłamstw PiS rozpadłby się jak domek z kart. Dowód? Zaciekłość, z jaką pretorianie Kaczyńskiego zwalczają każdy przejaw prawdy. Wściekłość, z którą rzucają się do gardła mającym odwagę ją głosić.

Tak – gdyby prawda nie była zagrożeniem dla rządzących, nie zadawaliby sobie tyle trudu, żeby ją ukryć, nie robiliby wszystkiego (a robią!), żeby zakneblować tych, którzy prawdę mówią. Jarosław Kaczyński wie, że jeśli istnieje broń, od której zginie PiS, jest nią prawda. Dlatego panicznie się jej boi.

W tym tygodniu PiS zaserwował nam kolejne kłamstwo, które proponuję potraktować jak studium przypadku, bo doskonale pokazuje mechanizmy działania tej władzy.

Marszałek senatu Stanisław Karczewski i Jarosław Kaczyński (który jako szeregowy poseł nie powinien mieć w tej sprawie nic do gadania) ogłosili, że szukają porozumienia z opozycją. Tyle że to, co nazwali „szukaniem porozumienia", było wyłącznie próbą oszustwa i legitymizacji niezgodnych z prawem działań, których PiS dopuścił się 16 grudnia, oraz odwrócenia uwagi opinii publicznej od faktu, że Polska nie ma ustawy budżetowej, że pieniądze należące do podatników będą przez PiS-owski rząd wydawane nielegalnie.

Granda była widoczna jak na dłoni, a jednak część mediów (którym przecież płacimy za patrzenie władzy na ręce) bezrefleksyjnie zaczęła „sprzedawać" temat widzom dokładnie tak, jak chciał PiS: ogniskując debatę wokół pytania, czy opozycja wygra, czy przegra na proteście, zamiast wokół kluczowych kwestii: czy Polska z nielegalnie uchwalonym budżetem jest wciąż państwem prawa? I czy wolno członkom partii, która wygrała wybory, fałszować protokoły głosowań i podpisywać się po głosowaniach na listach obecności?

Także Ryszard Petru, Władysław Kosiniak-Kamysz i Paweł Kukiz (który zresztą jest od dawna posłusznym chłopcem na posyłki PiS-u) pokazali, że kompletnie nie pojmują, o co toczy się gra, że tym razem to nie jest normalna przepychanka polityczna i walka o pozycję w sondażach, ale wojna o zasady i państwo prawa oraz o to, żeby PiS nie sforsował kolejnej przeszkody na drodze w swoim konsekwentnym marszu do partyjnej dyktatury.

To bezbłędnie rozpoznała i nazwała tylko Platforma Obywatelska – być może dlatego, że spora część liderów tej

partii (w przeciwieństwie do liderów PiS-u, mających w wielu wypadkach PZPR-owskie korzenie) to odważni i represjonowani przez władze PRL działacze dawnej demokratycznej opozycji.

Dlaczego to Platforma, nie podejmując żadnych rozmów z PiS-em, okazała się skuteczna? Bo nie uległa, jak to robiła wiele razy wcześniej, PiS-owskiej opowieści. Zamiast tego skutecznie narzuciła własną narrację. I ponieważ mówiła prawdę: że to ten, kto złamał prawo, powinien naprawiać sytuację, a nie opozycja. Że nie można ustąpić nawet o włos, bo każde ustępstwo tylko rozzuchwali PiS i zachęci do dalszego bezprawia.

I to jest właśnie ta prawda, której boi się PiS: że mamy dziś w Polsce rządy przemocowców nieuznających nie tylko Konstytucji, ale żadnych zasad i reguł, w imię żądzy władzy i swoich obsesji gotowych doprowadzić kraj do ruiny, z której będzie podnosił się bardzo długo. Ich istotą jest, jak słusznie stwierdziła dr Barbara Labuda, instytucjonalizacja chamstwa, głupoty, karierowiczostwa i kłamstwa właśnie, którym towarzyszy (bo towarzyszyć musi) całkowity braku rozumu i kręgosłupa zastępów działaczy i żądnych posad „sympatyków". Dokładanie tak jak w PRL i w każdym systemie autorytarnym na świecie.

I nikt nie zdoła tego skutecznie zwalczyć (a przecież dla dobra kraju i przyszłych pokoleń, trzeba), dopóki nie nazwie się tych rzeczy po imieniu i nie przestanie udawać (jak czyni to ciągle, ku mojemu rosnącemu zdumieniu, część polityków i komentatorów), że nie widzimy, że statkiem, którym płyniemy, dowodzą i sterują szaleńcy, a na mostku nie stoi żaden kapitan. Bo – stawiam dolary przeciwko orzechom – że

gdy ten Titanic zacznie tonąć, zabraknie dla nas szalup ratunkowych. Wszystkie przywłaszczy sobie PiS.

KOŚCIÓŁ

Kościół żądny władzy i pełen hipokryzji

Amerykańscy kongresmeni już w 1791 roku, w pierwszej poprawce do amerykańskiej konstytucji, zdecydowali, że „kongres nie ustanowi ustaw wprowadzających religię". Polscy posłowie – ba, już nawet ministrowie! – coraz bardziej ochoczo i coraz bardziej jawnie przyklaskują kolejnym, szalonym i bezczelnym pomysłom Kościoła katolickiego. W efekcie nowy szef Konferencji Episkopatu Polski, arcybiskup Stanisław Gądecki, ośmielił się, rzecz bez precedensu, powiedzieć głośno i wyraźnie na Jasnej Górze, że jest przeciwny rozdziałowi Kościoła od państwa. Więcej! Że Kościół powinien być duszą państwa. Trzeba mieć naprawdę wielki tupet i jeszcze coś więcej – wiarę we własną władzę, wszechmoc i całkowitą bezkarność, żeby będąc przedstawicielem instytucji, która w kwestiach moralnych myli się i błądzi ciągle i niemal we wszystkim, uzurpować sobie prawo do bycia sumieniem społeczeństwa.

Trzeba mieć tupet, żeby powiedzieć głośno, że Kościół, który opłacił najlepszych prawników siostrze Bernadetcie

(jednocześnie milcząc w sprawie jej sadyzmu i nieodwracalnej krzywdy niezliczonych ludzi), Kościół, który tuszuje skandale pedofilskie i homoseksualne, a księży dopuszczających się przestępstw „karze", przenosząc do innej parafii lub – jak w co najmniej jednym przypadku opisywanym przez media – na Ukrainę, który toleruje szkodliwy kult smoleński i usprawiedliwia dokonywane w jego imię akty pogardy i kłamstwa, Kościół, który dopuszcza się idolatrii i bałwochwalstwa, pozwalając na wieszanie w swoich świątyniach kawałków blachy z tupolewa i patronując awanturom o krzyż na Krakowskim Przedmieściu, Kościół, którego funkcjonariusze po pijanemu wjeżdżają w latarnie i „odzyskują" (ja powiedziałabym: zdobywają) majątek przy pomocy byłych esbeków – ten Kościół ma być duszą państwa.

Kościół stoi dziś bardzo daleko od przyzwoitości: jest zachłanny, pełen hipokryzji, nienawiści, chciwości, małostkowości (sprawa księdza Lemańskiego czy Bonieckiego), pogardy dla własnych wiernych, interesowny i rozpolitykowany.

Oczywiście dla rozdziału Kościoła od państwa to bez znaczenia, bo nawet gdyby Kościół katolicki był jak żona Cezara, i tak jego miejsce jest w świątyni właśnie, a nie w parlamencie.

Dla porządku przypomnę tylko, że ta bardzo już dziś mało szacowna instytucja, której funkcjonariusze roszczą sobie prawo do bycia między innymi moim i waszym, obywateli, sumieniem i rozumem, przez całe wieki i ze wszystkich sił sprzeciwiała się postępowi, oświeceniu i nauce. Przypominałam już o tym (i przypominam stale), że gdybyśmy słuchali Kościoła katolickiego, nie mielibyśmy dziś nie tylko transfuzji krwi, sekcji zwłok, przeszczepu organów, dostępu do

prezerwatyw, badań prenatalnych i *in vitro*, ale także dostępu do dzieł Balzaka, Kanta, Flauberta, Boccaccia, Defoe, Locke'a, Hugo, Zoli, Sartre'a i wielu, wielu innych, ot choćby naszego poczciwego Mikołaja Reja. O Galileuszu i Koperniku nawet nie wspomnę.

Chcecie wiedzieć, co mędrcy kościelni, protoplaści dzisiejszych „specjalistów" w sutannach od nauki, genetyki, *in vitro*, medycyny „katolickiej" i innych dziwów, napisali o odkryciu Galileusza? Proszę bardzo: „Teza ta została jednogłośnie uznana za bezsensowną i absurdalną z punktu widzenia filozoficznego i formalnie heretycką" (*Sprawa Galileusza*, wybór i redakcja J. Życiński, Znak, Kraków 1991, s. 94–95).

Rację miał Pascal, który twierdził, że „papież nienawidzi uczonych i lęka się ich, albowiem nie podlegają mu na mocy ślubowania", lecz dość przerażające jest, że po Polsce nie widać, by od jego czasów cokolwiek się zmieniło. Pascal trafił w sedno, bo dokładnie to, strach przed utratą olbrzymiej, choć nieuzasadnionej zasługami, mądrością, dokonaniami czy demokratycznym wyborem władzy jest powodem, dla którego hierarchowie kościelni chcieliby, żeby Polska była państwem religijnym. Oczywiście wtedy niczym nie różniłaby się od krajów islamskich, ale przecież to nieważne – ważne, że Kościołowi nikt już wtedy nie zdołałby się sprzeciwić. Szczerze mówiąc, już teraz, dzięki uniżonej i lizusowskiej (a idącej wbrew interesom Polaków) postawie polskich polityków, jest to coraz trudniejsze.

I ostatnie słowo o rzekomym odcinaniu się obywateli od „wartości, które wyrastają z ewangelii", nad którym także ubolewa Gądecki: przypominam, że one wzięły się nie od Jezusa, ale od filozofów greckich. Bo wbrew temu, co twierdzi

niejeden hierarcha, tak zwane wartości chrześcijańskie, czyli powściągliwość, altruizm, etos pracy, współczucie i sprawiedliwość, apostołowie po prostu ściągnęli od greckich wielkich filozofów. Może to rozczarować wielu katolików, ale w kwestiach etycznych to Arystoteles był pierwszy, a Jezus dopiero drugi.

Przykro mi to mówić, naprawdę, ale ktoś to wreszcie głośno i wyraźnie powiedzieć powinien: księża do kościołów, a politycy do roboty przy dobrym, świeckim prawie. Tak dobrym, żeby żadnemu Gądeckiemu nie przyszło już do głowy obrażać takimi przemówieniami naszej inteligencji i rozsądku.

W imię Boga Wszechmogącego

Dyskusja z fanatykami religijnymi, jak zresztą z wszelkimi fanatykami, jest bezcelowa. Można by ich, rzecz jasna, zapytać: skoro Bóg jest miłosierny, dlaczego dopuszcza do obrzezań małych dziewczynek, do gwałtów na ośmioletnich pannach młodych w Jemenie, do wojen, tortur i zła. Odpowiedzieliby zapewne, że to nie Bóg do tego dopuszcza, tylko ludzie, którzy zostali przez niego obdarzeni wolną wolą – czyli olbrzymią mocą i odpowiedzialnością podejmowania suwerennych, niezależnych decyzji i ponoszenia ich skutków, osobistych i społecznych. Pytanie tylko, dlaczego ta wolna wola w oczach katolickich fanatyków religijnych działa tak wybiórczo. Jest usprawiedliwieniem i wymówką dla lenistwa Boga i tego, że Bóg nie raczy kiwnąć palcem w przypadkach mężczyzn, którzy krzywdzą kobiety, dzieci i wojen, a nie może być usprawiedliwieniem dla kobiety decydującej się usunąć ciążę?

Odpowiedź jest prosta – ponieważ wtedy Kościół katolicki byłby niepotrzebny. W świecie wolnych, myślących ludzi, którzy nie boją się rozumować bez ograniczeń i widzieć rzeczy takimi, jakimi są, przede wszystkim zaś w świecie ludzi

ciekawych, niebojących się zadawać pytań i sprawdzać prawd uznawanych przez katolickich talibów za niepodważalne, siepacze Kościoła staliby się niepotrzebni. Ich poglądy byłyby ledwo jedną z opcji dostępnych na rynku idei, zaś ich religijne krucjaty pokazałyby szybko, czym są naprawdę: żałosną próbę narzucenia innym siłą swojego jednowymiarowego sposobu patrzenia na świat (wobec niemożności przekonania ich po dobroci).

Jest dla mnie jasne, że ludzie, a do takich zaliczam od dziś polski Episkopat, którzy chcą, żeby prawo katolickie stało się prawem obowiązującym wszystkich obywateli, bez względu na ich światopogląd czy wyznawaną religię, są fanatykami – groźnymi i niezrównoważonymi, których należy powstrzymać w imię dobra społeczeństwa. Jest dla mnie oczywiste, że jeśli pozwolimy im rządzić, zaczną się (oprócz afer finansowych, pedofilskich i znęcania się nad dziećmi w katolickich placówkach wychowawczych) pobicia i zabójstwa, straszliwa przemoc na tle religijnym. I jestem pewna, że oprócz przemocy fizycznej, zacznie się także niewolenie kobiet i wprowadzanie szeroko pojętej cenzury: mediów, obyczajowej, każdej.

Raz na zawsze: fanatycy religijni nie są religijni, nie są ludźmi zasad. Oni traktują katolicyzm przedmiotowo, jak środek do zdobycia władzy nad innymi ludźmi. Nieważne, co tacy ludzie niosą na sztandarach, bo w historii nosili już różne rzeczy (zazwyczaj tradycję, religię czy moralność), zawsze chodzi im tylko o jedno – o władzę. I uwierzcie mi, kiedy już ją zdobędą, nie będą podlegać prawom, które dla nas stworzą.

STOP NACHALNEJ KATOPROPAGANDZIE

Tekst z marca 2014 roku bardzo się Państwu podobał i niestety okazał proroczy – Kościół katolicki sięga po coraz więcej naszych pieniędzy i coraz bardziej angażuje się w politykę.

Mam dość. Żądam, żeby Kościół oddał zabrane niezgodnie z prawem dwadzieścia cztery miliardy złotych (te od kościelno-rządowej komisji majątkowej). Żądam, żeby księża pedofile szli do więzienia tak jak inni „cywilni" pedofile. Żądam, żeby z papieża można było żartować tak jak z każdego innego dyktatora (bo to jest watykański dyktator) i postaci publicznej.

Żądam szacunku dla mojej prywatności, mojego rozumu i mojego sumienia. Żądam, by nie wchodzono mi do łóżka, na porodówkę i do portfela, nie dyktowano, jak się kochać, jak ma się począć moje dziecko i jak urodzić – z cesarką czy bez.

Żądam, żeby bez mojej zgody nie wydawano moich pieniędzy na budowę kościołów, kilkunastometrowych Jezusów i Matek Boskich. Żądam, by nie zmuszano homoseksualistów do leczenia, i żądam zaprzestania prześladowań ludzi za to, że są inni.

Żądam zaprzestania szantaży moralnych i wyzwisk. Żądam chronienia wszystkich moich uczuć tak, jak chroni się uczucia katolików.

Żądam powstania Krajowej Rady ds. Przeciwdziałania Katopropagandzie, która będzie karała katolickie stacje za obrazę ateistów i obywateli innych niż katolickie wyznań.

Żądam prawa do nielubienia kiboli, uważania ich za zwyczajnych bandytów i chuliganów.

Żądam prawa do życia w państwie prawa, a nie takim, w którym można zdemolować, obrazić, pobić, opluć, znieważyć, pomówić, szarpać – zrobić wszystko, co najgorsze, byle zasłaniając się religią i patriotyzmem.

Żądam rozdziału Kościoła od państwa, żądam takich samych prawa i traktowania dla obywateli, zarówno katolików, jak i niekatolików.

Żądam zaprzestania zapisywania katolickich bredni, sprzeciwiających się ustaleniom nauki i zdrowemu rozsądkowi, i katolickich subiektywnych przekonań w formie obowiązujących mnie ustaw, których nie mogę złamać pod groźbą kary, także więzienia.

Żądam zaprzestania miotania obelg, zniesławiania i odsądzania od czci i wiary wszystkich, którzy nie wierzą w Boga.

Żądam edukacji, w tym seksualnej, i zaprzestania traktowania jawnych idiotyzmów głoszonych przez ludzi, którzy albo nie skończyli szkół, albo zapomnieli już dawno, czego się w nich nauczyli, i nie czytają nic poza katolickimi gadzinówkami, jako równoprawnego głosu w debacie publicznej.

Żądam zaprzestania pouczania Polaków o moralności i życiu w cnocie przez funkcjonariuszy Kościoła katolickiego, często

tarzających się w rozpuście, zbrodniach na dzieciach, intrygach, także politycznych, i ewidentnie nieczułych na ludzką krzywdę, nawet, a może szczególnie tę, którą sami wyrządzili.

Żądam zaprzestania wmawiania obywatelom, że religia katolicka to szkolny przedmiot, taki jak fizyka czy chemia.

Nie będąc katolikiem, czuję się w tym kraju obywatelem drugiej kategorii.

Wara wam, politycy i księża, od rozdziału Kościoła od państwa

Kościół nie ma prawa ingerować w politykę. Jeśli to robi (a robi), Polska ma ogromny problem. I tak! – Kościołowi nie tylko można, ale nawet trzeba zabronić ingerowania w politykę. A jeśli sam nie rozumie, czego mu nie wolno, to uświadomienie mu tego raz na zawsze należy do obowiązków parlamentarzystów. Mówiąc: „Nie ma problemu, by Kościół ingerował w politykę, nie można mu tego zabronić", udowodnił pan [chodzi o posła Sellina – przyp. EM], że nie nadaje się na posła i polityka w liberalnej demokracji, tak jak wielu biskupów i kardynałów nie nadaje się zupełnie na swoje stanowiska.

Kościół ma prawo nauczać, czego chce – choć moim zdaniem i tu należałoby wprowadzić zasadę, że nauki Kościoła (żadnego, nie tylko katolickiego) nie mogą nawoływać do nienawiści i rzeczy sprzecznych z prawem, ale w świątyniach. Kościół katolicki w państwie jest potężną instytucją, jednak z jej statusem jest pewien problem. Ni to bowiem instytucja prywatna (na to mogłyby wskazywać dość swobodne zasady

jej tworzenia, na przykład zapis, że księżmi mogą być tylko mężczyźni, co łamie konstytucyjną równość obywateli wobec prawa, lub tajność finansów – organizacje państwowe muszą rozliczać się z każdej złotówki), ni państwowa – reprezentuje na terenie Polski obce państwo Watykan, choć bierze pieniądze bynajmniej nie od watykańskich, lecz od polskich podatników i w przypadkach wielu przestępstw, także ciężkich, jak pedofilia czy gwałty na nieletnich, nie do końca podlega polskiej jurysdykcji.

Rozdział Kościoła od państwa służy interesom obywateli i po to go uchwalono. W większości liberalnych demokracji stanowi niepodważalną podstawę ustrojową.

Prawo musi być wolne od religii właśnie dlatego, by szanowało wolności i prawa człowieka i obywatelskie wszystkich tak samo – bez względu na ich wyznanie, płeć, orientację seksualną i inne cechy.

Religie, w tym katolicka, bardzo często mają z prawami człowieka i podstawowymi wolnościami problem: katolicyzm ustami biskupów i niektórych księży, zamiast krzewić wartości chrześcijańskie, na które tak lubi się powoływać, jak miłość bliźniego, tolerancja, współczucie i miłosierdzie, szerzy nietolerancję, kryje i wspiera przemoc, także w rodzinie, nierówność płci i nierówność ludzi wobec prawa, cenzurę, nienawiść wobec przedstawicieli mniejszości seksualnych, rasizm, antysemityzm i ksenofobię. Choćby tylko i wyłącznie z tego powodu Kościół nie ma prawa mieć najmniejszego wpływu na polityków i stanowienie ustaw.

Innym powodem jest sprawiedliwość. Zwyczajnie niesprawiedliwe jest, żeby jakaś instytucja miała tak olbrzymie przywileje i władzę (bo wpływ na polityków to władza), na które sobie nie zapracowała, nie zasłużyła.

Chamstwo, buta, arogancja i pycha nie powinny być publicznie nagradzane, to demoralizujące. Polacy patrzą na to i widzą, że w przestrzeni publicznej nie opłaca się prawda, dobro, szacunek do innego człowieka, praca i prawdomówność, tylko straszenie, krzyki, szantażowanie, grożenie, przemoc, którą otwarcie posługują się hierarchowie Kościoła katolickiego.

Kolejny powód, ostatni, ale bynajmniej nie najmniej ważny: pozwalanie Kościołowi na wtrącanie się do polityki, do pracy posłów jest niezgodne z prawem. Prawo stanowi, że władza ustawodawcza jest niezależna i nie może podlegać niczyim wpływom. To właśnie ową niezależność parlamentarzystów chroni przecież dodatkowo budząca tyle emocji instytucja immunitetu. Próba wpływania przez biskupów na posłów, choćby przez publiczne grożenie prezydentowi katolikowi ekskomuniką, są więc moim zdaniem nielegalne i powinny się tym zająć odpowiednie organy władzy państwowej.

Ponadto wypowiedzi takie, jak posła Sellina czy Jacka Sasina, który ośmielił się powiedzieć Barbarze Nowackiej, że ma słuchać głosu Kościoła, czy jej się to podoba, czy nie (co za niewyobrażalna arogancja!), a także cała kupa kłamstw i ignorancji, zwykłych bzdur, jakie sprzedał przy okazji – mówiąc choćby, że całe prawo od wieków tworzone jest w oparciu o system moralny zaczerpnięty z nauk Kościoła, jak „nie zabijaj", „nie kradnij" – świadczą nie tylko o nieznajomości prawa i swoich politycznych i poselskich obowiązków (należałoby się zastanowić, czy nie należy wprowadzić procedur pozwalających jawnie niekompetentnych posłów i w dodatku kłamczuchów odwołać, by nie głosili bzdur za nasze pieniądze), ale także o bezmiarze ich niedouczenia i/lub cynizmu.

Katolicyzm przywłaszczył sobie zwyczaje i rytuały, święta i obrzędy pogańskie, a wartości i systemy etyczne ukradł filozofom greckim. Gdyby panowie kiedykolwiek mieli w ręku choćby *Etykę nikomachejską* Arystotelesa, może by panowie wiedzieli, o czym mowa.

Kościół nie wymyślił dobra i zła, żaden system prawny (oprócz może inkwizycji) nie jest zasługą Kościoła. Przeciwnie: Kościół zawsze opóźniał postęp: gdybyśmy go słuchali, nie byłoby dziś przeszczepów, transfuzji krwi, sekcji zwłok, badań genetycznych, fizyki kwantowej, dużej części nowoczesnej astronomii, psychologii. Nie byłoby rozwoju filozofii i literatury – widzieli kiedyś panowie zlikwidowany zaledwie w latach sześćdziesiątych kościelny indeks ksiąg zakazanych, a na nim Woltera, Balzaca, Kanta, Nietzschego, Galileusza, Keplera, Monteskiusza (autora dzisiejszego trójpodziału władz państwowych), Wiktora Hugo czy Mikołaja Kopernika?

Niczego tak nie cierpię jak ignorancji i ciemnoty przebierającej się za wszechwiedzę, niczego tak nie znoszę jak niewiedzy chcącej położyć na wszystkim łapę i głupoty przekonanej o swojej mądrości, chcącej mówić – ba, nakazywać wszystkim dookoła, także, a może przede wszystkim, dużo wrażliwszym i dużo mądrzejszym od siebie – jak żyć.

Tacy posłowie, taki Kościół, jeśli nie dopilnujemy Polski, rozniosą ten kraj od środka tak, że nie zostanie tu kamień na kamieniu. No, może poza kilkoma kapiącymi od złota kościołami.

Precz z dyktatem fanatyków

Nie obchodzi mnie, co fanatycy religijni robią prywatnie, w domach i kościołach, ale nie życzę sobie więcej słuchać, że gwałt nie powinien być ścigany z urzędu, żeby oszczędzić kobiecie wstydu! Nie życzę sobie absurdalnej dyskusji o karaniu kobiet za poronienie i pouczeń profesora Zolla o dziecku poczętym, gdy nawet kodeks kanoniczny mówi o „spędzaniu płodu”! Nie życzę sobie parlamentarnego zespołu do przeciwdziałania gender, któremu przewodzi niedouczona Beata Kempa, ani zespołu do przeciwdziałania laicyzacji Polski, który w swoim regulaminie ma zapisy moim zdaniem niezgodne z Konstytucją: że członkowie tego zespołu zobowiązują się dbać, by uchwalane w Polce prawo było zgodne z zaleceniami katolicyzmu. Nie życzę sobie fanatyków religijnych na najważniejszych stanowiskach państwowych i nie życzę sobie posłów, którzy, uchwalając obowiązujące mnie prawo, nie biorą pod uwagę stanu wiedzy, nauki, prawodawstwa, toczonych na świecie pasjonujących dyskusji filozoficznych, ale kierują się opiniami kleru.

Asumpt do napisania tego tekstu dały mi biadolenia w prawicowej prasie, jak długa i szeroka, że minister Michał

Królikowski jest krytykowany za swoje poglądy, biedaczek! (bo, oczywiście, liberałowie i lewicowcy, o Żydach nie wspominając, przez nich krytykowani za swoje poglądy nie są!). Otóż, trzeba wreszcie powiedzieć głośno i wyraźnie, w odpowiedzi na ten nadużywany przez prawicę sofistyczny, miałki lament – bo nie zniżę się do nazwania tego argumentem: Michał Królikowski nie jest krytykowany za swoje poglądy, tylko ostro – i słusznie – jest krytykowany za swoje niegodne czyny. Jego poglądy są jego prywatną sprawą i gdyby był w porządku, gdyby zachowywał się jak należy, jego poglądów wcale byśmy nie znali. A nie znając ich, nie moglibyśmy ich publicznie roztrząsać.

Minister ma jednak na sumieniu coś konkretniejszego niż poglądy: skandaliczne próby wprowadzania tylnymi drzwiami prawa religijnego w świeckim państwie. Niegodne, po cichu czynione zabiegi, żeby wszyscy polscy obywatele, niezależnie od swoich przekonań, światopoglądu i wyznawanych wartości musieli żyć tak, jak życzy sobie pan Królikowski i jego koledzy, panowie katoliccy radykałowie: Gowin i reszta. Królikowski jest krytykowany nie za poglądy, ale za to, że wszystkich nas, obywateli, ma w nosie i maniakalnie stara się nadać kształt ustaw swoim prywatnym, religijnym przekonaniom.

Chcę powiedzieć wprost: w mojej opinii Michał Królikowski, podobnie jak wielu innych, do których zaliczam Marka Jurka czy Krystynę Pawłowicz, to fanatyk religijny. Katolicki talib, a nie żaden konserwatysta. Głośno i wyraźnie wprowadzam to rozróżnienie, bo w obronie – nie tyle ministra, co proponowanego przez niego szeregu niepokojących i niedemokratycznych zmian w prawie – występuje coraz więcej mu podobnych fanatyków religijnych (podobne broni podobnego), strojących się w piórka konserwatystów,

konserwatywnych profesorów, prawników, filozofów, pisarzy i dziennikarzy.

Kiedy słyszę, jak nadużywają szacownego skądinąd określenia „konserwatysta", pragnę pospieszyć ze słownikiem i historią doktryn politycznych, i pouczyć panów i panie fanatyków o tym, co to słowo znaczy, jaki zbiór postaw i przekonań opisuje. I – zapewniam i mogę to udowodnić choćby w sądzie – nie są to ich postawy i przekonania.

Fanatyk religijny, katolicki talib a konserwatysta to ważne rozróżnienie, które dziś w Polsce rzadko jest dokonywane. Do worka z konserwatystami wrzuca się zarówno polityków w rodzaju Tadeusza Mazowieckiego czy Lecha Wałęsy, jak też radykałów i fanatyków religijnych, takich jak właśnie Marek Jurek czy Michał Królikowski. Tymczasem, powiedzmy sobie głośno i wyraźnie, fanatyka religijnego, tak jak każdego innego fanatyka, poznajemy przecież właśnie po czynach! Wykształcenie, poziom intelektualny, umysłowy, erudycja, sprawowane funkcje i urzędy, świetny garnitur lub garsonka i wysoka kultura dyskusji to wszystko nieistotne pozory, wprowadzające w błąd wielu obserwatorów życia publicznego i opinię publiczną.

Bo – pomimo tych pozorów – każdy, kto chce wprowadzić w Polsce prawo oparte na doktrynie katolickiej, jest katolickim talibem i fanatykiem religijnym, tak jak talibami nazywamy polityków wprowadzających prawo państwowe oparte na szariacie w krajach islamskich.

Islam czy katolicyzm to w tych tylko przypadkach zaledwie różne środki do osiągnięcia tego samego celu: nadrzędnej roli religii w życiu państwowym, publicznym i w procesie stanowienia prawa.

Świętsi od Jezusa, bardziej rodzinni od apostołów

Smerfy 2 (dobry film, byłam, polecam) prawica atakuje za promowanie niewłaściwego modelu rodziny. Nie czepiając się – choć przyznaję, mam ochotę – określenia „właściwy model rodziny" (bo niby dla kogo właściwy i kto ustala te normy?), chciałam uprzejmie zauważyć, że standardów wymaganych przez Tomasza Terlikowskiego i spółkę oprócz Smerfów nie spełniał też Jezus Chrystus. I w ogóle od jakieś czasu zachodzę w głowę, o co właściwie chodzi katolickiej prawicy z tą obsesją na punkcie nienaruszalności rodziny, i skąd zaczerpnęli jej jedyny właściwy „święty" wzorzec, bo że nie z *Pisma Świętego* i *Żywotów Świętych*, to pewne.

Nie pamiętam świętego, który miałby taką rodzinę, o jakiej mówi Terlikowski. Pełną, z mamą siedzącą w domu i tatą cierpliwie na ten dom zarabiającym, wiernym i miłym facetem.

Mój ulubiony święty – Augustyn – zanim został świętym, był bywalcem domów uciech i miał konkubinę oraz nieślubne dziecko, które zresztą porzucił dla wiary. Dziś nazwalibyśmy to więcej niż nędzną męską wymówką i ucieczką od

odpowiedzialności. Zawsze zresztą otwarcie opowiadał się za funkcjonowaniem legalnych domów publicznych. O Locie, który chciał oddać na pastwę pijanych rozpustnych mężczyzn w Sodomie swoje dwie córki, nawet nie wspomnę, bo trudno podejrzewać go o głębsze przywiązanie do wartości rodzinnych.

Sam Jezus Chrystus opuścił swoją matkę i swojego ojca i nie utrzymywał z nimi zbyt intensywnych kontaktów, zresztą – już jako dziecko miał opinię Maryi i Józefa raczej w poważaniu. Wszyscy pamiętamy fragment *Biblii*, w którym mały syn Boży ucieka do świątyni i siedzi w niej bodaj dwa dni, nie racząc o niczym zawiadomić mamy i taty. Nie poczuwał się wobec nich do winy, nie przepraszał i nie tłumaczył. Nie przyszło mu do głowy, że Maryja zwyczajnie się o niego martwiła, że przysporzył jej zmartwień. Jezus był indywidualistą i takimi drobiazgami jak uczucia matki i ojca raczej się nie martwił. Poniekąd zrozumiałe – miał w końcu na głowie całą ludzkość.

Zresztą Bóg, ojciec Jezusa, też o mały włos nie rozbił małżeństwa Józefa z Maryją: wiadomość o ciąży tej ostatniej wystawiła przecież ich związek na ciężką próbę, której by nie przetrwał, gdyby nie nadzwyczajna anielska interwencja.

Mało kto wie, że Jezus miał rodzonych braci, bo to nie oni, a obcy ludzie, apostołowie, stali się jego ulubionymi towarzyszami. O tym, że Jezus nigdy się nie ożenił (choć nie można wykluczyć i żaden poważny badacz biografii Jezusa tego nie robi), że żył z kobietami, nikomu w Polsce przypominać nie trzeba.

A skoro już jesteśmy przy apostołach… Niemal wszyscy byli żonaci, a niektórzy nie tylko mieli żony i dzieci, ale byli tych żon i dzieci jedynymi żywicielami (rybacy). A jednak kiedy zjawił się Jezus, wszyscy w mgnieniu oka porzucili swoich

bliskich i poszli za nim. Czy Terlikowski zadał sobie kiedyś pytanie, za co żyły żony apostołów, gdy ich mężowie je opuścili? Co czuły ich dzieci, kiedy obecni dotąd tatusiowie nagle raz na zawsze zniknęli z ich życia? Czy to było w porządku? Czy to było prorodzinne?

Zawsze zastanawiałam się, jak wyglądałyby ówczesne nagłówki gazet, gdyby w czasach Jezusa istniały tabloidy. „Moje dzieci są głodne, a mąż włóczy się z brodatym szaleńcem" – żali się „Faktowi" żona Świętego Piotra. „Dlaczego Święty Paweł tak nie lubi kobiet?" – zastanawia się „Super Express". „Jezus codziennie pije wino: czy już ma problem z alkoholem?" – zadaje pytanie „Gala", a anonimowy informator „Party" dorzuca: „Widziałam na libacji z apostołami kobietę lekkich obyczajów". Jakieś inne „Show" natychmiast prostuje: „Maria Magdalena jest bardzo stylowa, czyli look na grzesznicę".

Prawda jest taka, że Jezus nie był prorodzinny, apostołowie też nie, i im prędzej katolicka prawica się z tym pogodzi, tym lepiej dla jej zdrowia psychicznego. Jezus ewidentnie ponad rodzinę przedkładał wielkie idee, a jego uczniowie wydawali się tę hierarchię wartości podzielać.

Gdy myślę o apostołach i ich przywódcy, gdy czytam spisane przez nich księgi, zwane *Biblią*, widzę działaczy społecznych, dzielnych ludzi, którzy odważyli się przeciwstawić stereotypom i utartym normom, czasom, w których żyli, i utartemu porządkowi moralnemu, kościelnemu, a częściowo i prawnemu. I widzę, że cena, jaką za to zapłacili, jest bardzo podobna do ceny, jaką za zaangażowanie w działalność społeczną i reformatorską płacą wszyscy wielcy ludzie przez wieki, a jest nią osamotnienie i właśnie – utrata rodziny.

Prawda jest taka, że gdyby rodzina była najważniejsza, nie byłoby na świecie Jezusa, a apostołowie by za nim nie poszli. Gdyby rodzina była najważniejsza, Jezus nie popierałby jawnogrzesznicy. Gdyby rodzina była najważniejsza, Święty Paweł nie odradzałby każdemu, kto mu się nawinął, ożenku i nie mówił o założeniu rodziny jak o smutnej ostateczności. Nie rodzina była dla Jezusa najważniejsza, ale społeczeństwo i sprawy, którym służył. Nie więzy krwi, tylko więzy ducha i idei, wspólnota umysłów i serc.

Wygląda na to, że Terlikowski i inni katoliccy radykałowie są świętsi od samego Jezusa i bardziej prorodzinni od Świętego Piotra, o Świętym Pawle nie wspominając. Współczuję i gratuluję im życia w wymyślonym świecie, który nie istniał nawet w *Biblii*.

Jeśli Bóg istnieje

Wierzę, że jeśli przed nim (przed nią) stanę, Bóg nie zapyta mnie, czy jadałam w piątki kiełbasę i czy zmusiłam zgwałconą sąsiadkę do urodzenia dziecka. Mam również nadzieję, że nie przyczepi się do szkoły mojego przyszłego dziecka i nie zapyta ze złośliwym grymasem: Ale czy były tam dzieci rozwiedzionych rodziców? Nie spodziewam się także usłyszeć, jak Bóg nerwowo dopytuje, czy aby na pewno w każdą niedzielę chodziłam do kościoła i czy słuchałam Rolling Stonesów. Nie sądzę też, by myślał, że Nergal jest diabłem, a ksiądz Boniecki jego adwokatem. Sprowadzanie Boga do roli małostkowego idioty to ostatnio zażarta praca wielu katolików celebrytów, ale głęboko wierzę, że epatując głupotą, pokazują swoją, nie jego (jej?) prawdziwą naturę.

Jeśli kiedykolwiek stanę przed Bogiem, jeśli okaże się, że on istnieje, mam nadzieję, że spotkam kogoś z poczuciem humoru, dystansem do siebie, inteligentnego i mądrego – to oczywiste, ale także wielkodusznego, zupełnie pozbawionego tego charakterystycznego dla prostaków i neurotyków przywiązania do wałkowania w nieskończoność błahych i dla nikogo poza samym zainteresowanym nic nieznaczących

szczegółów, jak ten, czy Jezus w Świebodzinie miał dwadzieścia pięć, czy może jednak aż trzydzieści metrów.

Wbrew nadziejom braci Karnowskich jestem pewna, że Bóg nie dzieliłby księży na lubiących (bądź nie) Nergala i zgorszonych (bądź nie) darciem *Biblii* na scenie. Dzieliłby ich natomiast zapewne na miłosiernych i sobków, rozsądnych i zapienionych z nienawiści, myślących i krzyczących, mądrych i tych, co się wymądrzają. I mam przeczucie, że w tej pierwszej kategorii ani bracia Karnowscy – znęcający się nad upokarzanym przez Kościół księdzem Bonieckim, ani wyżywający się na wszystkich myślących inaczej niż on Tomasz Terlikowski, ani wielu, wielu innych nienawistników by się nie znalazło.

Pięknie już było. Przed Franciszkiem

Stało się. Papież Franciszek apeluje do księży, żeby chrzcili, żenili i grzebali zmarłych za darmo. Jak to za darmo? Ano, normalnie, za darmo. A to się porobiło, panie! To jak to tak? To za co ci księża teraz będą żyć?

Jest już jasne, że ewidentnie papież Franciszek jest człowiekiem niemającym żadnego zrozumienia dla delikatności uczuć polskich biskupów, żadnych względów dla ich wysublimowanych potrzeb i wieloletnich przyzwyczajeń. Najpierw absurdalne nawoływania do skromności, później bredzenie o służbie wiernym, niechęć do blichtru i przepychu, a teraz to.

Wyobrażam sobie, jak w zaciszu domowym niejeden hierarcha lży go grubszym słowem albo, leżąc krzyżem (nie, żartowałam, tego się akurat po biskupach nie spodziewam), życzy mu pobożnie jak najszybszego końca – pontyfikatu oczywiście. I ja się w sumie tym złym myślom nie dziwię, bo każde dziecko wie, że gorzej niż nie mieć jest tylko mieć, a później stracić. Że do dobrego się człowiek przyzwyczaja.

No bo jak, no jak papież mógł wezwać księży, żeby przestali brać pieniądze za śluby, chrzciny i pogrzeby? No jak?! I co on

sobie właściwie myśli – bez pieniędzy z sakramentów za co proboszczowie opłacą prąd, gaz i gosposie na plebaniach (bo żeby sami mieli gotować i sprzątać, o tym nie może być mowy, to niemęskie), za co kupią samochody? Bo o rowerach przecież nie może być mowy, to rozumie się samo przez się. Zresztą – o jakich rowerach mówimy? Wystarczy spojrzeć na gabaryty przeciętnego polskiego duchownego, żeby szczerze ubawić się na tę myśl. Może Franciszek, Latynos, ciągle w ruchu, uważa, że to fraszka tak pedałować od domu do domu z posługą kapłańską, ale my tu w Polsce wiemy swoje. Zresztą, po co zaraz od domu do domu? Jak wierny ma interes, to niech sam przyjdzie. Na plebanię. Zadzwoni dzwonkiem i poprosi o audiencję. Jak się czas znajdzie, to się przyjmie, a jak nie – niech przyjdzie w następnym tygodniu. W końcu, co ma ciekawszego do roboty.

Strach pomyśleć, ale jak tak dalej pójdzie, za chwilę Franciszek powie, że jest kryzys i że polski Episkopat powinien oddać wiernym pokaźną część swoich dóbr. Budynki odzyskane w ramach bandyckiej działalności kościelno-rządowej komisji majątkowej oddać na publiczne przedszkola, żłobki, przytułki i biblioteki, gotówkę rozdać potrzebującym, a na kupionych za bezcen działkach stawiać szpitale zamiast kościołów!

Bo kościół – powie Franciszek – jest tam, gdzie wierni, a wierni mogą się modlić nawet pod gołym niebem, i co to wtedy będzie? Co stanie się z polskim klerem, biskupami, ich autami, domami, gosposiami, hierarchiczną strukturą, wiernymi traktowanymi jak armia prostaków do wyzyskania? Co stanie się z zabobonami mającymi podtrzymać w ludziach przekonanie o nieodzowności duchownej tłuszczy (patrz zakaz noszenia zabawek i akcesoriów Hello Kitty w jednej

z katolickich szkół, patrz głupoty wygadywane o *in vitro*, edukacji seksualnej, antykoncepcji czy aborcji, patrz zakazywanie rozmaitych lektur, muzyki i sztuki, usiłowania wprowadzenia cenzury)?

Słowa rzecznika Episkopatu, Józefa Klocha, który z przekonaniem dowodzi, że auto za sto pięćdziesiąt tysięcy złotych to nie jest luksusowe auto i że biskupi mają prawo takimi jeździć, pokazuje, w jakim odlocie, na jakich haju żyją ci panowie w sutannach, których – takie mam wrażenie – głównym zajęciem jest od dłuższego czasu robienie wierzącym wody z mózgu. Na jakich antypodach zdrowego rozsądku i zwykłej ludzkiej przyzwoitości?

Mam nadzieje, że już nigdy im tak pięknie i wygodnie nie będzie. Że pięknie i wygodnie już było – przed Franciszkiem.

Naród, ojczyzna, ściema

Prawica ciągle twierdzi, że spalenie tęczy na placu Zbawiciela było – może i nieco nagannym – ale jednak przejawem ich „narodowych" poglądów. Owszem, poglądów wyrażanych w sposób niegrzeczny, nieco niewłaściwy (kilku polityków prawicy porównało nawet akty przemocy narodowców do wybryków rozbrykanych łobuziaków: „młodość musi się wyszumieć"), ale tylko poglądów. W końcu, przekonuje jej guru, Wojciech Cejrowski, to jest plac Zbawiciela, a nie plac zboczeńców. Zastanawiam się tylko, czy prawica byłaby równie wyrozumiała, gdyby działacze lewicy albo po prostu ateiści, w imię – no, może trochę niegrzecznej i niewłaściwie wyrażanej, ale jednak – ekspresji własnych poglądów, podpalili kościół przy placu Zbawiciela. Czy uznaliby argument, którym sami szermują – że przecież to jest plac miejski, a nie katolicki, a w Polsce mamy rozdział Kościoła od państwa – za wystarczający?

Bo jeśli nie, to znaczy, że mamy do czynienia z osobnikami głęboko zdemoralizowanymi, uważającymi się za nadludzi niepodlegających bynajmniej zasadom, które sami głoszą.

Są słowa-wytrychy, które usprawiedliwiają wszystko, rzecz jasna zdaniem tych, którzy ich używają. Słowo „matka" używane najczęściej przez wyrodne matki, szantażujące biedne latorośle (co, dla matki tego nie zrobisz?). Słowo „choroba" notorycznie nadużywane przez leserów (nie mogę tego czy tamtego, bo jestem chory), słowo „dziecko" (przepraszam, że się spóźniłem, ale wiesz, rozumiesz, dziecko). A także słowa „przyzwoitość" i „moralność" (nie możesz tego zrobić, bo to nieprzyzwoite, niemoralne), nadużywane zazwyczaj przez osobniki kompletnie amoralne i nieprzyzwoite, no i wreszcie ta osobna kategoria używanych w polityce słów-wytrychów robiących zawrotną karierę na prawicy: „patriotyzm, „ojczyzna" i „naród.

Nie po raz pierwszy zauważam, że prawica inną miarą mierzy grzechy własne i cudze. Żarliwe fascynacje Jarosława Marka Rymkiewicza stalinizmem są nieistotnym wybrykiem i błędem młodości, ale znienawidzony przez kipiących nienawiścią łysych młodzieńców profesor Bauman do tych samych błędów młodości już nie ma prawa. Podejrzenie o współpracę z Służbą Bezpieczeństwa w żaden sposób nie obciąża eksperta smoleńskiego Chrisa Cieszewskiego, ale już w przypadku Lecha Wałęsy jest dowodem najwyższego skundlenia. Zamknięcie na trzy spusty szafy Lesiaka przez lewicę było dowodem inwigilacji i prześladowania PC na początku lat dziewięćdziesiątych, ale zatrzaśnięcie jej przez PiS-owskiego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę jest już tylko zapewne zwykłym przeoczeniem.

Podstawowym warunkiem prawa i porządku w liberalnej demokracji jest równość wszystkich obywateli wobec prawa, a jej z kolei warunkiem równość kryteriów, według których oceniamy, nie tylko ich praworządność, ale także moralność,

prawdomówność i cnoty obywatelskie. W istocie ta równość jest jedynym gwarantem, że w państwie nie będzie lepszych i gorszych, że bez względu na pełnioną funkcję publiczną i status społeczny, wszyscy Polacy będą mieć ten sam głos w debacie. Że głos każdego z nich: liberała, konserwatysty, narodowca, katolika i ateisty będzie tak samo ważny i szanowany, tak samo brany pod uwagę.

Mające usprawiedliwić brak tej równości pojęcia „narodu" i „ojczyzny" tworzone przez „narodowców" czy „prawdziwych patriotów", jednostki niemające nic ze mną wspólnego, tyle tylko, że przypadkowo urodzone w tym samym czasie, na tym samym terenie, zupełnie na mnie nie działają. Dla mnie naród to ludzie, z którymi łączy mnie w pierwszej kolejności wspólnota ducha, a dopiero w drugiej sąsiedztwo – i też raczej to bliższe (patriotyzm lokalny to jedyny rodzaj patriotyzmu, który rozumiem).

Co do dumy narodowej zaś, to zgadzam się z moim ulubionym filozofem Arthurem Schopenhauerem, że jest to ten rodzaj dumy, który łączy ludzi niemających powodów do dumy z czegokolwiek innego.

Czy kocham Polskę? Tak, ale na mój własny, pragmatyczny sposób. Chcę, żeby były w niej czyste chodniki, bezpieczne ulice, przedszkola i dobre szkoły, szpitale i kościoły wszystkich wyznań, a także wolność słowa, z której dobrze wychowani obywatele będą korzystać w pełni, choć z poszanowaniem wolności innych ludzi.

I dopóki nie stanie się jedna z dwóch rzeczy: pseudonarodowcy i pseudokatolicy nie przestaną niszczyć symboli mi drogich lub ja nie będę mogła zniszczyć symboli im drogich, na przykład spalić kościoła, uznaję, że w Polsce tej elementarnej równości nie ma.

GENDER TO JEST WOJNA KOBIET

Biskupi mają rację – gender rzeczywiście jest zagrożeniem. Tyle że nie dla społeczeństwa i rodziny, ale dla konkretnej uprzywilejowanej grupy mężczyzn – właśnie kleru katolickiego – bojących się stracić swoją pozycję i władzę. Stracą ją i tak, bo w cywilizowanym świecie to nie do uniknięcia, ale na razie walczą o to, by trwała jak najdłużej, nie przebierając w środkach, brutalnie i bezwzględnie. Na miejscu feministek wcale nie starałabym się wojny z gender wyciszać, przeciwnie – rozdmuchałabym ją do niebotycznych rozmiarów. Bo wojna z gender to tak naprawdę wojna nas, kobiet, o nas. Niepowtarzalna okazja, żeby podnieść głowy i zażądać od mężczyzn, także tych w sutannach, należnych nam praw, należnego nam miejsca w społeczeństwie, dla którego robimy przecież o niebo więcej niż księża katoliccy. Osobiście uważam, że wojnę kleru z gender każda z nas, kobiet, powinna odebrać jako zamach na siebie, swoje prawa i obywatelskie wolności, jako bezprecedensowy przykład nienawiści i pogardy, któremu – jeśli się nie przeciwstawimy – będziemy musiały ulec, pogarszając tym samym naszą, i tak

już wystarczająco złą, społeczną, psychologiczną, finansową i prawną sytuację.

W wojnie z gender widać, jak klerowi obcy jest zupełnie komunitaryzm, postawa i nurt myślenia podkreślający ogromną wartość wspólnot i działania w kategoriach społecznych, szeroko zresztą w tej chwili dyskutowany, zwłaszcza w krajach anglosaskich, a w Polsce zupełnie nieobecny w dyskursie publicznym, z ogromną szkodą dla obywateli i obywatelek.

Spora część hierarchów i księży katolickich to kompletnie aspołeczne jednostki, postrzegające wszystko w wąskich kategoriach interesów branżowych. Kompletnie nie rozumieją, że oni jako księża, ale też jako jednostki i obywatele, funkcjonują w ramach społeczności, której częścią są kobiety, mające takie sama prawa jak mężczyźni.

Nie odróżniają zdrowego egoizmu, mówiącego: ja i moja grupa zawodowa, płciowa i każda inna, jesteśmy ważni, ale tak samo ważni, ni mniej, ni więcej, ale właśnie tak samo, są inni ludzie i ich grupy, zawodowe czy płciowe oraz ich interesy, od egoizmu chorego, który twierdzi: ja i moja grupa jesteśmy najważniejsi, nasze uczucia i interesy mają pierwszeństwo przed uczuciami i interesami innych ludzi i grup. Jesteśmy ważniejsi, więc zasługujemy na przywileje.

Dla kleru katolickiego najważniejszy jest on sam i kropka. Jednak to, co oczywiste dla kleru, nie jest już oczywiste dla oświeconych prawników, demokratów, myślicieli i filozofów, dla inteligencji, wreszcie – po prostu dla sporej grupy coraz bardziej wściekłych na kler Polaków i Polek. Dla nich jest jasne, że kler katolicki w Polsce cieszy się ogromnymi przywilejami między innymi finansowymi i społecznym całkowicie niezasłużenie. Nie ma dla tych przywilejów

usprawiedliwienia i są skrajnie nieprzejrzyste, zarówno jeśli chodzi o sposób ich przyznawania, jak korzystania z nich i rozliczania się. I jest jasne, że właśnie w obronie tych przywilejów walczą księża, nazywając to wojną z gender, które niszczy rodzinę.

Jeśli spojrzymy na kler katolicki trzeźwo, bez otoczki ogłupiającej ideologii, zobaczymy grupę mężczyzn sprawujących konkretną władzę, mających wpływ na stanowione prawo, cieszących się pieniędzmi, które spadają z nieba (działalność kościelno-rządowej komisji majątkowej), kupujących poparcie polityków konkretnymi usługami świadczonymi na rzecz ich partii politycznych – na przykład agitacją polityczną i wyborczą prowadzoną w kościołach, od wieków traktujących kobiety jak służące, korzystających z ich nieodpłatnych usług i pracy. A także – bez większych ograniczeń – z ich ciał i ciał ich dzieci.

Z tego punktu widzenia staje się jasne, dlaczego i w jaki sposób traktowanie kobiet tak samo – nie lepiej, nie gorzej, lecz dokładnie tak samo jak mężczyzn – zagraża żywotnym interesom kleru katolickiego i wszystkim mężczyznom uważającym się za radykałów prawicowych. A to przecież przede wszystkim postuluje gender, postulują feministki!

To feministki domagają się uznania prac domowych najczęściej wykonywanych przez kobiety za wartościowe i odpłatne, domagają się dla kobiet wolnego wyboru w sprawach światopoglądowych, na przykład w sprawie aborcji, co odebrałoby klerowi i mężczyznom w ogóle władzę nad ich ciałami (a władza nad ciałem jest istotną częścią władzy w każdej tyranii). Wyedukowane genderowo (czyli w kwestii swoich praw) katoliczki i niekatoliczki zaczną zadawać pytania, dlaczego pełnią w kościele

i w społeczeństwie tylko funkcje podrzędne, służebne, a nie biorą udziału w podziale władzy.

Zaczną pytać, dlaczego właściwie mają rodzić w bólach, skoro mężczyzna poddający się zabiegowi operacji raka prostaty może korzystać ze środków przeciwbólowych? Później zaczną się interesować, jaka część środków publicznych jest przeznaczana na sprawy służące mężczyznom, a jaka na sprawy ważne dla kobiet. Zaczną domagać się ustaw uwzględniających ich potrzeby społeczne, biologiczne, psychologiczne i finansowe, zażądają szacunku.

Dlatego wojna biskupów z gender tylko pozornie jest bajaniem o złych feministkach, mającym odwrócić uwagę od pedofilii w Kościele. Naprawdę to krwawa i bezwzględna wojna z perspektywą równości w życiu społecznym i politycznym, wypowiedziana kobietom (uosabianym przez feministki) właśnie przez kler katolicki – mężczyzn, choć w sutannach.

W świetle przemian zachodzących w świecie, czyli umacnianiu się w liberalnych demokracjach przekonania o konieczności zapewnienia kobietom równych praw na każdej płaszczyźnie życia (choćby przez powoływanie specjalnych pełnomocników genderowych, dbających o to, by konkretne rozwiązania prawne służyły nie tylko mężczyznom, ale także kobietom), agresywna i roszczeniowa postawa kleru katolickiego jest nie do zaakceptowania, a po ludzku – już po prostu coraz bardziej nie do zniesienia.

Ludzki pan

Pamiętacie tekst, w którym umiarkowanie chwaliłam papieża Franciszka i śmiałam się z polskich księży, na których jego przykład nie podziałał zbawiennie? Ten tekst, pisany (jeśli dobrze pamiętam) około roku później, jest już o wiele bardziej krytyczny, ponieważ przekonałam się, że dobry przykład i pozory to wszystko, na co ze strony głowy państwa Watykan możemy liczyć.

W przeciwieństwie do wielu, nawet lewicowych, kolegów nie zachwycam się papieżem Franciszkiem – bo trudno zachwycać się kimś, kto tonem objawienia co rusz ogłasza rzeczy banalne i dla każdego normalnego człowieka oczywiste: że ludziom należy się szacunek, nikt nie ma prawa i kwalifikacji, by osądzać drugiego, a ksiądz jest od służenia, a nie mądrzenia się, jak żyć (bo o tym sam, ze względu na nikłe doświadczenie życiowe, ma często marne pojęcie). Czego oczekuje papież, wygłaszając takie konwencjonalne slogany? Zachwytu wyznawców i krytyków? Że co? Że niby z niego taki ludzki pan?

Mam problem z papieżem Franciszkiem i z jego apologetami. Tak, głowa Kościoła katolickiego wydaje się być dobrym i miłym człowiekiem, kapłanem z powołania i udanym egzemplarzem religijnego celebryty (czego o Benedykcie XVI

nie można było powiedzieć), ale kolejne prawdy, które co chwila odkrywa i ogłasza, wprawiają w konsternację. Podobnie jak zachwyt piewców unoszących się nad jego niebywałą otwartością. Niektórzy mówią nawet o rewolucyjnym podejściu!

Nie wiem, co jest rewolucyjnego w dorosłym (ba, nawet dojrzałym), świetnie wykształconym mężczyźnie, który ogłasza, że jeden człowiek nie ma prawa osądzać drugiego (ksiądz swoich wiernych), że homoseksualiści zasługują na szacunek kleru, że ludzi, w tym dzieci, nie powinno się bić (o przepraszam, mój błąd – jeśli nie w twarz, to można) i wreszcie – jak ostatnio – że choć aborcja to grzech, to za grzechy człowiek odpowiada przed Bogiem, a nie przed księdzem i ksiądz zamiast potępiać, powinien z niej rozgrzeszać. Rewolucyjne i zawstydzające jest raczej, że to, co w XXI wieku, w cywilizowanym świecie, dla średnio choćby wrażliwych ludzi od dawna jest oczywistością: szacunek dla drugiego człowieka i jego odmienności, brak przemocy, niekategoryzowanie ludzi i niedzielenie ich na lepszych i gorszych ze względu na płeć czy orientację seksualną – dla głowy Kościoła katolickiego nadal najwyraźniej stanowi epokowe odkrycie. Tak naiwne formułowanie podstawowych moralnych i psychologicznych prawd i wygłaszanie ich w dodatku z komicznym w tym kontekście patosem i powagą, wiele mówi o słabej kondycji Kościoła katolickiego, która w Polsce (ze względu na niski poziom wykształcenia i erudycji księży i wielu biskupów) jest szczególnie widoczna.

W czasach kiedy Europa przechodzi głęboki kryzys duchowy, widoczny w strachu, poczuciu zagrożenia, braku poczucia bezpieczeństwa, zwrocie ku agresji i nienawiści, zamykaniu się na wszystko, co obce (mówię także o wpływach

kulturowych), przywódca jednego z największych wyznań chrześcijańskich ma do zaoferowania banalne konstatacje moralne. Nie wiem, jak Państwo, ale ja oczekiwałabym więcej. Dużo więcej.

Oczekiwałabym próby zrozumienia złożonej natury świata, w którym przyszło nam żyć, i głębokiej reformy Kościoła katolickiego, instytucji, której od dawna (z powodu hipokryzji, ekscesów seksualnych i finansowych, afiszowania się z bogactwem i bezpardonowej walki o nieuzasadnione przywileje i polityczną władzę) nie darzę szacunkiem, ale która – gdyby potrafiła się na to zdobyć – mogłaby zacząć się zmieniać i stanowić dla wielu ludzi realne oparcie.

Zamiast tego biernie przygląda się rosnącej w siłę nienawiści, a bywa – jak instytucjonalny Kościół katolicki w Polsce – że wręcz na niej żeruje i ją wspiera.

I ta monotematyczność. Na miłość boską! To nie aborcja, antykoncepcja rozwodnicy i geje są dziś problemem dla większości mieszkających w Europie i na świecie katolików, ale właśnie niestabilna sytuacja polityczna i społeczna. Problemem jest także coraz gorszej jakości wykształcenie fundowane przez populistów chcących utrzymywać ludzi w ciemnocie i masowe odchodzenie od prawdziwych, głębokich wartości (nie, nie chrześcijańskich, ale po prostu wartości: uczciwości, dobra, prawdy i zasad) na rzecz posiadania i nic nieznaczącego blichtru – jeśli Kościół chce mieć swój udział w rozwiązywaniu tych problemów, papież powinien zakasać rękawy i wziąć się do prawdziwej roboty.

Na początek mógłby choćby zwrócić uwagę na to, że w rządzonym przez niego polskim Kościele katolickim szerzy się idolatria, a i masowe imprezy religijne coraz bardziej przypominają pogańskie gusła. Mógłby się odnieść do

skandalicznych postaw wielu hierarchów wobec nierozwiązanego problemu pedofilii, wymagających wyjaśnienia operacji finansowych (kościelno-rządowa komisja majątkowa i nabywanie gruntów po zaniżonych cenach) i do gorszącego, kłującego w oczy wystawnego trybu życia biskupów i arcybiskupów, o odnoszeniu się z pogardą do każdego, kto myśli inaczej, nie wspominając.

Jeśli chcecie uczciwie ocenić papieża Franciszka, nie patrzcie na to, co mówi – bo gadanie jest tanie, nic nie kosztuje – spójrzcie na czyny. Spójrzcie, jak odpowiada na najbardziej palące wyzwania rzeczywistości, spójrzcie na to, czy Kościół pod jego panowaniem (bo przecież o feudalnym o panowaniu, a nie o przewodnictwie, tu mówimy) staje się faktycznie bardziej dojrzały i otwarty.

Czy ksiądz Lemański doczekał się odpowiedzi Franciszka na swój przejmujący apel o miłosierdzie? Dlaczego ksiądz Boniecki nadal musi milczeć? Dlaczego arcybiskup Hoser, nieniepokojony przez Watykan, udziela wywiadów i poucza (sic!) innych, jak postępować moralnie? Czy arcybiskup Paetz nadal jest kapłanem? No właśnie. Nie wiem, jak Państwu, ale mnie to wystarczy, żebym wiedziała, z czym mam do czynienia.

Polski interes państwa Watykan

Sprawa arcybiskupa Wesołowskiego wyjątkowo bulwersowała opinię publiczną i stanowiła żywy dowód na rozbieżność przyzwoitych deklaracji papieża Franciszka z jego – w oczach wielu – nieprzyzwoitym postępowaniem.

Podejrzewany o pedofilię arcybiskup Wesołowski zostanie w Watykanie, bo zgodnie z watykańskim prawem nie może być poddany ekstradycji. Oznacza to, że państwo Watykan nie przekaże polskiej prokuraturze byłego nuncjusza apostolskiego na Dominikanie, Józefa Wesołowskiego, bo arcybiskup Wesołowski, który w Polsce się urodził i na koszt polskiego podatnika wykształcił, w Polsce zdobywał kolejne kapłańskie szlify i robił karierę, nie jest w istocie Polakiem, tylko…Watykańczykiem. Czyli przepraszam kim? Watykańskie prawo, któremu duchowny podlega, wyklucza możliwość ekstradycji, dlatego możemy zapomnieć o wyciągnięciu wobec Watykańczyka Wesołowskiego konsekwencji. Rozumiem, że jakby molestował dzieci polskie, nie dominikańskie, i polska prokuratura chciałaby go zatrzymać w tej sprawie, również nie mogłaby tego zrobić. W jakim życiu my, Polacy, do tego dopuściliśmy? W jakim życiu wybraliśmy władze, polityków,

które mając nas, obywateli tego kraju i własnych wyborców, w głębokiej pogardzie, oddały klerowi katolickiemu, jak się okazuje, obywatelom obcego kraju, część swojego prawa, pieniędzy, wreszcie zwykłej ludzkiej przyzwoitości? Informacja, że Stolica Apostolska informuje, iż prowadzi własne śledztwo w sprawie podejrzeń o pedofilię i że (w razie potwierdzenia winy Wesołowskiego) zgodnie z prawem watykańskim najwyższą karą, jaką poniesie, będzie… wykluczenie ze stanu duchownego, zakrawa przecież na jakąś kosmiczną kpinę i jest policzkiem, wymierzonym siarczyście polskiemu wymiarowi sprawiedliwości.

Chcę powiedzieć bardzo głośno i wyraźnie: Wesołowski jest Polakiem, urodził i wychował się w Polsce, państwo polskie subsydiowało jego studia, i gdyby przez ostatnie lata urzędował w Polsce, a nie na Dominikanie (co czynił w przeszłości), pobierałby jako dostojnik kościelny pieniądze od polskich podatników. Gdyby uczył w szkole religii, państwo polskie płaciłoby mu pensję, państwo polskie zapłaciłoby też za jego doktorat i profesurę na katolickiej uczelni – gdyby zechciał je zrobić, a gdyby był kapelanem wojska polskiego, mógłby uzyskać stopień wojskowy i pobierać wysoką generalską emeryturę. Zresztą nawet na owej nieszczęsnej Dominikanie był i tytułował się przedstawicielem polskiego Kościoła, do diaska – obnosił się z funkcją polskiego nuncjusza!

Sądzę, że sytuacja dojrzała do tego, żeby publicznie postawić pytanie: czy księża katoliccy są obywatelami polskimi lojalnymi wobec Polski, czy rezydentami Watykanu urzędującymi w Polsce, lojalnymi wobec Watykanu? Jeśli to drugie, to dlaczego my, polscy, nie watykańscy przecież, podatnicy, dokładamy do obywateli Watykanu, którzy nie

poczuwają się wobec tego kraju do niczego? Jaki jest powód tak rażącej usłużności?

Gdyby sytuacja nie dotyczyła dostojnika watykańskiego, tylko dostojnika rosyjskiego, gdyby w miejsce „urzędników watykańskich" wstawić „urzędników rosyjskich", gdyby to Rosjanie mieli tutaj, w Polsce, swoje siedziby i szkoły dotowane z polskiego budżetu, przywileje i komisje majątkowe, mogące zabierać bez wyroku sądu ziemie polskim obywatelom – uznalibyśmy polityków, którzy do tego dopuścili, za zdrajców. I słusznie, bo należałaby im się kulka w łeb. Co więc nas powstrzymuje przed zweryfikowaniem konkordatu, umowy państwa polskiego z państwem Watykan, ewidentnie krzywdzącej dla Polaków, uwłaczającej naszej godności, interesom i poddającej w wątpliwość nasz – i naszych władz – zdrowy rozsądek?

Gołym okiem widać, że interesy państwa Watykan są w wielu punktach sprzeczne z interesem Polski. Dlaczego więc nie postępujemy z Watykanem, jak z Francją, Wielką Brytanią czy każdym innym krajem świata, z którym dzieli nas sprzeczność interesów? Czy z Niemcami lub Czechami zawarlibyśmy umowę międzypaństwową o kształcie identycznym jak konkordat? Nie.

Dlaczego więc polscy politycy nie poślą Watykanu – bezczelnego, aroganckiego, roszczeniowego obcego kraju, wykorzystującego Polskę i śmiejącego się jej w twarz – do wszystkich diabłów?

Oko zamiast mózgu

Wykład księdza Oko w Sejmie pokazuje, że edukacja i wiedza są tlenem demokracji, która bez nich zanika, a z nią postęp, tolerancja, prawa człowieka, a nawet zdrowy rozsądek. Jednak, dokładnie z tego właśnie powodu, powszechny brak wiedzy i edukacji jest Kościołowi katolickiemu bardzo na rękę – bo niewykształconym społeczeństwem łatwo jest manipulować. Takiemu społeczeństwu można grać na uczuciach i wreszcie, takiemu społeczeństwu, wykorzystując jego rozbuchane emocje, łatwo jest wszystko wmówić. Ludzie wyedukowani nie poddają się łatwo manipulacji, znają swoje prawa i potrafią je egzekwować, a w razie potrzeby – ich bronić. Wiedzą, jak argumentować i jak uchronić się przed wykorzystaniem – w każdej dziedzinie. Znienawidzony przez Kościół katolicki wielki filozof, Fryderyk Nietzsche, mawiał co prawda, że największym wrogiem prawdy nie są fakty, lecz przekonania, jednak i przekonania, zwłaszcza te urągające rozumowi, znacznie łatwiej powstają i utrwalają się w umysłach wyjałowionych, nieskażonych jakąkolwiek rzetelną informacją na jakikolwiek temat.

Świadomość własnych praw, świadomość, jak postępować, kiedy ktoś chce je nam odebrać, chce nas skrzywdzić, to ważna broń w walce o prawa człowieka i prawa obywatelskie, utrzymanie pozycji słabszych wobec natarcia silnych. Nie tak dawno kobiety dzięki wiedzy, że są równe mężczyznom, że są równie wartościowe jak oni, uwierzyły w siebie i sięgnęły po prawa wyborcze, prawo studiowania na uniwersytecie i wykonywania – na równi z mężczyznami – zawodów dotąd zastrzeżonych tylko dla nich. Dziś są lekarkami, naukowczyniami, polityczkami, właścicielkami firm i (także dzięki gender) walczą o to, by sięgać dalej – po równe zarobki i wolność do decydowania o własnych ciałach. Wiele oczywistych dziś osiągnięć prawnych, jak penalizacja gwałtów małżeńskich czy przemocy w rodzinie, poprzedzało – po prostu – edukowanie kobiet o ich prawach, wzrost ich samoświadomości.

Tak jak pomogła kobietom, edukacja mogłaby pomóc dzieciom. Polskie dzieci, na wzór zachodnich, mogłyby się przecież nauczyć, jak odróżnić dobry dotyk od złego, co zrobić, dokąd pójść i komu się poskarżyć, kiedy dorosły dotyka w niedozwolonym miejscu i które miejsca są – i dlaczego (no właśnie) – niedozwolone. Byłoby to z olbrzymią korzyścią dla nich, bo umożliwiłoby realną obronę przed pedofilami już na pierwszym, najbardziej groźnym poziomie, poziomie zaczepki, niedozwolonych słów i gestów. Dzięki edukacji – nie bójmy się powiedzieć: seksualnej – dzieci uzyskałyby też szereg nie mniej ważnych korzyści: wiedzę, że nie każdy dorosły jest dobry, że dzieci nie są podległe dorosłym z zasady, że mają własny rozum i mogą go używać do swojej oceny sytuacji i obrony – gdy zajdzie taka konieczność. Wreszcie, że mogą, mają prawo w określonych sytuacjach powiedzieć dorosłemu: nie. Że ich

ciało i samopoczucie jest ważne. Że są podmiotem, nie przedmiotem. Takie dzieci nie dadzą się wykorzystać pedofilowi bez krzyku, bez protestu, a nawet wykorzystane, powiedzą o tym, pójdą po pomoc. I mam wrażenie, że tego właśnie – końca uległości swoich ofiar, końca swojej bezkarności boją się pedofile i ich obrońcy. Księża atakujący gender prawdopodobnie boją się dokładnie tego samego: że wykorzystywane przez nich kobiety, dzięki sprawności katolickiej propagandy nieświadome dotąd, jak skrajnie niska, służalcza i służebna jest ich pozycja, przejrzą na oczy. I – o zgrozo! – pojmą, jak przez lata pasożytowali na ich pracy mężczyźni roszczący sobie prawo do rządzenia nimi na podstawie ciemnoty wciskanej im w miejsce rzetelnej wiedzy i dla niepoznaki nazywanej uczenie prawem naturalnym.

I jak sądzę, właśnie dlatego wiedza i edukacja, zwłaszcza genderowa i seksualna, są tym, czemu polski kler katolicki przeciwstawia się całym swoim jestestwem, rzucając na szalę swój autorytet.

Przyznają Państwo, że śmieszna jest już sama idea przeciwstawiania się wiedzy? Że w całym cywilizowanym świecie wiedzę się krzewi, na badania naukowe wydaje się olbrzymie pieniądze, by potem wcielać w życie wnioski z nich płynące? Że to właśnie edukacja pozwala maluczkim zyskać świadomość własnych praw i bronić się przed wykorzystywaniem? Polska jest chyba jedynym krajem europejskim, w którym z edukacją, wiedzą i świadomością się walczy, zwalcza się ją wszelkimi dostępnymi metodami, próbując – jak słusznie napisali profesorowie w liście do biskupów – hamować wolność badań naukowych i postęp.

Sądzę jednak, że profesorowie, kierowani szlachetną intencją, nie do końca pojmują powagę sytuacji: polski kler

katolicki nie walczy z edukacją ot tak sobie, przez przypadek. Osobiście uważam, że to walka systemowa prowadzona konsekwentnie, z rozmysłem i o dużą stawkę.

Nie można było zabronić księdzu Oko wykładu w Sejmie? Pewnie nie. Ale jest to zdarzenie bez precedensu, dające do myślenia. O ile jesteśmy społeczeństwem, które jeszcze myśleć potrafi. Bo gdy przypatruję się niektórym naszym przedstawicielom w Sejmie i ludziom, których uznają za autorytety, mam co do tego poważne wątpliwości.

PS Sądzę, że gdybym nie miała racji, to zakaz wypowiadania się mieliby księża Oko i Rydzyk, a nie księża Boniecki, Lemański czy Mądel.

Papież Franciszek i Światowe Dni Młodzieży

Jeśli pominąć dyplomatyczne banały, w czasie Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, papież Franciszek nic nie powiedział. Nie przeszkadza mu, że zagrożone jest państwo prawa, nie przeszkadza mu fanatyzm religijny szaleńców, którzy chcą całkowicie zakazać aborcji i skazywać kobiety na cierpienie, a w niektórych wypadkach (gdy będą chore) na śmierć. Nie przeszkadza mu ojciec Rydzyk i bezprawne, trwające wiele lat, działanie kościelno-rządowej komisji majątkowej i nie przeszkadza mu tworzące się w przyspieszonym tempie państwo wyznaniowe, rasizm, nacjonalizm, antysemityzm i homofobia wielu polskich polityków i biskupów. Nie przeszkadza mu zamknięcie ust księdzu Bonieckiemu ani księdzu Lemańskiemu, mściwość i małostkowość oraz przeszłość arcybiskupa Hosera. Oraz wszechobecna, zajadła podłość i nienawiść wywoływana i podsycana przez populistów u władzy.

To wszystko jest nieważne: złóżmy ręce i módlmy się, i chwalmy dobrego pana, papieża Franciszka i zachwycajmy

się (tak, to niestety uwaga także do niektórych lewicowych dziennikarzy) jego postępowymi wypowiedziami o tym, że nie wypada bić dziecka w twarz (o innych częściach ciała dyskretnie milczy).

Kościół i nacjonalizm

Przemowy księdza Międlara nie są skandaliczne – on po prostu korzysta z wolności słowa, obejmującej także prawo do bycia nienawistnym, podłym, bezmyślnym lub/i głupim. Istnieje też możliwość, że ksiądz Jacek jest zwyczajnie chory psychicznie lub/i jest książkowym przykładem fanatyka, zresztą bynajmniej nie religijnego, bo w tym przypadku, jak sądzę, religia byłaby tylko zgrabną przykrywką dla wewnętrznego jadu i złości ulewających się mu (słowo „ksiądz" trzeba w tym przypadku wziąć w cudzysłów, bo przecież nie sutanna czyni kapłana) co jakiś czas. Tym, co mnie szokuje, prawdziwym skandalem, jest kompletny brak reakcji władz Kościoła katolickiego i kompletny brak reakcji, odcięcia się od jego słów i zachowań polityków skrajnej prawicy, którzy to Kościół – zakłamany, pełen pogardy, obsesji seksualnych, rasistowskich, nacjonalistycznych, obsesji władzy i nawoływania do przemocy – mają czelność publicznie stawiać ludziom za wzór.

PS W momencie redagowania tej książki do druku ksiądz Międlar zażądał delegalizacji Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich

i Ksenofobicznych i przesłał odpowiedni wniosek do Ministerstwa Sprawiedliwości. Minister Ziobro, po reformie PiS-u zabierającej niezależność prokuraturze przełożony wszystkich polskich prokuratorów, mógł ten wniosek wyrzucić do kosza – zdecydował jednak o posłaniu go do prokuratury i nadaniu mu biegu. Możliwe więc, że niedługo nie będziemy mieli możliwości dowiadywać się o aktach nienawiści i przemocy na tle rasowym i narodowościowym czy religijnym (a od początku rządów PiS-u ich liczba rośnie).

KASTRACJA KSIĘŻY I ZAKAZ OPERACJI RAKA PROSTATY

Tak, sądzę, że już najwyższy czas na obywatelski projekt ustawy zakazującej mężczyznom operacji raka prostaty poza trzema wypadkami: groźbą śmierci, groźbą amputacji penisa i groźbą całkowitej impotencji. Oczywiście nawet w tych wypadkach lekarz może odmówić mężczyźnie leczenia, jeśli sumienie mu na to nie pozwala. A – i zapomniałabym o znieczuleniu, którego używanie, nawet w tych nielicznych, przewidzianych ustawą sytuacjach, byłoby ograniczone i opłacane z kieszeni pacjenta, nie refundowałby go NFZ. To logiczne: gdyby Bóg chciał, żeby mężczyźni byli zdrowi, nie zsyłałby na nich raka prostaty. Skoro zsyła, powinni go leczyć w bólach, bo taka jest najwyraźniej wola Pana.

PS Czy wspominałam już o projekcie przymusowej kastracji księży? Obowiązkowo.

Tekst, który powstał po ogłoszeniu przez prasę, że zdaniem polityków PiS-u pigułka „dzień po" dla kobiet powinna być tylko na receptę. Przypominam, że niemal w całej Europie kobiety kupują ją bez recepty!

Masaż i klauzula sumienia

To nie żart: PiS chce, by fizjoterapeuci mogli odmówić masażu, powołując się na klauzulę sumienia. Cóż, trawestując klasyka, w ich intencje można może wątpić, lecz mózgi bez wątpienia mają czyste, bo nieużywane.

PS Tekst z maja 2016 roku. Po fali krytyki i satyry, pomysł upadł.

KOBIETY

Zadbana kobieta

Słyszałam dziś na stacji benzynowej, jak dwaj mężczyźni przy hot dogach rozmawiali o feministkach, kpiąc, że nie dbają o siebie, nie robią makijażu, nie malują paznokci, nie noszą szpilek. To oczywiście nieprawda, jednak nie w tym rzecz. Nie pierwszy raz słyszę, że kobieta o siebie „nie dba" w takim właśnie kontekście, postanowiłam więc uprzejmie wyjaśnić wszystkim zainteresowanym tematem damskiego „zadbania", co następuje.

Dbać o siebie to znaczy dobrze się traktować, być dla siebie dobrym. Kobieta zadbana jest zadbana fizycznie: dobrze i zdrowo je i dużo śpi. Regularnie się bada i ćwiczy, spaceruje, oddycha świeżym powietrzem i słucha śpiewu ptaków. Zadbana kobieta, to kobieta zadbana emocjonalnie – nie robi rzeczy, na które nie ma ochoty, szanuje swój czas i uczucia, jest życzliwa, szczęśliwa, śmieje się na całe gardło, jest otwarta, ciekawa świata i kocha życie. Zadbana kobieta jest także zadbana intelektualnie, ma pasję (lub pasje), czyta, ogląda, dyskutuje, nie traci czasu na nudziarzy i nudziary ani ludzi o wąskich horyzontach, jest głodna wiedzy i informacji.

Zadbana kobieta to wreszcie kobieta zadbana moralnie lub, jak kto woli, charakterologicznie: ma kręgosłup, zasady oraz przekonania, ale także myśli, więc potrafi, jeśli trzeba, przyjrzeć się swoim racjom z dystansu, czasem zakwestionować własne opinie, przyznać się do błędów, a nawet z nich głośno pośmiać.

I tak, zadbana kobieta może sobie malować paznokcie, farbować włosy i nosić wysokie obcasy – lub może tego nie robić, to naprawdę kwestia gustu, temperamentu i rzecz bez znaczenia.

Bardzo wielu mężczyzn tego nie pojmuje i o nich (zresztą także, według moich kryteriów, zupełnie zaniedbanych) mniejsza. Do was się zwracam, kochane dziewczyny: dbajcie o siebie, ale naprawdę, tak jak trzeba.

Porucznik Columbo (czyli o mężczyznach)

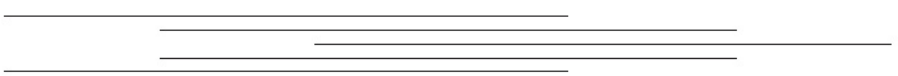

Przypadkiem trafiłam w TV na odcinek serialu *Columbo*. Fajny ten porucznik: mężczyzna rozumny, cierpliwy, niedający się zwieść pozorom, uważny, odporny na pokusy, inteligentny, z poczuciem humoru, dystansem do siebie, autoironiczny, empatyczny, opanowany i dobrze wychowany. W sumie wolę go od Bonda...

Kobieta – człowiek czy dama

Szanowne panie, czasem czuję się rozczarowana waszymi komentarzami. Jak mawiała Madeleine Albright: Jest w piekle oddzielne miejsce dla kobiet, które nie wspierają innych kobiet. Hanna Bakuła pisała zaś, i słusznie, o paniach opluwających własną płeć i działających wbrew jej interesom, nazywając je usłużnymi satelitkami mężczyzn.

I – tak! – ten rodzaj kobiecej uniżoności i braku solidarności budzi we mnie wyjątkową odrazę. Jednak przemilczałabym go, gdyby nie komentarz którejś z was o byciu damą – bo tego naprawdę nie potrafię i nie chcę pozostawić bez komentarza.

Wmawiana kobietom przez wieki potrzeba bycia damą to przecież typowy wynalazek mający wytępić naszą naturalność, uładzić i zneutralizować te cechy charakteru i osobowości, które zagrażają mężczyznom i są im po prostu nie na rękę. Bycie damą, moje drogie, to nic innego jak szczegółowy kodeks, zbiór zasad i zaleceń regulujących drobiazgowo każdy detal i niuans waszego zachowania, ubioru, sposobu wysławiania się, manier, zachowań i reakcji w różnych sytuacjach, niepozostawiający nawet milimetra na was, na waszą naturalność, spontaniczność, temperament,

upodobania, humor, wolę i prawo do bycia sobą. I bycie damą, moje kochane, to nic innego, jak bycie cichą i posłuszną.

Jeśli więc chcecie być szmacianymi laleczkami poruszanymi za pomocą sznureczków, cudzej aprobaty lub jej braku – bądźcie damami! Skazujcie się same (i nie zapominajcie tego czynić z odpowiednim entuzjazmem!) na bycie ocenianymi i poniżanymi, oddajcie prawo do wystawiania wam cenzurki przez panów i inne damy, którzy zadecydują o waszym być lub nie być, mówiąc, czy już zasługujecie na miano dam, czy jeszcze troszkę musicie poskakać na dwóch łapkach. Wkładajcie odpowiednie kiecki, pokazujcie mniej lub więcej ciała, mówcie nieco ciszej i – broń Boże! – się nie złośćcie. Wasza wola i wybór. Jednak nie chwalcie się tym głośno, bo zapewniam, nie ma czym.

Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie chciałabym być damą, zawsze chciałam być sobą. A jeśli już miałabym marzyć o jakimś przydomku, nie brzmiałby on „wielka dama", lecz „największa łobuziara, jaką widział świat".

Piersi

Na bilbordzie w centrum miasta mogą wisieć, dyndać, epatować, sterczeć. W klubie go-go zarabiać kupę kasy i robić furorę, o agencjach towarzyskich z grzeczności nie wspomnę. W pismach porno i soft porno są gwiazdami, przynosząc właścicielkom splendor i zaszczyty, na konkursach miss mokrego podkoszulka powodują ślinienie i obłędny aplauz. W restauracji, delikatnie i nieśmiało odsłonięte i karmiące małego człowieka, budzą odrazę i obrzydzenie, oburzenie i sprzeciw. Z cudownych, jędrnych, wspaniałych piersi zamieniają się w sekundę w obrzydliwe, odrażające, obleśne cycki.

Komplementy

Często dziwicie się Państwo (te zarzuty wysuwają głównie panowie), że nie lubię i oburzam się, kiedy chwali się wygląd, przypisując moje postępowanie nienawiści do mężczyzn i krwiożerczemu feminizmowi.

Otóż: chwalenie (lub ganienie) wyglądu mojego czy innych nie budzi we mnie emocji – ponieważ nie istnieje dobry, zły, atrakcyjny i nieatrakcyjny wygląd. Czy sobie to uświadamiacie, czy nie, wasza ocena cudzej powierzchowności (także inteligencji, mądrości itp.) zależy tylko od jednej jedynej rzeczy: czy ten ktoś pasuje do waszej „listy zakupów", czy posiada atrakcyjne dla was cechy. Jeśli tak, będziecie się unosić nad jego urodą (inteligencją, mądrością zresztą też), jeśli nie – to nie. Dlatego osoba, która mówi wam: „pięknie wyglądasz", nie mówi niczego o waszym wyglądzie, mówi za to wszystko o swoich preferencjach i upodobaniach. Ponadto – i pisze o tym pięknie Anthony De Mello, którego niniejszym gorąco polecam – za każdym razem, kiedy cieszycie się Państwo z cudzej pozytywnej opinii na wasz temat i pozwalacie, by budowała wasze dobre samopoczucie, gotujecie sobie piekło w przypadku, kiedy ktoś was

skrytykuje. Zaczynacie być podobni do robotów, „myślących maszyn”: oddajecie władzę nad sobą innym ludziom.

Pomyślcie tylko! Zdzisław Kowalski (podobieństwo z prawdziwą postacią jest przypadkowe) naciska czerwony guziczek (mówi wam, że jesteście wspaniali lub po prostu, że macie dobrą fryzurę – tak, fryzurę!) – a wy podskakujecie z radości i klaszczecie w rączki. Ten sam Kowalski naciska guziczek niebieski: stwierdza, że jesteście koszmarni i brzydcy: spuszczacie główkę i ronicie łzy. Chcecie tak żyć? Chcecie, żeby wasze samopoczucie zależało od opinii innych? Bo taki właśnie los sobie gotujecie, ciesząc się z komplementów i martwiąc obelgami.

Jeszcze lepiej widać ten mechanizm na przykładzie krytyki i pochwał dotyczących pracy zawodowej. Wielu z was po prostu nie wierzy, że można nie przejmować się hejtem lub być nieczułą/nieczułym na słowa uznania. Otóż znowu: można. Wszystko jest kwestią perspektywy, z jakiej patrzycie na życie. Najczęstsza pochwała, z którą ja się spotykam brzmi: Uwielbiam panią! Mówi pani to, co myślę! Krytyka spotyka mnie zaś wtedy, gdy mówię lub piszę coś, co nie trafia w powszechne gusta. Już zobaczyliście ten mechanizm? Osoba, która chwali was za to, że mówicie to, co ona myśli, tak naprawdę chwali nie was, ale samą siebie. Ta pochwała nie ma nic wspólnego z wami! Kiedy zaś was krytykuje, krytykuje nie was (bo was nie zna), ale swoje o was wyobrażenie (przypisuje wam cechy osobowości, które istnieją tylko w jej głowie). Czy to nie jest niesamowite? Nadal uważacie, że warto się przejmować?

Nie ma walki o aborcję, jest walka o władzę

Jest jasne, że przeciwnikom aborcji nie chodzi o ochronę życia poczętego, lecz o władzę nad innymi ludźmi. Dowód? W Polsce nie ma i nigdy nie było prawa nakazującego usuwanie ciąży. Katoliczka, która chce urodzić dziecko, może to zrobić w każdej sytuacji. Jedyne ważne pytanie w sporze dotyczącym zmiany prawa aborcyjnego wczoraj w Sejmie nie padło, a brzmi ono: dlaczego w trudnej życiowej sytuacji (na przykład ciężkiego uszkodzenia płodu, gwałtu czy zagrożenia mojego życia) miałabym podejmować decyzję, kierując się cudzym, a nie swoim światopoglądem, cudzymi, a nie własnymi przekonaniami, cudzą, a nie swoją moralnością i wiarą?

Także poseł – przede wszystkim poseł, który prywatnie jest przeciwny aborcji na życzenie – powinien w Sejmie zagłosować za liberalizacją ustawy antyaborcyjnej. Powód: szacunek do wszystkich obywatelek i obywateli, i świadomość, że prawo jest nie tylko dla ludzi myślących jak on, ale także dla tych, myślących wręcz przeciwnie.

Posła czy posłankę, którzy twierdzą, że nad ustawami dotyczącymi aborcji, praw homoseksualistów czy związków partnerskich będą głosować zgodnie z własnym sumieniem, należałoby natychmiast pozbawić urzędu. Parlamentarzysta powinien tworzyć prawo tak, kierując się aktualnie obowiązującą wiedzą, uznanymi ogólnie zasadami przyzwoitości i w dobrej wierze, by było możliwie uniwersalne i mogło służyć tak samo wszystkim obywatelom, niezależnie od ich przekonań politycznych, wyznawanej wiary, wykształcenia i płci. A nade wszystko parlamentarzysta powinien szanować obywateli (wszystkich, nie tylko własnych wyborców) i dawać temu szacunkowi wyraz praktyczny: uznając, że ich rozum, moralność, religia, przekonania etyczne i polityczne są równie dobre jak jego.

Bo nie ma większego szacunku niż pozwolić człowiekowi dokonać własnego wyboru, nawet jeśli się z tym wyborem nie zgadzamy, i ponieść tego wyboru konsekwencje. Nie ma większego hołdu złożonego demokracji i prawom obywatelskim niż stanie na straży wolnego wyboru w kwestiach światopoglądowych.

A jeśli jakiemuś posłowi/posłance tego szacunku, tej podstawowej ludzkiej kultury brak, to przypominam, że istnieje jeszcze prawo. Artykuł 47 Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej mówi, że „każdy ma prawo do ochrony prawnej życia prywatnego, rodzinnego, czci i dobrego imienia oraz do decydowania o swoim życiu osobistym". To oznacza, że jeśli będziemy potrzebowali waszej rady w sprawie naszych ciąż i aborcji, to was zapytamy. A na razie – wara od naszych życiowych decyzji, od naszej prywatności i przede wszystkim: wara od naszych przekonań.

Szmaty maszerują, szmaciarze świrują

Chciałabym wiedzieć, który prawicowy polityk uznałby, że inny ma prawo go zgwałcić, bo ma na sobie za kusy T-shirt? A może któryś przyzna, że jakiś osiłek ma prawo zmusić go do seksu analnego, bo miał zbyt obcisłe dżinsy? A jeśli chodzi o aborcję: czy naprawdę, gdyby mężczyźni mogli rodzić, któryś z was, prawicowych polityków, zdecydowałby się przez dziewięć miesięcy nosić w sobie dziecko faceta, który pobił was i zmusił do seksu? Naprawdę któryś z was urodziłby mu później dzidziusia? Wychowywałby go z miłością? Serio? Tacy jesteście altruistyczni? Tacy pełni empatii? Nie sądzę.

Sądzę natomiast, podobnie jak autorka pewnego bardzo prawdziwego mema z Facebooka, że gdyby to mężczyźni zachodzili w ciążę, w najbardziej konserwatywnych krajach świata, nawet takich, w których głową państwa byłby papież, pigułki wczesnoporonne byłyby w każdym kiosku, jak dropsy, mało tego, miałyby pięć różnych smaków i kolorów, a kliniki aborcyjne stałyby na każdym rogu. Rzecz jasna, zupełnie legalnie.

Wolę być szmatą niż szmaciarzem pomyślałam, słuchając histerycznych reakcji prawicowych radykałów – głównie mężczyzn, choć zdarzyły się wśród oburzonych na ideę Marszu Szmat i kobiety – męskie satelitki, adoratorki kultu siły, wspaniałego i efektownego, dopóki nie wejdzie na ich podwórko, ekscytującego dopóty, o czym oby się nigdy nie przekonały na własnej skórze, ktoś nie zechce sięgnąć po ich ciała i ich wolność seksualną, a także każdą inną wolność do decydowania o sobie.

Walka o prawo do życia bez gwałtów to nie jest walka kobiet z mężczyznami. Bo porządni mężczyźni nigdy się z gwałtami nie godzą i zawsze będą przeciwko nim walczyć, właśnie ramię w ramię z feministkami.

Walka z przemocą seksualną to nie jest histeria puszczalskich kobiet (zresztą od dawna uważam, że jeśli zdaniem prawicowych szowinistów istnieją puszczalskie kobiety, to powinni oni także uznać istnienie i opracować kryteria puszczalskich mężczyzn), to jest wspólna sprawa przyzwoitych ludzi niezależnie od płci, żebyśmy wszyscy nie żyli w rzeczywistości, w której silniejszy siłą mięśni bierze, co zechce, i pozostaje bezkarny. Bo taki sposób myślenia uderza nie tylko w kobiety, ale i w mężczyzn, w całe społeczeństwo. Mądrzy mężczyźni o tym wiedzą i bronią kobiet. Bo dziś warchoł zgwałci kobietę, każe jej urodzić swoje dziecko i powie, że to wszystko jej wina. Jutro przyjdzie także po innych mężczyzn, niepełnosprawnych, bezrobotnych czy w jakiś innych sposób słabszych. Kult siły i kult gwałtu najpierw dotyka najsłabszych (w tym wypadku kobiet), ale z czasem przyjmie się jako pewna postawa i zacznie odbierać wolność wszystkim, także innym mężczyznom.

A prawicowym panom i paniom radzę: zanim powiecie, że szmata sama jest sobie winna, i każecie jej założyć burkę, zastanówcie się, czy sami chcielibyście chodzić w burkach, żeby nie zostać zgwałconymi. Postawienie się w czyjeś sytuacji jest może trudne, ale czasem to jedyny sposób.

Płeć trzymająca język

Ręce mi opadają, gdy słyszę kolejne dziennikarki, twórczynie, mówczynie, polityczki czy profesory, a nawet, i wyznaję to z przykrością, niektóre kobiety lewicy, mówiące ze złośliwym uśmieszkiem: Premiera? Pani Elizo, premiera to może być w teatrze. Nie, do diaska! Premiera może i powinna stać na czele rządu. Bo jeśli jest kobietą, to znaczy, że jest premierą. Zaprzeczając temu, dochodzimy do tekstów jak z pewnej znanej stacji telewizyjnej, która Ewę Kopacz przedstawiła tak: wieloletni działacz i polityk Platformy Obywatelskiej, kandydat na premiera – Ewa Kopacz. Aż miało się ochotę dodać: urodził dwoje dzieci i mieszkał z mężem w Szydłowcu.

Bo jeśli nawet Kongres Kobiet, szacowna i bardzo popierana przeze mnie instytucja, która dla kobiet robi wiele dobrego, wydaje oświadczenie, że popiera panią premier, to co mają powiedzieć normalne, pozbawione wpływów, nikomu nieznane Polki? Jak wykrzesać z siebie odwagę, której brak przywódczyniom?

Dlaczego mówić o kobietach w formie żeńskiej? Najkrótsza odpowiedź brzmi: a dlaczego nie? A serio: zadajcie to samo pytanie pierwszemu napotkanemu mężczyźnie. Zapytajcie go,

dlaczego mówi o sobie *per* on, zamiast: ona. I spróbujcie go nakłonić, żeby powiedział: jestem dobrą kandydatką do awansu, zamiast: jestem kandydatem, lub: jestem prezesą, zamiast: jestem prezesem. Albo jeszcze lepiej: jestem dobrą kochanką, zamiast: dobrym kochankiem. A znaliście kiedyś mężczyznę, który przybrał nazwisko żony (mimo że prawo na to pozwala)? No właśnie.

Żaden mężczyzna nie powie o sobie w formie żeńskiej, nigdy. I dobrze – bo niby dlaczego miałby? W końcu jest mężczyzną. Proste? No właśnie.

Gdy zrozumiecie, drogie panie, że mężczyźni, w przeciwieństwie do wielu kobiet, zwyczajnie są dumni z tego, kim są, pojmiecie też, że język jest jednym z najbardziej skutecznych sposobów pokazania własnej podmiotowości. Język, jakim same o sobie mówimy, jest ważny. Jest kluczowy. Nie tylko dla postrzegania nas przez mężczyzn, ale także, a może przede wszystkim, dla sposobu, w jaki myślimy o sobie, w jaki siebie widzimy my same.

Zresztą, jak zwracają mi uwagę moje widzki i słuchaczki, żeńskie formy już przecież istnieją. Jest oszustka i złodziejka, dzieciobójczyni i morderczyni, jest pielęgniarka, sekretarka i przedszkolanka. Problem, wszystkie świetnie wiemy czemu, zaczyna się od ministry, premiery, prezesy, doktory, profesory, gościni.

Poza wszystkim, używanie żeńskim form, żeńskich końcówek to najprostszy dla kobiet sposób pokazania: jesteśmy obecne. W rządzie, u władzy, w instytucjach publicznych, w mediach. Wszędzie. To także najprostsza metoda oswojenia mężczyzn z naszą odrębnością, zaakcentowania tego, że jesteśmy dumne z bycia kobietami. Gotowe do zadbania o nasze sprawy, w których mężczyźni nie kiwną palcem. Nie dlatego, że nie

lubią kobiet, ale dlatego, że władzą – zwłaszcza taką, która spadła z nieba, urodzenia, religii, tradycji – nikt się jeszcze nigdy dobrowolnie nie podzielił.

Owszem, wielu z nich nam pomoże, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jednak tylko pod warunkiem, że powiemy im jasno czego chcemy, będziemy konsekwentne, stanowcze i będziemy same siebie traktować poważnie. I oznajmimy to naszym własnym językiem, na swój własny sposób.

Że nie jest łatwo? Że używanie żeńskich końcówek bywa kłopotliwe i naraża na śmieszność? Trudno. To jest cena, niezbyt przecież wygórowana, którą po prostu trzeba zapłacić.

Ginekolog to nie dentysta, czyli z podręcznika MEN

„Dziewczynki plotkują, chłopcy grają w koszykówkę”, „dziewczynki myślą wolniej niż chłopcy” „strój [dziewczyny] zachęca do ataku”, „ginekolog to nie dentysta i dziewczynki nie powinny do niego chodzić zbyt często”, „organizm kobiety służy rodzicielstwu”, „naturalny poród to krok w szczęśliwe dzieciństwo”, „efekty palenia dla kobiet są żałosne: brzydka cera i siatka zmarszczek” (o zdrowiu ani słowa!), prezerwatywy „są z gumy i pękają”, „nie zapobiegają większości chorób przenoszonych drogą płciową”, „pedofilia, kazirodztwo, ekshibicjonizm – formy zaspokojenia popędu seksualnego w sposób nietypowy dla danej kultury”…

Taki obraz świata, sprzeczny nie tylko z rzeczywistością, ale i – w niektórych przypadkach – z prawem, lansują podręczniki do wychowania do życia w rodzinie, zaakceptowane przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Pytana przez dziennikarzy, jak to możliwe, ministra Kluzik-Rostkowska milczy lub odpowiada, ustami rzeczników, że… podręczniki się są przecież jedynym źródłem wiedzy.

Te treści to także efekt pracy zatrudnionych przez Ministerstwo recenzentów. Zadałam publicznie to pytanie ministrze Kluzik-Rostkowskiej i powtarzam je tutaj, bo bardzo chciałabym wiedzieć: Jakie kwalifikacje ma ksiądz dr Józef Augustyn do recenzowania podręczników do wychowania do życia w rodzinie dla MEN? Jakie kwalifikacje mają prof. Bogdan Chazan, naczelny katolicki ginekolog RP, i prof. Aleksander Nalaskowski, którego zdaniem „edukacja seksualna to zbiorowe molestowanie młodzieży"? Dlaczego Ministerstwo płaci za to naszymi pieniędzmi, dlaczego na to pozwala?

W podręcznikach autorstwa Teresy Król (seria *Wędrując ku dorosłości*) i Felicji Kalinowskiej (*Wychowanie do życia w rodzinie*) nie ma wiedzy, jest za to zestaw zabobonów i zwykłych kłamstw, zachęcanie do przestępstw na tle seksualnym oraz prymitywne i zakazane przez prawo szczucie na ofiary napaści na tle seksualnym. Te podręczniki nie są obojętnym dla życia społecznego głupstewkiem. Są szkodliwe, bo jeśli ktoś przekona do treści w nich zawartych młode Polski i Polaków, zgotuje im i nam – w sensie osobistym i społecznym – olbrzymi problem.

Recenzująca podręczniki MEN dr Maria Pawłowska, absolwentka uniwersytetów w Cambridge i Genewie, twierdzi, że książki, z których młode Polki i Polacy uczą się wychowania do życia w rodzinie (na marginesie: co to w ogóle znaczy „wychowanie do życia w rodzinie", od kiedy seks odbywa się w rodzinie?), nie spełniają żadnych wymaganych od podręczników standardów wiedzy, nie podają faktów, tylko zabobony i osobiste przekonania autorek i recenzentów, są szkodliwe i stanowią oczywisty dowód braku szacunku do obywateli i samych uczniów i uczennic. Tylko, mógłby jej

odpowiedzieć profesor Chazan lub ksiądz Augustyn: co z tego, skoro nasze na wierzchu?

Prawa człowieka dla kobiet

Dla każdego mężczyzny jest oczywiste, że on i tylko on decyduje, z kim i jak się kocha, czy się żeni, czy nie, czy chce mieć dzieci, a w razie problemów z płodnością, tylko on, ewentualnie w porozumieniu z lekarzem, podejmuje decyzję, czy, jak i gdzie się leczyć. Żaden mężczyzna nawet nie zrozumiałby, o co chodzi, gdyby Sejm postanowił, że odtąd politycy będą decydować o tych sprawach za niego. Żaden mężczyzna nie zgodziłby się na sytuację, w której ktoś, kto go napadł i skatował, dostaje wyrok w zawieszeniu – bo napadnięty miał zbyt wyzywający strój (mógł przecież nie kupować sobie tego drogiego kaszmirowego płaszcza i nie obnosić się z kluczykami do drogiego wozu, może wówczas nikt nie zwróciłby na niego uwagi, nie napadł go i nie pobił). Takie „argumenty” (rzecz jasna bezsensowne) są w przypadku krzywdy, która spotyka mężczyzn, nie do pomyślenia. Nie do pomyślenia jest także, by ktoś nakazał mężczyźnie umierać w sytuacji, gdy operacja raka prostaty może spowodować utratę płodności (a więc z katolickiego punktu widzenia stanie się bezużyteczny dla społeczeństwa, bo nie będzie już mógł płodzić dzieci). Żaden mężczyzna nie zniósłby, gdyby księża

i politycy codziennie wyśmiewali się z niego i mówili o nim z pogardą i nienawiścią. Każdy mężczyzna uważa (i słusznie) za oczywiste i niezbywalne, że jest wolnym człowiekiem, który ma w społeczeństwie swoje obowiązki, ale ma i pełnię praw, i traktowany jest przez prawo i władze jak dorosły, samodzielny, odpowiedzialny za siebie człowiek.

Dla kobiet chcę dokładnie tego samego. Nie mniej ani nie więcej. Tego samego. Kobieta, tak jak mężczyzna, nie powinna i nie może być poddawana każdego dnia pełnemu przemocy słownej, pogardy i nienawiści praniu mózgu. Kobieta musi decydować samodzielnie (ona i tylko ona) o swoim zdrowiu i cielesności, o tym, z kim i jak sypia i żyje, uprawia seks, czy chce mieć dzieci, a w razie choroby – również tej, na którą zapadnie w ciąży – czy, jak i gdzie się leczyć. Kobieta musi mieć, dokładnie tak samo jak mężczyzna, pełnię praw człowieka i praw obywatelskich, pełnię praw zapisanych w Europejskiej Karcie Praw Podstawowych. Jej godność i jej wolności, w tym wolność do decydowania o swoich najbardziej intymnych i osobistych sprawach, jak zdrowie, także reprodukcyjne, i płodność, musi zostać zagwarantowana, tak jak gwarantowane są w tym zakresie prawa mężczyzn. To właśnie jest równość płci. To właśnie jest uczciwość i sprawiedliwość.

Religie mają różny, zazwyczaj opresyjny stosunek do kobiet – ale to nie nasza sprawa. Biskupom ma prawo nie podobać się pomysł, by kobiety zaczęły być także w prawach, nie tylko w obowiązkach, traktowane na równi z mężczyznami. Jednak to ich problem. Niech piszą listy pasterskie i głoszą kazania – dopóki znajdą chętnych, żeby ich słuchali. Jednak prawo państwowe, prawo regulujące życie ludzi, obywateli, społeczeństwa trzeba natychmiast oderwać od religii –

ponieważ fakt, że grupa mężczyzn żyjących w rodzaju komuny, mających swoje rytuały, stroje i opowieści, w coś wierzy, nie może w żadnym razie być podstawą do ograniczania czyichkolwiek wolności.

Prawo do decydowania o sobie i do dążenia do szczęścia w sposób, jaki uznajemy za właściwy, jest niezbywalnym prawem człowieka i warunkiem funkcjonowania cywilizowanego państwa prawa. Sytuacja, z którą mamy do czynienia jeśli chodzi o pomysł Episkopatu, by zaostrzyć prawo aborcyjne, nie może się skończyć na walce o liberalizację prawa aborcyjnego. Ta sytuacja musi być początkiem zdobycia dla nas, kobiet, ponad połowy polskiego społeczeństwa, należnych nam praw, z których zaraz po upadku PRL okradł nas, korzystając z pozycji władzy, Kościół katolicki i część polityków.

Musimy dostać to, co nam się należy: gwarantowane prawa obywatelskie i prawa człowieka, prawo do decydowania o sobie w każdym – powtórzę to dla lepszego efektu: każdym – wymiarze. Dyktatura religii w stanowieniu prawa państwowego, szkodliwa i rujnująca Polskę, musi się skończyć właśnie teraz.

To niegodne, to przynosi nam wstyd, że odkładamy na bok wspaniałe osiągnięcia współczesnej nauki i medycyny, zdobycze wiedzy, owoc ciężkiej, nieprawdopodobnej pracy i odwagi tylu wspaniałych mężczyzn i kobiet, zdobycze nowoczesnej myśli gospodarczej, filozoficznej i prawnej, żeby słuchać niewykształconych, niestabilnych emocjonalnie populistów i fanatyków religijnych. To się musi skończyć właśnie teraz.

Dlatego proszę wszystkie kobiety w kraju i za granicą, proszę wszystkich mężczyzn, którzy tak myślą: nie odpuszczajcie! Nie

odpuszczajmy! Nie poprzestańmy na małym zwycięstwie, jak wycofanie się PiS-u z całkowitego zakazu aborcji.

My, kobiety, jesteśmy równe mężczyznom. Jesteśmy ludźmi. Jesteśmy obywatelkami. Czas, żeby zostało to nam zagwarantowane.

Nieme kobiety w Sejmie

Jest w tej całej sprawie horrendalnych pomysłów, żeby skazywać kobiety na śmierć i tortury przez odebranie im prawa do aborcji nawet w najbardziej skrajnych przypadkach gwałtu i zagrożenia życia, a te, które poroniły, poddać prokuratorskiemu śledztwu i policyjnym szykanom, jedna rzecz bardzo wstydliwa: milczenie najbardziej wpływowych polskich kobiet.

Nie kobiet w ogóle – bo Polki stanęły na wysokości zadania: wyrażają swój sprzeciw na ulicach, protestują i organizują marsze. Nie działaczek społecznych i polityczek, jak Barbara Nowacka. Nie dziennikarek, jak Sylwia Kubryńska czy Paulina Młynarska i Paulina Reiter. Nie kobiet kultury, jak Krystyna Kofta.

Nie mówię nawet o milczeniu pierwszej damy, bo na prawicy normą jest, że w imieniu wykastrowanych kobiet wypowiadają się mężczyźni. Mówię o szokującym i przerażającym milczeniu posłanek, polskich parlamentarzystek. Boli mnie, że w tej historycznej chwili są nieobecne. Głos w obronie swoich współobywatelek (głos, dodajmy, mocny i wyrazisty) zabrały tylko posłanki Nowoczesnej.

Pytam więc: gdzie są posłanki PO? Gdzie panie z PSL-u i Ruchu Kukiza? Gdzie parlamentarzystki PiS-u? Dlaczego swoją biernością sygnują pomysły skazywania innych kobiet na śmierć? Dlaczego nie krzyczą głośno, że dzieje nam się krzywda, że jesteśmy pogardzane i uprzedmiotowiane? Dlaczego zgadzają się, by nieludzko traktować inne kobiety i rozmawiać o nich jak o armatnim mięsie? Dlaczego, do diabła, w polskim Sejmie zasiadają nieme kobiety?

Nie dajmy „szmacie” zamydlić sobie oczu

Nie rozumiem szumu wokół profesor Pawłowicz [chodzi o wypowiedzi wulgarnie komentujące „Marsz Szmat”, czyli protest kobiet przeciw obarczaniu ich winą za gwałt z powodu ich stroju – przyp. EM]. Dajmy jej pocieszyć się świeżo odkrytym sposobem na popularność, znanym i stosowanym przecież przez niezliczone rzesze celebrytów: pokaż sutki albo zapomnij założyć majtek, a twoja atrakcyjność dla mediów wzrośnie do poziomu, o którym laureat Nobla z fizyki może tylko pomarzyć. Tyrady profesor Pawłowicz, te wszystkie „szmaty” i „dziwki” „latające z gołą d…ą” to przecież nic innego jak mentalne zdjęcie majtek przed szeroką widownią, a późniejsze ruganie Jarosława Kuźniara i udawanie uciśnionej niewinności to odpowiednik rugania tabloidu za to, że cyknął fotkę naszej gołej pupy, którą sami w jego stronę wcześniej radośnie wypięliśmy. Mnie martwi zupełnie co innego: powtarzane do znudzenia przy każdej tego typu okazji, i przy okazji wygłupów Pawłowicz również, obłudne

narzekania na skandaliczny język debaty publicznej, które robią Polakom wodę z mózgu.

Powiedzmy sobie raz na zawsze: język, którym rozmawiamy o najważniejszych dla nas sprawach, o naszych sumieniach, granicach naszej wolności, przemocy, kobietach i mężczyznach, prawach obywatelskich, powinien, wręcz musi być gorący, żywy, emocjonalny, a czasem nawet nieparlamentarny. Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej, bo jest po prostu niemożliwe, by sprawy te nie wzbudzały emocji, nie wywoływały kontrowersji, nie rozpalały dyskutantów i obserwatorów. Serwowany nam przez coraz bardziej bezmyślnych komentatorów i polityków wzorzec debat zimnych, gdzie interlokutorzy wygłaszają swe kwestie z kamiennym wyrazem twarzy, nawet nie unosząc brwi przy omawianiu gwałtów, aborcji, usunięcia z przepisów prawa elementów religijnej dyktatury, jest wytworem czystej fantazji. Nie znam kraju na świecie, gdzie ważne społecznie debaty odbywałyby się w taki sposób.

W przypadku sprawy Pawłowicz, tak jak i wielu innych spraw, problemem nie jest język. Język to żaden problem, gdy ważą się sprawy najważniejsze. Problemem jest to, że polska parlamentarzystka uważa, że ofiara gwałtu jest sama sobie winna. Że powinnyśmy, my, kobiety, chodzić na paluszkach wobec oprawców traktujących kobiety jak przedmiot, po który można w każdej w chwili sięgnąć. Problemem jest to, że nic nie wiemy o skali pedofilii w Polsce, bo funkcjonariusze Kościoła katolickiego odmawiają prowadzenia ewidencji takich przypadków i nie ma na nich mocnych: państwa, prawa, sądów, policji. Problemem jest wszechwładza urzędników, którzy mogą zniszczyć człowieka (nie tylko przedsiębiorcę), jeśli mają takie widzimisię. Problemem jest władza,

sprawdzająca nasze bilingi telefoniczne i gromadząca o nas informacje. To są sprawy naprawdę ważne i trzeba o nich rozmawiać, krzyczeć, kłócić się, czasem włącznie z grubszym słowem.

A jeśli kogoś gorszy „szmata", przypominam, że epitety mówią bardzo wiele o osobie, która ich używa, a zgoła niczego o człowieku nazwanym w ten sposób.

Paulina Młynarska i Matka Teresa

Zauważyłam taką zależność: za każdym razem, gdy Paulina Młynarska trafia w punkt, nie owijając przy tym w bawełnę, rozlega się zbolały skowyt zranionej prawicy, niezdolnej do przyjęcia faktów do wiadomości. A im bardziej autorka ma rację, tym skowyt i hejt jest większy. Radzę wszystkim zbolałym i oburzonym prawdą o Matce Teresie (Paulina wyraziła ją zresztą w lekkim felietonowym stylu, ja prawdopodobnie byłabym jeszcze bardziej dosadna), żeby zamiast wrzeszczeć niczym koty w kąpieli, po prostu zapoznali się z faktami o siostrze miłosierdzia, która zamiast pomagać ludziom, w imię własnych przekonań (cierpienie uszlachetnia!) skazywała ich na śmierć w męczarniach, siebie traktując jednak inaczej: gdy zachorowała, leczyła się w najlepszej i bardzo drogiej klinice. Jeśli do tego dodamy nieprawidłowości (lekko mówiąc) w rozliczeniach finansowych i kompletną znieczulicę dotyczącą nadużyć seksualnych w Kościele, otrzymujemy obraz doskonały… no właśnie, kogo? Kobiety – anioła miłosierdzia czy kobiety – anioła perfekcyjnego PR-u, świetnie zorganizowanej i bezwzględnej w realizowaniu

własnych interesów finansowych firmy, jaką jest Kościół katolicki?

Nietzsche mawiał, że największym wrogiem prawdy nie są fakty, tylko przekonania, i to jest – żeby odwołać się do nauki samego Kościoła – święta prawda! Myślę sobie jednak, że biedak żył już dość dawno i czas najwyższy, żeby niektórzy, tak się składa, że często fundamentaliści religijni, uważający siebie samych za najmądrzejszych, przestali zasłaniać własne nieuctwo światopoglądem i trochę poczytali o otaczającym ich świecie.

500 Plus

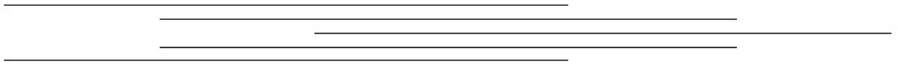

Kobiety powinny pokazać rządowi, gdzie raki zimują i najpierw rodzić drugie oraz trzecie dziecko. Pierwsze proponuję zostawić na koniec.

Moje ciało należy do mnie

Moje ciało należy do mnie. Nie do księży, biskupów czy arcybiskupów, nie do mężczyzny, który może mnie zgwałcić, nie do polityków PiS-u i nie do papieża. Jest moje i ja, tylko ja, będę o nim decydować. Jak śmiecie nas pouczać i mówić o świętości życia – wy, kler odpowiedzialny za przemoc na setkach tysięcy dzieci, za od lat i wciąż zamiataną pod dywan pedofilię? Kim jesteście, by uważać się za lepszych? Jakie macie prawo, by mówić, co jest moralne i jak ludzie powinni postępować? Jak wielka jest w was pycha, że uważacie swoje sumienia za więcej warte od sumień innych?

Zmiećmy samozwańczych władców kobiet

Debata o całkowitym zakazie aborcji – choć słowo debata ledwo przechodzi mi przez usta, tak bardzo to coś, co dzieje się w przestrzeni publicznej, jest parodią prawdziwej debaty – pokazuje, że my, kobiety, jesteśmy we własnym kraju ludźmi drugiej kategorii. Dowód? To, co w przypadku mężczyzn byłoby szokujące i nie do pomyślenia, w przypadku kobiet jest normą i codziennością.

Wyobraźcie sobie dyskusję na temat obywatelskiego projektu ustawy o przymusowej kastracji księży. Albo na temat ustawowego zakazu operowania raka prostaty z trzema tylko wyjątkami (groźba śmierci mężczyzny, amputacji penisa i całkowitej impotencji), w których i tak lekarz, powołując się na klauzulę sumienia, mógłby odmówić mężczyźnie leczenia (o znieczuleniu nie wspominając). Lub o wycofaniu z aptek viagry, która zwiększa ryzyko zawału, a przecież nieodpowiedzialni panowie łykają ją jak dropsy. Nie do pomyślenia, prawda? To byłby szok. Jednak taka właśnie jest codzienność kobiet.

Dość! Pod przykrywką awantury o aborcję od lat skrywa się inne, fundamentalne pytanie, które trzeba wreszcie głośno wypowiedzieć. Brzmi ono: Czy godzimy się na istnienie uprzywilejowanych grup społecznych, takich jak księża i politycy, które same obwołały się mądrzejszymi i bardziej moralnymi od nas i przyznały sobie prawo do decydowania o naszych – także najbardziej intymnych – sprawach? Czy uznajemy ich wyższość umysłową i uczuciową, a co za tym idzie – prawo do mówienia nam, jak mamy żyć?

Jeśli tak, w porządku. Niech uchwalają, co chcą, a my biernie się temu poddajmy. Jednak jeśli nie, to właśnie teraz jest czas, by pokazać tym bezczelnym uzurpatorom, gdzie ich miejsce. Jesteśmy świadkami narodzin słusznego i, mam nadzieję, wielkiego gniewu: dziś w Warszawie (1 października 2016 roku o godzinie 13 pod gmachem Sejmu) manifestacja w obronie kobiet, a w poniedziałek, 3 października, ogólnopolski strajk kobiet.

Sam pomysł rozmawiania o kobietach bez kobiet, debatowania o naszych ciałach i seksualności przez grupę podtatusiałych (zresztą: jakichkolwiek!) panów, w tym żyjących w celibacie księży, jest przecież odrażający i dziwaczny, a jego bezczelność zapiera dech w piersiach.

Kim oni, do diabła, są, ci zarozumiali posłowie (i niestety także niektóre posłanki) i żyjący w pałacach biskupi, kim są ci wygoleni na łyso, zaburzeni emocjonalnie szaleńcy, niepanujący nad własnym gniewem – z braku innych powodów do dumy nazywający siebie „narodowcami” – żeby nam mówić, jak mamy żyć i postępować? W czym są od nas lepsi? W jakim świecie wyobrazili sobie, że mają prawo do czegoś więcej niż wyrażenie (pod warunkiem, że w kulturalny

sposób) swojej opinii nie tylko na temat naszych ciąż, ale i na każdy inny?

Tak naprawdę – i to jest sedno całej sprawy, to jest jej sens, zagrzebany pod infantylnymi gadkami o nienarodzonych dzieciątkach – pod hasłem całkowitego zakazu aborcji kryje się prosty brak równości ludzi wobec prawa. Debatę o aborcji nazywa się debatą o aborcji tylko dla niepoznaki: nie można przecież głośno powiedzieć (o nie, na to nie zdobyliby się nawet najgorsi religijni fanatycy), że tak naprawdę to nieludzka dyskusja o biologicznej użyteczności kobiet dla narodu, próba uczynienia z nas inkubatorów, poddanych, chłopek pańszczyźnianych, przymuszanych wbrew woli do rodzenia dzieci. Logika folwarku jest zresztą w narracji prawicy i Kościoła katolickiego prowadzona konsekwentnie: skoro mężczyźni są panami, a kobiety poddanymi, kobieta musi urodzić gwałcicielowi dziecko w prezencie, dokładnie tak, jak kiedyś rodziła je bez szemrania panu, który raczył ją zgwałcić. Szkoda, że nie można tego kobietom oznajmić wprost (bo wredne feministki wmówiły im, że mają jakieś prawa), że nie można im szczerze rzucić w twarz: Wasze ciała są naszą własnością, możemy z wami robić, co nam się podoba. Macie nas słuchać! Na szczęście jednak zawsze można nazwać tę debatę rozmową o aborcji.

Kant pisał: „Jeśli nie wiesz, czy coś jest słuszne, zastanów się, czy chciałbyś, żeby to było powszechnie obowiązującym prawem". I to jest wskazówka, jaką powinniśmy dla siebie z tej gorzkiej lekcji wyciągnąć. Jeśli tak się stanie, obłędny pomysł całkowitego zakazu aborcji ma szansę, by zamiast klęską okazać się wielką lekcją obywatelskiego wychowania. Jeśli ją odrobimy, zmieciemy z życia politycznego samozwańczych władców kobiet, którym marzy się przywrócenie niewolnictwa,

i zbudujemy kraj, w którym ludzie są równi wobec prawa i w którym godność, wolność, szacunek, zdrowie i życie – dla wszystkich – nie są przywilejami, lecz oczywistością.

Chazan

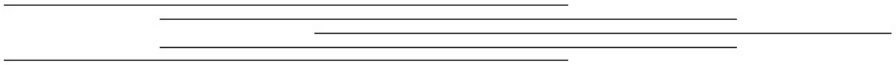

Coś w tym jest: jeśli aborcja jest zabójstwem, profesor Chazan, który dokonał w życiu setek, jeśli nie tysięcy aborcji, dopuścił się ludobójstwa. Zbrodnia ludobójstwa nie ulega przedawnieniu. Zatem?

Nie jesteśmy psami, żeby nas wyprowadzać

Tekst z czerwca 2016 roku.

Władza ma problem z kobietami. Przez lata pogardzane i lekceważone, wreszcie podniosłyśmy głowy. I mamy szansę okazać się najtrudniejszym przeciwnikiem, z jakim Jarosław Kaczyński miał do czynienia, choć zwycięstwo, wbrew optymistycznym nastrojom, nie jest wcale przesądzone. Potrzebne są nam do niego, oprócz solidarności, mobilizacja i zwarcie. Jeśli osiądziemy na laurach, Kaczyński nas zabije. Dosłownie.

Strajków musi być więcej, większych i potężniejszych, inaczej fanatycy zrobią z nami, co zechcą.

PiS okłamał kobiety, co nie jest niespodzianką – tchórze zawsze kłamią. Po czarnym proteście wycofał projekt Ordo Iuris i wprowadził do procedowania inny, gorszy, zakazujący nie tylko aborcji, ale też tabletek antykoncepcyjnych. Nakazujący kobiecie – co prawo międzynarodowe uznaje za tortury – noszenie w brzuchu dziecka przez dziewięć miesięcy

nawet w przypadku, gdy od początku wiadomo, że będzie potworkiem bez mózgu czy głowy. Chcą nas wziąć zmęczeniem. Myślą: Raz się babsztylom udało, ale w końcu się znudzą, nie dadzą rady.

Próbują też zastraszania, na razie ostrożnie – sondując, na ile mogą sobie pozwolić. Bo tym przecież – badaniem naszych granic – jest nasyłanie na organizatorki czarnego protestu prokuratury i wyliniałych prorządowych związkowców, którzy burczą (sporo śmiechu), że ukradłyśmy im symbol Solidarności (do którego nie mają prawa i któremu, zupełnie na marginesie, ich dzisiejsza działalność urąga). Wiem – to jak poszczucie nas ratlerkami, ale zapewniam, że będzie ostrzej. Zagrażamy PiS-owi i PiS nam nie odpuści.

Nie odpuści, bo wie (nawet jeśli wiele z nas jeszcze sobie tego nie uświadamia), że w walce o swoje prawa mamy spore atuty. Nasza płeć choć raz jest naszą siłą. Na kobiety trudno wysłać policjantów z pałkami czy kiboli z bejsbolami, trudno też brutalnie usuwać spod Sejmu dziewczyny z dziećmi na rękach. PiS wie, jak by to wyglądało w telewizyjnym obrazku, i wie, że rozruchy społeczne zmiotłyby go wtedy w jednej chwili.

Trudno też nas wyzwać: od ludzi drugiego sortu (seksizm), od gestapówek i resortowych matek i córek, ubeczek i komuszyc, insynuować, że oderwano nas od koryta, żeśmy się nachapały i że płaci nam Putin. Nie jesteśmy beneficjentkami zmian, przedstawicielkami spasionych elit (choć te akurat zarzuty ze strony PiS-u pod adresem kogokolwiek nieodmiennie bawią: nie znam elit, które by się bardziej spasły – władzą, pieniędzmi, stanowiskami i wszystkim innym – niż członkowie PiS-u). Działamy ponad podziałami. Nie jesteśmy z KOD-u, PO czy Nowoczesnej.

Jesteśmy stare, młode, bogate i biedne, różne. Nie da się nas zakrzyczeć ani uciszyć, udać, że nie istniejemy, czy wypchnąć na margines – jesteśmy ponad połową społeczeństwa i bez nas Polska po prostu nie jest możliwa.

Sukces czarnego protestu ma ponadto wymiar szerszy, mentalny. Pokazałyśmy, uświadomiłyśmy wielu ludziom, że powoli klaruje się w Polsce nowy podział polityczny, którego granica nie przebiega już po linii prawica – lewica, ale po linii: szacunek do praw człowieka i podstawowych wolności a przemoc, nacjonalizm i fanatyzm religijny.

Pokazałyśmy, że tworzy się – nie, już istnieje! – Polska, w której to, kim jesteś, określa nie to, czy i jak często chodzisz do kościoła, ale to, jakim jesteś człowiekiem. Czy szanujesz cudzą wolność tak jak własną, czy potrafisz pojąć, że na jedną rzecz można patrzeć z wielu punktów widzenia, czy rozumiesz, że ludzie, którzy się od ciebie różnią, nie są zagrożeniem, lecz darem i szansą. Czy też chcesz ich wszystkich uciszyć, odczłowieczyć, zaprzeczyć, że istnieją.

Rzecz jasna, nie powinniśmy brać pogardy i nienawiści PiS-u wobec kobiet do siebie: oni gardzą wszystkimi, nienawidzą i boją się wszystkich. Brak szacunku do kobiet po prostu najbardziej razi, kłuje w oczy i niesie ze sobą największe konsekwencje. Także dlatego, że nie jesteśmy same. Za naszymi plecami stoi armia mężczyzn, naszych mężów, kochanków, ojców i braci, naszych kolegów, przyjaciół i współpracowników, porządnych facetów, którzy nas wspierają i z nami maszerują. Mężczyzn, którzy już pokazali, że bez względu na swoje polityczne poglądy (protest kobiet poparła nawet część wyborców PiS-u) chcą naszej równości wobec prawa i tego, żeby traktowano nas jak ludzi.

Dlatego jesteśmy dla PiS-u najtrudniejszym przeciwnikiem, z jakim miał do czynienia, i dlatego musimy na siebie bardzo uważać: bo czarny protest awansował nas do rangi głównego wroga ideologicznego tej partii. A z wrogiem ideologicznym – znamy to z przeszłości – walczy się bezlitośnie, nie przebierając w środkach. Wróg ideologiczny jest groźny, bo skłania ludzi do myślenia i zasiewa wątpliwości.

Oczywiście – na koniec pozwolę sobie na optymistyczny akcent – jak bywało i w PRL-u, wszystko się może rozbić o brak intelektu u PiS-owskich żołnierzy, idealnie zobrazowany internetowym memem wypuszczonym przez nich zaraz po „czarnym poniedziałku" z napisem: Nie pozwolimy wyprowadzać kobiet na ulicę. Odpowiedź kobiet była natychmiastowa i nokautująca (mem został przez partię Kaczyńskiego w popłochu wycofany): Polki nie są psami, żeby je wyprowadzać.

Nie, nie jesteśmy. I o tym nie wolno nam zapomnieć.

Kobiety w życiu publicznym

Ja – kobieta i ja – feministka, od lat funkcjonująca w przestrzeni publicznej, przekonuję się właśnie po raz kolejny, że bycie kobietą traktowaną jak człowiek z normalnym prawem głosu to utopia. Albo jesteś zbyt ładna, za bardzo sexi jak na feministkę. Albo brzydka i zapewne wściekle zazdrosna o urodę innych kobiet (argumenty niespotykane w przypadku mężczyzn: zarzucił ktoś kiedyś Schetynie, że krytykuje Petru, bo mu zazdrości muskulatury?). Jak zdrowa i młoda – to pewno chłopa dawno nie miała lub łaskawiej: nikt jej nie chciał. Jeśli niepełnosprawna lub – nie daj, Boże – starsza – na bank wyalienowana raszpla, która całego świata szczerze nienawidzi! Jak chuda – anoreksja! Jak gruba – obżartuska! Jak nosi spodnie – babochłop, jak sukienki – głupia lala. Jak wykształcona – przemądrzała, jak po zawodówce – co ona tam wie! Jeśli farbuje włosy i maluje paznokcie, to się pindrzy, a jeśli nie – zapuszczona fleja. Jak napisała kiedyś pewna amerykańska dziennikarka, która dostała Pulitzera: po prostu nie istnieje sposób, w jaki kobieta może zaistnieć, wyglądać i wypowiadać się w życiu publicznym i w polityce, żeby natychmiast nie wywołać wściekłej krytyki. Jedyna właściwa

postawa kobiety w tym – ciągle jeszcze męskim – świecie to: zamknąć się, suki (najczęściej używane wobec nas pogardliwe określenie – tu polecam świetną książkę Krystyny Kofty *Suki*) i siedzieć cicho. No!

Kobiety polityczki

Nie do wiary. Gościem Piotra Jędrzejka w telewizji Superstacja był przed chwilą [4 listopada 2016 – przyp. EM] pan nazywający się ekspertem od komunikacji, cokolwiek to znaczy. Pan powiedział, cytuję z pamięci, że kobiety polityczki powinny nosić się skromnie i nie epatować kobiecością. Jest XXI wiek. Kobiety mają równe prawa społeczne i polityczne. Emancypacja, jak twierdzi wielu (choć ja się z tym nie zgadzam), jest oczywistością. Pytam więc: czy ktokolwiek z was słyszał kiedykolwiek, żeby politykowi mężczyźnie zalecano noszenie się skromnie i nieepatowanie męskością? Teraz wiem, co miała na myśli moja wspaniała babunia, gdy mawiała: Czuję, no po prostu czuję, że za niecałe pięć minut krew mnie gorąca zaleje.

Przestańcie nami pomiatać

Przyjęcie przez Sejm projektu ustawy przewidującego jednorazową wypłatę dla kobiet, które zdecydują się urodzić nieuleczalnie chore lub ciężko upośledzone dziecko (warunek: musi urodzić się żywe!), i pomysł, żeby podobną wypłatą „nagradzać" narodziny dziecka z gwałtu, pokazały prawdziwy stosunek Beaty Szydło, jej rządu i całego PiS-u nie tylko do kobiet, ale także do mężczyzn, ich partnerów.

Tu już nawet nie chodzi o sumę, choć propozycja, żeby rodzić upośledzone lub nieuleczalnie chore dzieci za łapówkę (raczej łapówczynę) w wysokości czterech tysięcy złotych jest żałosna. Ta kwota nijak się przecież ma do kosztów psychicznych i fizycznych donoszenia takiej ciąży, a później urodzenia i wychowania takiego dziecka.

Tu chodzi o wypaczony, głęboko zdegenerowany sposób myślenia: tylko komuś, kto kompletnie nie szanuje ludzi, a zamiast kośćca moralnego ma gumę do żucia, mogło w ogóle przyjść do głowy, żeby proponować ludziom coś takiego. Już sam pomysł jest kopniakiem dla wszystkich, którzy kiedykolwiek będą musieli podjąć tak ekstremalną życiową

decyzję. Świadczy też o całkowitym oderwaniu od normalnego życia.

Rzecz jasna, ta urągająca Konstytucji i przyzwoitości ustawa to próba uspokojenia żądnych krwi ruchów przeciwko życiu (one same nazywają się *pro life*, ale to kłamstwo, więc ja ich tak nazywać nie będę). Tę żądzę krwi uruchomił w nich sam PiS, a teraz ta próba miałaby spełznąć na niczym? Przebudzone do życia moce ciemności, ci wszyscy uwiarygodniani latami przez prawicowych populistów w celu zdobycia władzy szaleńcy i fanatycy nie dadzą się już uciszyć. Poczuli swą siłę i domagają się ofiar w ludziach: nie uspokoją się, dopóki nie dostaną władzy nad życiem i zdrowiem kobiet i godnością polskich mężczyzn, którzy, sprowadzeni do roli przymusowych ojców dzieci spłodzonych przez gwałcicieli i dzieci na przykład bez mózgu, także okazali się w oczach PiS-u nikim więcej, niż niemającymi nic do gadania frajerami.

Mam nadzieję, że czarny protest przestał być właśnie protestem kobiet. Jeśli polscy mężczyźni mają choć trochę charakteru i cywilnej odwagi, także wyjdą na ulice zaprotestować przeciw pogardzie i nienawiści, zakrzykiwaniu i szantażowaniu zamiast cywilizowanej debaty, łamaniu prawa i publicznemu wynoszeniu do rangi autorytetów fanatyków religijnych, nacjonalistów i kiboli.

Rok rządów PiS-u pokazuje, jak potrzebna jest niezłomna walka o to, żeby każdy człowiek, w tym kobieta, był traktowany jak człowiek, ale przede wszystkim o to, żeby politycy – nie tylko prawicowi populiści, ale wszyscy politycy – nauczyli się wreszcie słuchać ludzi, dzięki którym mają zaszczyt i przywilej (bo to jest wielki zaszczyt i przywilej, o czym większość dawno zapomniała) sprawować władzę.

PiS-owców trzeba nauczyć, że władza to nie, jak się im wydaje, prawo do pomiatania ludźmi i mówienia im, co mają robić, ale służba publiczna – działanie w obronie i na rzecz każdej jednostki ludzkiej. To wstyd, że nie nauczyli się tego sami, że uczyć ich tego będą jeszcze musieli ludzie na ulicach, ale tak – jeśli chcemy żyć w normalnej, przyjaznej, otwartej, dobrej Polsce, zasady muszą być twarde i nienegocjowalne: dla kogo władza nie jest służbą, ten nie może mieć prawa być w rządzie ani zasiadać w Sejmie.

Politycy PiS-u płaczą (choć narodowa legenda głosiła, że prawicowe chłopaki są twarde i nie płaczą), że wszystkie protesty (a trochę się ich uzbierało, buntują się nie tylko kobiety, ale też policjanci, rolnicy, górnicy, przedsiębiorcy, nauczyciele, lekarze) są antyrządowe. (Jest w tym sprzeczność logiczna, bo jaki ma być protest: prorządowy? Ale mniejsza z tym, komu mało dano, od tego mało się wymaga). Chodzą po prawicowych mediach, głównie po PiS-owskich propagandowych stacjach, i beczą jak kozy, że ludzie buntują się przeciwko ich chamstwu.

Tymczasem zamiast mazać się za każdym razem, gdy coś idzie nie po ich myśli, powinni zacząć słuchać. Rozumieć, że tak jak absolutną koniecznością jest uwzględnianie głosu kobiet przy uchwalaniu prawa dotyczącego kobiet, tak jest koniecznością słuchanie każdej grupy społecznej i zawodowej, o której losach chce się decydować. Że „nic o nas bez nas" staje się powoli pierwszą potrzebą Polek i Polaków.

Czas także najwyższy, żeby zrozumieli, że polityka to nie jest mądrzenie się i mówienie ludziom, co mają robić. Polityka służy skutecznemu zapewnieniu ludziom komfortowych ram codziennego życia: tworzeniu dobrej jakości prawa, sprawnego sądownictwa, zapewnieniu mediom wolności i niezależności,

a obywatelom równości wobec prawa, prowadzeniu dobrej dyplomacji i polityki zagranicznej, zadbaniu o profesjonalną służbę zdrowia, obronność i infrastrukturę (drogi, koleje itp.), o prosty i jasny system podatkowy. Że dobry polityk to taki, który – tylko i aż – tworzy warunki, w których ludzie mogą żyć i postępować tak, jak sami uważają za słuszne, szanując ich odrębność, różnorodność postaw, opinii, wierzeń i poglądów, a także ich różną orientację seksualną, nie dzieląc obywateli na lepszych i gorszych z żadnego powodu, także z powodu płci. Wiara, prywatna moralność i poglądy obywateli w ogóle nie powinny być przedmiotem dyskusji polityków.

Jeśli PiS-owcy tego wreszcie nie pojmą (choć przyznaję, opornie im idzie), ich los – *nomen omen* – czarno widzę.

Ogórek

Magdalena Ogórek, która niedawno dostała program w reżimowej TVP (choć gdy z nią rozmawiałam niewiele wcześniej, zapewniała mnie, że nie dlatego chwali PiS, żeby dostać jakąś posadę, mało tego: że żadnej posady, a już zwłaszcza programu w TVP, od partii Kaczyńskiego by nie wzięła!), została siepaczką PiS-u. Wali słowem jak cepem i niepomna swej – głoszonej zawzięcie przez nią samą własnej subtelności – bez opamiętania rozdaje prostackie ciosy. Nie komentowałabym Ogórek, bo nie warto – jakiś czas temu mówiłam Państwu i podtrzymuję, że za rządów PiS-u rozmaite intelektualne Zeligi powypełzały ze swoich nor i zrobią wszystko, żeby tylko o nich napisano i powiedziano – gdyby nie to, że pani Nie-całowałam-salonu-w-pierścień (aż chciałoby się rzec: szkoda, że w pewną część ciała już tak, i to często i namiętnie, ale przez litość tutaj o tych licznych przypadkach, o których wiem, szczegółowo się nie rozpiszę) z niezrozumiałym dla mnie uporem atakuje środowisko od wielu lat walczące o prawa kobiet i mające na tym polu bardzo wymierne i konkretne (w przeciwieństwie do pani Ogórek) osiągnięcia – ba, środowisko, o którego poparcie jako

kandydatka na urząd prezydenta niedawno uniżenie (i znowu – nie opowiem Państwu, jak uniżenie, ale zapewniam, że bardzo) zabiegała. Bywając na kongresach kobiet i spotykając się z profesor Magdaleną Środą czy ze mną, pani Ogórek nie uważała nas bynajmniej za *latte* feministki i nie twierdziła, że nie mamy pojęcia o problemach kobiet. Przeciwnie, wyrażała wielki szacunek i uznanie dla naszej pracy i ubolewanie z powodu nieprzyjemności, jakie spotykają nas ze strony prawicy. W rozmowach ze mną pani Ogórek posuwała się nawet do tego, że chwaliła żeńskie końcówki, z których dziś tak bardzo się naśmiewa! Mówiła – o zgrozo! – że potrzebna jest konwencja antyprzemocowa. Zresztą, przemawiając już publicznie po swojej sromotnej porażce w wyborach, twierdziła głośno, że Polska nie jest gotowa na kobietę prezydenta!

Ta sama Polska, która wczoraj zdaniem pani Ogórek nie była gotowa na kobietę prezydenta, dziś – także zdaniem pani Ogórek – nie ma najmniejszego problemu z nierównym traktowaniem kobiet.

Mogłabym napisać książkę o lenistwie Magdy Ogórek, apologetki PiS-u, która, mimo że namawiana przez niejedną feministkę, w tym przeze mnie osobiście, do zakasania rękawów i ciężkiej pracy na rzecz kobiet, choćby w regionalnych kongresach kobiet, nigdy nie podjęła tematu, o dwulicowości i hipokryzji osoby, która w prywatnych rozmowach mówi jedno, a kiedy potrzebuje od PiS-u pracy – zupełnie co innego. Ograniczę się jednak do wyrażenia ubolewania, że młoda, wykształcona kobieta, która naprawdę nie potrzebuje pełzać od buciczka do trzewiczka, żeby dostać kompromitującą pracę w reżimowej TVP, tej samej, z której wyrzuca się ludzi za mówienie prawdy, robi to, w dodatku w tak niskim i niegodnym stylu. Że dla prywatnej korzyści

uderza w niezwykle ciężko pracujące na rzecz kobiet i mające na tym polu bardzo wymierne, konkretne osiągnięcia dziewczyny z całej Polski, o których wyraża się pogardliwie, tak samo zresztą, jak o uczestniczkach czarnego protestu.

Ulubioną i często powtarzaną frazą pani Ogórek (ona zresztą w różnych mediach powtarza te same, z góry przygotowane zdania) jest opinia, że feministki nie znają problemów zwykłych kobiet. Ośmielę się zauważyć, że właśnie Ogórek, która słynie z maniakalnego upodobania do sukienek za wiele tysięcy złotych i takich torebek oraz butów, nie wie o tych problemach zupełnie nic.

Droga Magdaleno Ogórek, na całowaniu PiS-u w pierścień cnotę straciłaś, ale rubla – zapewniam cię – nie zarobisz.

PS Ponieważ z twojej krytyki profesor Środy wnoszę, że nie czytałaś słynnego *Traktatu o gnidach* Piotra Wierzbickiego i nie masz zielonego pojęcia, do czego mogła się ta, tak przez ciebie znienawidzona, feministka odnosić (pominąwszy fakt, że manipulujesz, nie pisząc, że o gnidach mówił najpierw cytowany później przez profesor Środę Kaczyński), informuję cię też, że fraza „pełzać od buciczka do trzewiczka" jest jedną z bardziej ulubionych poety Andrzeja Bursy. Wstyd.

MEDIA

Prawda

Coraz częściej mam wrażenie, że żyję w świecie, w którym prawda nie istnieje, fakty są tylko materiałem wstępnym, swoistym, bardzo niedoskonałym surowcem do obróbki, z którego dopiero ideolodzy i propagandziści jedynie słusznej partii wyprodukują nadający się do powszechnego użytku towar.

Rzeczywistość zastępuje się powoli, acz systematycznie, przykrojonym do ściśle określonych rozmiarów i wymiarów produktem prawdopodobnym, swoistym hologramem z obrazem PiS-owskiej Polski, który, zgodnie z wytycznymi partii, wyświetla się obywatelom każdego dnia wciąż i wciąż, i będzie się to robić tak długo, aż kolorowy obraz z partyjnego rzutnika zleje się w naszych myślach w jedno z życiem, aż przestaniemy rozumieć i czuć, że kiedyś istniało coś innego niż kłamstwo, nienawiść i złość w świecie i w nas samych.

Do sztambucha nadludziom, nadredaktorom i nad-Polakom

Tomasz Lis na okładce tygodnika „W sieci” jako „prawie Goebbels”. Profesor Stefan Niesiołowski na okładce „Gazety Polskiej Codziennie” obok, a jakże, również Goebbelsa. nadwarszawiak Rafał Ziemkiewicz piszący, że Gronkiewicz-Waltz popiera „wiocha z dzielnic zamieszkanych przez element napływowy”. Skąd pewność prawicowych nadredaktorów i nad-Polaków, że liberałów i lewicę mogą popierać jedynie lemingi, zwierzątka małe i bezrozumne, lub w najlepszym razie wioskowe głupki, no bo przecież nie ludzie? Jeśli to nie jest mowa nienawiści, więcej – jeśli to właśnie nie jest Goebbelsowska propaganda, to co nią jest u diabła?

Jest różnica pomiędzy dowcipem ostrym, nawet nieparlamentarnym i przekraczającym granice dobrego smaku, a czymś tak przerażającym, że w debacie publicznej niedopuszczalnym pod żadnym warunkiem: odczłowieczanie swojego interlokutora oraz zabieranie mu prawa do szacunku i własnych poglądów. Sugerowanie lub mówienie wprost, że nasz przeciwnik nie jest właściwie pełnym człowiekiem, nie

trzeba z nim dyskutować i liczyć się jak z normalną osobą, bo on taką normalną osobą nie jest, właściwie nie jest nawet pełnym obywatelem, Polakiem, patriotą. Jest zdrajcą, zwierzęciem, gnidą, wioskowym głupkiem. Jest, nie bójmy się tego słowa, choć ze względu na skojarzenia historyczne ono nigdy wprost nie padnie, podczłowiekiem.

Tę właśnie granicę przekraczają nadredaktorzy i nad-Polacy polskiej prawicy, którzy zamiast polemizować, nawet bardzo ostro i nie przebierając w słowach, z rozmówcą, skupiają się na dyskwalifikowaniu go jako istoty ludzkiej, rozumnej, Polaka i obywatela.

W ich świecie pełnym pogardy to nawet logiczne. Bo przecież nieważne, co masz do powiedzenia, jeśli nie jesteś pełnym człowiekiem. Nie będąc pełnym człowiekiem, nie zasługujesz na to, by być wysłuchanym. Jesteś lemingiem i zerem. Zwierzątkiem. Zdrajcą. Agentem. Pluskwą, którą należy rozdeptać, i my, jedynie słuszni patrioci, to chętnie zrobimy.

Takich ludzi, nadludzi, nadredaktorów, nad-Polaków, rozpoznasz po tym, że nie mówią: Nie zgadzam się z Tobą, bo…, nie mówią: Uważam, że jesteś w błędzie…, Strasznie się mylisz… czy nawet: Popełniasz niewybaczalną niegodziwość… Oni mówią: Jesteś kanalią, zdrajcą, zbrodniarzem, jesteś lemingiem, ćwierćinteligentem, wieśniakiem bez polotu i pomyślunku. W domyśle: jesteś godzien, by na ciebie napluć, nakrzyczeć, zamknąć cię do więzienia, obsmarować z mównicy sejmowej czy łamów. Ale nie jesteś godzien, by z tobą rozmawiać, polemizować, by się z tobą spierać, szanować twoje opinie, uwzględniać twój punkt widzenia.

Tak popularne na prawicy nazywanie przeciwników politycznych i dyskutantów polskimi Goebbelsami (albo – w tchórzliwym celu ochrony przed przegranym procesem –

prawie Goebbelsami) jest swoistym paradoksem, bo to właśnie Joseph Goebbels, minister propagandy III Rzeszy, sterował ludzkimi emocjami, grał na nich (zwłaszcza na tych odwołujących się do niemieckiego patriotyzmu) niczym wirtuoz, odmawiając przeciwnikom Hitlera nie tylko miłości do ojczyzny i lojalności względem niej (nazywał ich zdrajcami i zaprzańcami), ale nawet godności i człowieczeństwa. W Goebbelsowskiej propagandzie przeciwnicy Hitlera byli czymś więcej niż przeciwnikami, byli sprzedawczykami, pluskwami, gnidami, wieśniakami, zdrajcami. Byli podludźmi. Dlatego nie trzeba było dyskutować z ich argumentami – bo dyskutować to można z człowiekiem, a pluskwę można jedynie rozdeptać, rozgnieść. Brzmi znajomo? No właśnie.

Towarzysz Szmaciak w natarciu

Jest postęp. Dawniej Towarzysz Szmaciak nie umiał pisać i czytać. Dziś nie potrafi także oglądać programów telewizyjnych ze zrozumieniem. Portal wPolityce.pl zarzucił mi promowanie pedofilii. Wszystko dlatego, że we wczorajszym programie *Nie ma żartów*, w którym gościem był Jerzy Urban, nabijaliśmy się – sarkastycznie i ironicznie – z księży pedofilów i ich obrońców, takich jak arcybiskup Michalik, który wszędzie w cywilizowanym świecie po swojej propedofilskiej wypowiedzi zostałby już postawiony poza nawias Kościoła i, szczerze mówiąc, także poza nawias cywilizowanego społeczeństwa.

Notka niepodpisana imieniem i nazwiskiem, tylko „zespół wpolityce.pl", tak że niestety nie mogę nazwać Towarzysza Szmaciaka po imieniu, jest próbą udupienia nielubianej przez prawicę Michalik – a nuż uda się wmówić tym, którzy programu nie oglądali, że Michalik promuje pedofilię. I rozpętać aferkę. A jakże.

Niniejszym oświadczam, że zarzuty pod moim adresem są jak najbardziej słuszne. Zgadzam się z opinią jednego z dostojników Kościoła, że hordy wyuzdanych sześciolatków

z rozbitych domów ściągają niewinnych księży na złą drogę. Wsadzać do więzienia nieletnich gerontofilów! Najlepiej niech siedzą w odosobnieniu, a dopuszczać do nich należy tylko kapłanów z posługą duszpasterską. Ale tak, żeby nie było kamer, bo nauka Bożej miłości wymaga intymności!

Kiedy pomyślę, co wyprawiają księża pedofile, robi mi się niedobrze. A mogą to czynić, bo stoi za nimi horda umysłowych ciemniaków, którym trzeba tłumaczyć pojęcie ironii i sarkazmu, o plugawych charakterach i skłonnościach do gównianych donosików. A jako że donosiki są gówniane, mam je tam, gdzie ich miejsce, czyli… Domyślcie się, gdzie.

Koniec z faszystami w moich programach

Tekst powstał po zamieszkach 11 listopada 2013 roku. Narodowcy bili ludzi, niszczyli mienie, wznosili pełne nienawiści hasła, a niektórzy narodowi politycy, jak Artur Zawisza, nazywali to incydentami. Czas pokazał, do czego doprowadziła polityka tolerancji, a później wręcz zachęcania kiboli i nacjonalistów do agresji i przemocy.

To, co się dziś wydarzyło w Warszawie: ataki na mieszkańców, dziennikarzy, bezdomnych (wyzwanych przy okazji przez narodowców od społecznie bezużytecznych śmieci), ubliżanie warszawiakom – nazywanie ich elementem, z którego trzeba oczyścić kraj, przemoc, agresja, destrukcja, zagrożenie dla życia i zdrowia ludzi, podpalanie samochodów, niszczenie innego mienia, bicie policjantów, dewastowanie ulic, totalna arogancja, buta, nieliczenie się z nikim i niczym, atak na ambasadę Rosji, za który trzeba będzie oficjalnie przeprosić, bo to wydarzenie ma rangę incydentu dyplomatycznego, i komentujące to wszystko słowa faszysty Artura Zawiszy, współorganizatora tego marszu hańby, że te drobne incydenty nie są powodem do przerwania marszu i żaden świstek

z ratusza nie zatrzyma gorących patriotycznych narodowych serc, skłania mnie do refleksji i postanowienia: od dziś nie zaproszę do żadnego z moich programów żadnego z tych faszystów. Koniec promowania totalitarnych ideologii. Koniec z traktowaniem faszyzmu, kultu siły, chamstwa i warcholstwa jako równoprawnego głosu w debacie publicznej.

Wy, narodowcy, nie jesteście równi innym stronnictwom politycznym, działającym w demokratyczny sposób. Wasze poglądy, przemoc i narzucanie siłą swojego światopoglądu nie są równe partiom i organizacjom, które, chcąc zmienić kraj, przekonują innych do swoich racji w cywilizowanej debacie i rywalizują o głosy Polaków. Wasze metody działania, bicie i poniżanie ludzi, nastawanie na ich życie, zdrowie i mienie, wasz język, język przemocy i nienawiści, musi budzić pogardę i sprzeciw każdego przyzwoitego człowieka. Swoim postępowaniem udowodniliście, że macie wolności innych ludzi, ich poglądy, życie, wolność i osobistą nietykalność za nic – a zatem zasługujecie na infamię i karę za złamanie prawa, w każdym miejscu, w którym się go dopuściliście.

Apeluję do wszystkich dziennikarzy i wszystkich stacji telewizyjnych o zrobienie tego samego: nie traktujmy faszyzmu i kultu siły jako równoprawnego głosu w debacie publicznej. I tak jak nie zapraszamy pedofila, złodzieja, mordercy, gwałciciela czy psychopaty, żeby przedstawiał swój punkt widzenia, tak nie zapraszajmy ludzi, którzy życie, zdrowie innych ludzi, dobro publiczne i wolności obywatelskie mają za nic. Nie ryzykujmy naszą demokracją. Nie legitymizujmy faszystów.

Nie przyłożę już ręki do promowania (nawet niechcący) i reklamy tych ludzi. Bo tak rozumiem misję mediów i tak rozumiem swoją obywatelską powinność.

JESZCZE O WOLNOŚCI I CENZURZE

Ciągle jesteśmy w roku 2013 po zamieszkach w Święto Niepodległości.

Zaskoczyła mnie reakcja niektórych dziennikarzy na moją deklarację, że nie będę zapraszać do studia faszystów. Kilka argumentów przeciw było na tyle kuriozalnych, a równocześnie tak często powtarzanych i zakorzenionych w umysłowości i mentalności ludzi kształtujących debatę publiczną, że warto się nad nimi krótko pochylić.

Nad konstatacją jednego z dziennikarzy, że jeśli przestanie zapraszać faszystów i nacjonalistów, to zostanie sam, bez gości, przejdę do porządku dziennego, bo jest to wyraz słabego warsztatu dziennikarskiego i błędnego (choć nagminnego w polskich mediach) pojmowania obiektywizmu jako nawalanki, w której naprzeciw siebie siedzą gladiatorzy operujący epitetami zamiast argumentów. Jest to oczywiście typowe chodzenie na skróty w miejsce zadania sobie trudu, znalezienia błyskotliwych i mądrych ekspertów i analityków. Rozumiem, że moje uderzenie w ten patent na prowadzenie programów publicystycznych, w tę haniebną dziennikarską praktykę zabolało, stąd odzew nożyc wybrzmiał dość głośno.

Zaniepokoiły mnie jednak głosy, skądinąd doświadczonych publicystów, których szanuję, że niezapraszanie faszystów do studia to cenzura, oraz drugi, najczęściej powtarzany slogan: nie rozwiążemy problemu, udając, że go nie ma.

Pomijając fakt, że my, publicyści i dziennikarze, nie jesteśmy od rozwiązywania problemów społecznych (od tego są politycy), tylko od mówienia o nich, pobudzania do debaty i refleksji, pokazywania możliwie różnych punktów widzenia w patrzeniu na daną sytuację tak, aby ludzie sami mogli wyrobić sobie zdanie, to: cenzura, drodzy Państwo, to zabronienie komuś głoszenia jego poglądów, przekonań, mówienia o nich i pokazywania ich w przestrzeni publicznej (a tego nie chcę i nie mogę robić). Takiej cenzurze podlegają dziś w Polsce na przykład poglądy antykatolickie. Natomiast nie ma mowy o cenzurze, kiedy narodowcy i nacjonaliści, a także faszyści mogą głosić publicznie swoje przekonania, mogą je demonstrować, jak widać również używając siły, mogą o nich mówić w licznych mediach i publikować w licznych prawicowych – i nie tylko – gazetach.

Do Telewizji Trwam nie są zapraszani działacze lewicowi – czy także uważamy, że poglądy lewicowe podlegają w Polsce cenzurze? Czy ktoś podniósł z tego powodu larum? Zgodzimy się chyba, że taki pogląd byłby śmieszny i niczym nieuzasadniony.

Nie jest cenzurą ustanowienie własnych granic, a moją granicą jest krzywdzenie innych ludzi (bicie ich, poniżenie, niszczenie ich mienia, wyzwiska), i mam prawo – właśnie w ramach mojej wolności – z takimi ludźmi nie rozmawiać i nie zadawać się ani prywatnie, ani w przestrzeni publicznej.

Czy zamierzam tym samym udawać, że takie poglądy nie istnieją? Skąd! Po prostu nie mam ochoty przykładać ręki do

ich rozpowszechniania i gloryfikowania. Czy do zrelacjonowania i rzetelnego omówienia zjawiska gwałtów konieczne jest zaproszenie do studia gwałciciela, opowiadającego z lubością jak gwałcił kobietę i tłumaczącego, że baby noszące miniówki to element, któremu trzeba dać nauczkę, i że właściwie ten gwałt był prowokacją tej suki?

Na marginesie rozmów o cenzurze: przypominam, że artykuł 13 Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej zakazuje istnienia partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa albo przewiduje utajnienie struktur lub członkostwa. Tak więc, gdyby ktoś, na przykład parlament, chciał faszystów ocenzurować, jak najbardziej mógłby to uczynić zgodnie prawem.

Żeby debata miała sens

Obejrzałam właśnie jeden z ważniejszych programów publicystycznych, do którego zaproszono Joannę Senyszn i Andrzeja Jaworskiego z PiS-u, szefa parlamentarnego zespołu do przeciwdziałania ateizacji Polski i zastanawiam się, dlaczego ludzie z dorobkiem, wiedzą i autorytetem, jak profesor Senyszyn, godzą się na udział w tak żenujących widowiskach. Prawda jest niestety taka, choć jest to pogląd niepoprawny politycznie, że aby debata miała sens – ba, mogła w ogóle nazywać się debatą – musi zostać spełnionych kilka nieodzownych warunków. Uczyły tego wszystkie greckie szkoły filozoficzne, uczą tego i dziś na co lepszych światowych uniwersytetach.

Po pierwsze, poziom intelektualny rozmówców musi być zbliżony. Dyskusja Pitagorasa z posłanką Kempą naprawdę mija się z celem. Po drugie, przystępując do debaty, interlokutorzy musza zgodzić się (kiedyś było to umowne, w dzisiejszej Polsce należałoby to jednak spisać) na pewne ramowe warunki uczestnictwa w debacie, typu: kiedy jeden mówi, drugi słucha, mówi się na temat wcześniej określony i odpowiada na zadane pytania, nie używa argumentów *ad*

personam itp. Po trzecie, założeniem absolutnie niezbędnym jest pewna erudycja i ogłada, powodująca chociażby, że panie lub panowie dyskutują o punktach widzenia i interpretacjach, natomiast nie spierają się o fakty. Wreszcie partnerzy, czy też przeciwnicy w debacie, muszą posiadać kompetencje, to jest wiedzę, umiejętności i doświadczenie w dziedzinie, o której zamierzają rozprawiać. Tylko taka dyskusja będzie ciekawa i tylko taka będzie wartościowa.

Oczywiście – i tu dochodzimy do sedna sprawy – przygotowanie takiej dyskusji wymagałoby od dziennikarza prowadzącego program sporego wysiłku: gdyby zaprosił doń mądrych ludzi, sam musiałby być mądry, musiałby ciągle czytać, ciągle się dokształcać i kierować w swojej pracy nie tylko słupkami oglądalności, które ponoć (ja nie jestem o tym przekonana, do czego jeszcze wrócę) są najwyższe, gdy dwóch troglodytów nakładzie sobie publicznie (lub, opcjonalnie, jeden troglodyta nakładzie profesorowi lub profesorze). Krótko mówiąc: dziennikarz musiałby zacząć pracować, robić to, za co mu płacą.

W takiej formule, w jakiej większość – na szczęście nie wszystkie – programy publicystyczne funkcjonują dziś, dziennikarz jest podkładką pod mikrofon i właściwie nie ma nic do roboty. Wystarczy, że zapyta posła X: Pan Y powiedział, że jest pan głupi. Pozwie go pan? – i zaczyna się jatka. I program robi się sam.

Oczywiście – i tu wracam do tematu słupków – tacy kiepscy prowadzący mają cudowną wymówkę dla swojego nieróbstwa, a jest nią właśnie oglądalność, rzekomo najwyższa, kiedy jedno lub dwoje ludzi bez pojęcia o czymkolwiek opowiada w ich programie niestworzone dyrdymały. Otóż każdy biznesmen wie, że istnieje coś takiego, jak utracone

potencjalne korzyści – straty, których do końca nigdy nie udaje się precyzyjnie policzyć, utracone przez zaniechanie określonych działań.

Czy ktoś kiedyś policzył, ilu widzów przestało oglądać publicystykę i programy polityczne z powodu głupoty lejącej się z telewizora? Czy leniwi dziennikarze policzyli kiedykolwiek, jakie będą koszty społeczne niskiej jakości ich pracy: jak rosnące przekonanie Polaków, że wszyscy politycy to złodzieje lub idioci, że nie warto się interesować krajem, w którym się żyje, że całe życie publiczne to jedno wielkie szambo? Czy policzyli, jak takie postawy przełożą się z kolei na frekwencję w wyborach i jakość polityków wybieranych do Sejmu (co z kolei przełoży się i przekłada nieustannie na jakość stanowionego prawa, a w konsekwencji naszego życia)?

Wiem z własnego doświadczenia, że widzowie i słuchacze lubią słuchać mądrych ludzi, ludzi kompetentnych, którzy wiedzą, o czym mówią. Oglądalność wcale nie musi wtedy spadać, przeciwnie – może rosnąć. Po prostu trzeba w taki program włożyć realną pracę, wysiłek. Ale w końcu – za to chyba nam płacą, czyż nie?

Nie chcę kłamców w telewizji

Facebookową akcję „Nie chcemy widzieć Dariusza Oko w telewizji” szanuję i popieram. Mało tego: dziękuję z całego serca tym, którzy tę stronę założyli, rozpoczęli społeczną debatę i domagają się, żeby przestano traktować kłamców i/lub propagandzistów (mowa jest także o Tomaszu Terlikowskim) jak równoprawnych dyskutantów debacie publicznej. Nie idzie o poglądy, bo te każdy ma prawo mieć własne. Nie idzie nawet o epitety, bo porównywanie (co czyni nader często Terlikowski) oponentów do nazistów, na początku straszne, po jakimś czasie nikogo już nie oburza i trąci groteską. Zresztą, pal sześć złe porównania i nadużywanie wielkich kwantyfikatorów. Ale udzielanie bezpłatnego czasu antenowego kłamcom – powtórzę to raz jeszcze dla spotęgowania efektu – świadomym kłamcom, którzy korzystają z tego narzędzia, by manipulować, wprowadzać w błąd i oszukiwać opinię publiczną, jest niedopuszczalne. Kto tego nie rozumie, kto to robi, żeby uzyskać oglądalność, nie nadaje się na dziennikarza.

Ceną za życie w demokracji, którą chętnie płacę (choć nieraz to „chętnie” kosztuje zaciskanie zębów), jest słuchanie

w telewizji i radiu głupców. Współczuję im, bo na własną głupotę człowiek niewiele może poradzić, w końcu – jak mawiał nieodżałowany Kisiel – gdyby głupiec wiedział, że jest głupcem, musiałby przestać nim być. Stąd wniosek, że każdy idiota jest przekonany o własnej inteligencji i nieomylności.

Nie mogę jednak znieść zapraszania do mediów kłamców, i to takich, o których prowadzący wiedzą, że celowo wprowadzają odbiorców w błąd, podając zmyślone dane lub wymyślając historie, których nikt nie jest w stanie zweryfikować od razu, w czasie trwania programu na żywo.

Oczywiście Terlikowski czy Oko to tylko niewielka próbka takich „osobistości", przewijających się każdego dnia przez programy publicystyczne. Nie chodzi o to, żeby imiennie chłostać, ale sami Państwo wiecie, ilu jest takich polityków – wielu przeprasza później za swoje kłamstwa wygłaszane na antenach i płaci odszkodowania (oczywiście nie robią tego z przyzwoitości, tylko zmuszeni wyrokiem sądu). Co jednak komu z przeprosin, kiedy cel – wprowadzenie opinii publicznej w błąd, zaszczepienie jej fałszywego przekonania, zniesławienie i oczernienie przeciwnika politycznego, został osiągnięty. O tym, rzecz jasna, kłamcy świetnie wiedzą. Ba – to jest właśnie główna przyczyna, dla której kłamią!

Po co się wysilać, harując na dobry wynik swojej partii lub organizacji (jak w przypadku Kościoła katolickiego), po co budować wiarygodność latami, skoro wystarczy nakłamać na temat ludzi i instytucji oferujących lepszy program, lepsze rozwiązania!

To niedopuszczalne, żebyśmy w przestrzeni publicznej traktowali takie głosy i taki sposób „dyskusji" na równi z rzetelną, merytoryczną debatą.

Telewizja, mass media nie tylko relacjonują rzeczywistość, one także – a nie wiem, czy nie jest to dziś ich główne zadanie – prowokują debaty na tematy polityczne, religijne i społeczne, wpływają na świadomość i kształtują, wręcz tworzą opinie milionów ludzi. To wielki przywilej, ale także, a nawet przede wszystkim, ogromna odpowiedzialność. Jeśli ktoś zaprasza do studia oszusta i kłamczucha, to znaczy, że tego nie rozumie i powinien zmienić zawód. Bo nie wystarczy wygłosić opinię, trzeba ją także umieć uzasadnić prawdziwymi danymi, faktami, własnymi przemyśleniami oraz wyłożyć w rozsądny, logiczny i wiarygodny sposób. Kto tego nie potrafi, niech nie chadza do mediów. Kto tego nie rozumie, niech nie prowadzi programów.

W końcu nie każdy musi. I nie każdy powinien.

Przemysł pogardy? Raczej zastraszania

Ścierka. Szmata. Żydówa. Zdrajca. Śmieć. Sprzedawczyk. W jakim świecie, poza polską, narodowo-katolicką, konserwatywną prasą, ludzie używający takiego języka są ofiarami? Wróć! Ofiarami? Czy widział ktoś kiedyś ofiarę katującą swojego rzekomego oprawcę? Czy widział ktoś ofiarę szydzącą z kata i natrząsającą się z niego? Czy widział ktoś ofiarę wściekłą, wkurzoną jak wszyscy diabli, ubliżającą napastnikowi, którego zastrasza? A może przystaniemy na chwilę, my – społeczeństwo, i pomyślmy, na co właściwie pozwalamy? Dokąd nas przyzwolenie na tę pogardę i agresję zaprowadzi i jak się dla nas skończy? Co będziemy mieli z siedzenia cicho?

Olga Tokarczuk to żydowska szmata. Polski rząd powinien się czuć jak szmata, bo nie dostał od Rosji wraku tupolewa. Jarek Kuźniar to kurwa, przynajmniej zdaniem kogoś, kto mu wydrapał taki napis na aucie. Janusz Korwin Mikke znów kogoś zaorał. Znany publicysta z TV to esbek jebnięty. Każdy inny to szuja. Ścierka. Sługus. Idiota. Debil. Pajac. Wpisz

w wyszukiwarkę na Twitterze – zresztą gdziekolwiek – te słowa, a wyniki wyszukiwania zaczną się od wpisów prawicowych publicystów, piszących pod nazwiskiem w taki właśnie sposób o swoich oponentach, interlokutorach, rozmówcach, po prostu o ludziach mających inne zdanie.

Poczytasz też ich fanów, prawicowych, a właściwie narodowo-katolicko-socjalistycznych trolli, idących jeszcze dalej, nie przebierając w słowach, bo i po co? Przecież wszystko im wolno, bo zaraz wygrają wybory? Przecież za długo byli na głodzie, za długo nikt nie traktował poważnie ich bluzgów, więc po co się hamować? Po co zastanawiać? Zresztą – to przecież ofiary. A ofiarom, jak wiadomo, w Polsce – kraju, w którym nieustanne cierpienie jest cnotą, a powód do narzekania powodem do dumy – wolno więcej.

W tych ciągłych gadkach o ofiarach, o przemyśle pogardy, my – ich adresaci, przejęci poczuciem winy liberałowie, zahipnotyzowani agresją prawicy zwolennicy złotego środka, wzajemnego szacunku i tolerancji – zapomnieliśmy o jednym: że nie ma tolerancji dla wrogów tolerancji. I zapomnieliśmy zadać kilku podstawowych pytań.

W jakim świecie ludzie używający takiego języka są ofiarami? Ofiarami? Czy słyszał ktoś ofiarę mówiącą: musisz, urodzisz, zrobisz, nie zrobisz, pójdziesz, dasz – Kościołowi, władzy, państwu, Kaczyńskiemu, Szydło, Błaszczakowi, Kukizowi! Bo jak nie, to popamiętasz?!

Czy ofiara dyktuje warunki? Mówi mi, jak mam żyć, kim być, żeby zasłużyć na certyfikat dobrego Polaka, dobrej Polki, kobiety, żony, matki, dziennikarki, polityczki? Czy widział ktoś kiedyś ofiarę straszącą kata, że straci pracę, jak jej partia dojdzie do władzy?

Ci ugrzecznieni dziennikarze w studiach TV, nieoponujący, gdy Antoni Macierewicz, facet, który zniszczył polski kontrwywiad wojskowy, mający na sumieniu narażenie życia polskich agentów wywiadu choćby w Afganistanie, ujawnienie siatki informatorów służb, narażenie na szwank wiarygodności polskich służb specjalnych w strukturach NATO, wystawia rozmówcom certyfikaty moralności. I wiszący w powietrzu brak oczywistego pytania: kim ty jesteś, człowieku, co sobą reprezentujesz, że pozwalasz sobie na takie gadki?

Brak reakcji prowadzących programy na wyzwiska wobec swoich gości. Ci wszyscy Kurscy, Brudzińscy, Hofmany, Pawłowicze, księża Oko plujący jadem, zamiast artykułować argumenty, obrażający, zachowujący się tak, że każdego gościa zaproszonego na kolację do domu za jedną dziesiątą takich zachowań bez namysłu wyrzucilibyśmy za drzwi bez prawa powrotu.

Co się z nami stało? Dlaczego udajemy, że tak zachowujący się ludzie to normalni ludzie, z którymi powinno się normalnie dyskutować? Dlaczego nikt nie wyrzuci ich ze studia? W jakim świecie tak schowaliśmy głowy w piasek i zaczęliśmy udawać, że nie widzimy tego, co widzimy?

A może czas powiedzieć głośno, że król jest nagi? Że to agresywni, niepanujący nad sobą obrzydliwi szantażyści emocjonalni, krzykacze i pieniacze pozbawiani elementarnego dobrego wychowania i pozorów choćby kultury? W jakim życiu staliśmy się ślepcami mówiącymi, że pada deszcz, gdy ofiary plują im w twarz?

Chodzi o to, że protestowanie i głośne nazywanie rzeczy po imieniu oznaczałoby, że wierzymy jeszcze we własną moc sprawczą? Że nie pozwolimy się nikomu bezkarnie poniżyć? Że

wyegzekwujemy normalną rozmowę zamiast wyzwisk i nie pozwolimy dłużej narzucać sobie narracji trójkąta dramatycznego? Że przestaniemy udawać, że wierzymy, iż partyjni aparatczycy piszący w niektórych mediach artykuły, to prawdziwi dziennikarze?

Że popracujemy nad przywróceniem w debacie publicznej zdrowego rozsądku i faktów zamiast interpretacji, prawdy zamiast łgarstw, dyskusji zamiast histerycznych wrzasków?

I na koniec. Nie pomyśleliście nigdy, że agresja samozwańczych ofiar, oprócz chęci narzucenia własnej opinii, pełni też (i jest to świadomy, kalkulowany na zimno zabieg) funkcję odstraszającą? Otóż skutecznie odstrasza oponentów od wyrażania własnego zdania. Od punktowania słabości populistów i mówienia o nich publicznie.

Bo w świecie, gdzie każdy, kto myśli inaczej, to kurwa lub złodziej, zdrajca lub sprzedawczyk, świnia, gnojek, idiota, wielu będzie siedzieć cicho. Trzymać twarz na kłódkę. Bo ludzie mają rodziny, żony, mężów, dzieci, rodziców, pracę, szefów. Bo ludzie są tylko ludźmi i – nawet mając rację – ze strachu przed opluciem nie powiedzą nic. Byle się Janecki nie wkurzył, byle Ziemkiewicz nie napisał z pogardą, że idiota, byle Trotyl Gmyz nie eksplodował. Byle nie podpaść prawicowej tłuszczy. Byle nie przezwała, nie nawyzywała, publicznie nie upokorzyła.

Tego chcemy? Tak mamy żyć? W fałszu i pluciu, siedząc cicho ze strachu, żeby nikt nas nie obraził, nie przekręcił naszych słów i intencji, nie poniżył? Trzymając swoją opinię głęboko, tam gdzie słońce nie dochodzi? Siedząc z własnymi przekonaniami w domu po kryjomu? Bo to nas właśnie czeka, jeśli nic nie zrobimy, jeśli będziemy nadal siedzieć cicho. Może zacznijmy walczyć o siebie, narażać się i protestować. Może –

jak postulował Sławomir Mrożek – odważmy się czasem, w dobrej sprawie, publicznie dupę nazwać dupą.

Pani Eliza zaorała

Zastanawialiście się kiedyś, co to właściwie znaczy, że ktoś kogoś zaorał? Ten wymyślony przez prawicowych hejterów zwrot, muszę przyznać, szalenie mi się podoba. Nie jestem zresztą z tego dumna, gdyż te niewczesne skłonności agrarne mogą przysporzyć mi wyłącznie problemów – wszak miłość do ziemi tradycyjnie przypisywana jest rolnikom, a polski rolnik, jak wiadomo, głównie szuka żony. Lecz żarty na bok, bo sprawa wymaga powagi. To krótkie słówko zaorał w sensie: upokorzył, zniszczył, pokonał, wdeptał w ziemię wspaniale pokazuje mentalność prawicowych internetowych (choć nie tylko) ludzików, ich sposób myślenia o sobie i bliźnich, jak by powiedział Wittgenstein, zakreśla granice ich świata. I tak drepczą te bidulki w zaklętym kręgu: wygrany – przegrany, zaorany – niezaorany, na górze – na dole, mojsze – twojsze, ja zabrać Kalemu – Kali zabrać mnie. Zamknięci w życiu prostym jak konstrukcja cepa, pojmowanym umysłowością i psychiką niemowlęcia w pierwszej fazie rozwoju. Przypomina mi się historia o pewnym profesorze, który zapytany, czym jest głupota, odparł: To stan niskiej złożoności poznawczej. I nawet nie miał poczciwiec pojęcia, że perfekcyjnie zaorał w ten

sposób setki tysięcy jednokomórkowych (w sensie ilości szarych komórek) Polaków ich własnym pługiem.

Z KIM (NIE) ROZMAWIAĆ

To takie proste. Poseł Żalek i posłanka Pawłowicz są dla Jarosława Kaczyńskiego tym, czym był swego czasu Andrzej Lepper dla Leszka Millera: mówią rzeczy, które dla utrzymania betonowego elektoratu powiedzieć głośno trzeba, a których prezesowi czy premierce Szydło absolutnie powiedzieć nie wypada. Narzucają w ten sposób swoją narrację, ponieważ wiedzą, że opozycja i liberalni liderzy opinii bez względu na stopień zidiocenia tych wypowiedzi będą musieli podjąć z nimi polemikę lub je przynajmniej sprostować.

Zneutralizować tę infantylną w gruncie rzeczy strategię i wytrącić Kaczyńskiemu broń z ręki byłoby dziecinnie łatwo: wystarczyłoby, zwyczajnie, nigdy, przenigdy nie zapraszać do mediów ani publicznych debat ludzi, o których wiadomo (ponieważ robili to wcześniej wielokrotnie), że używają wyłącznie wyzwisk, obelg i intencjonalnych, świadomie wypowiadanych kłamstw zamiast argumentów. Zapraszać natomiast takich, którzy choć dyskutują z pasją i żarliwie (a zatem także zrobią „szoł", o który niektórym prowadzącym chodzi nade wszystko), to również kompetentnie i znają się na sprawach, o których mówią. Ale po co? Wtedy trzeba by się

wysilić, przygotować do rozmowy, odrobić lekcje. Łatwiej po raz kolejny zaprosić Żalka, a później obłudnie płakać nad jakością debaty publicznej.

PS Dotyczy to też ludzi, którzy przyjmują zaproszenie do studia telewizyjnego, wiedząc, że usiądą z kłamcą i krzykaczem. Niestety, dziś zrobił to Mateusz Kijowski, szef KOD-u, u Moniki Olejnik, godząc się na „rozmowę" z Jackiem Żalkiem.

Opiniotwórczość

Opiniotwórczość nie jest liczbą czytelników czy widzów. Najbardziej opiniotwórcze gazety na świecie nie mają relatywnie największych nakładów. Opiniotwórczość to wiarygodność, wpływ na rzeczywistość, fakt, że to, o czym mówisz i piszesz, jest podchwytywane, przyjmowane i przejmowane, dyskutowane, budzi podziw i budzi ostry sprzeciw. Opiniotwórczy jesteś, gdy nadajesz ton, podrzucasz tematy, które później, czasem bardzo długo, żyją w debacie publicznej, powodują ferment, wyrastają z nich ciekawe dyskusje, wypływają odkrywcze wnioski. Opiniotwórczość to myślenie i niechodzenie na kompromisy z rozumem i uczciwością, to sytuacja, w której po twoim tekście, programie, wypowiedzi, zachowaniu nawet twoi przeciwnicy zastanawiają się, czy nie masz racji i rozważają – jeśli nie twoje argumenty, to przynajmniej, jak je odeprzeć.

Opiniotwórczość to nie jest popularność i to nie jest masowość. W zasadzie jest ich przeciwieństwem. Nie ma nic wspólnego z lajkami, klikalnością, nakładem. Opiniotwórczość mierzy się tym, ilu osobom, również politykom i innym publicystom, liderom opinii dałeś do myślenia, ilu

zainspirowałeś, w jak szerokich kręgach rozeszły się twoje przekonania i idee, twój punkt widzenia. Jeden opiniotwórczy tekst czy program wywiera większy wpływ na ludzi niż setki tysięcy egzemplarzy tabloidu z celebrytą na okładce, podłego plugawego tygodnika partyjnego czy jednodniowego skandalu, wymyślonego, by przykryć poważne nadużycie władzy.

Bycie opiniotwórczym, nie – bycie popularnym, jest misją naszego zawodu, zawodu dziennikarza – bardzo ważnego, bez którego nie ma demokracji. Popularność jest ubogą siostrą słuszności, uczciwości, rzetelności, powinna być ich wynikiem (ewentualnie), a nie celem samym w sobie. Kto o tym nie wie, nie powinien pracować. Przypominam o tym, bo nadeszły takie czasy, że przypominać trzeba. My, dziennikarze i publicyści, stoimy między nadużyciami władzy a prawem obywateli do informacji. Częściowo odpowiadamy także za postawy etyczne i myślenie lub jego brak w wymiarze zbiorowym. To nie czas na lizusostwo i kariery robione na kłanianiu się władzy, choć rozumiem, że właśnie teraz może to wielu dobrym piórom wydawać się najbardziej kuszące. Pamiętajcie, że każda z takich karier jest za cenę czyjejś zniszczonej pracy, opinii lub zwolnienia, za cenę niegodziwości, które wygodnie jest przeoczać, a które dzieją się codziennie. Pamiętajcie o tym. Trzeba wybierać.

Obiektywizm

To wręcz niebywałe, ile razy trzeba powtórzyć pewne rzeczy, żeby ludzie zrozumieli. Mimo to niektórzy nie zrozumieją nigdy, choćby mówić i mówić – jakby to, co się mówi, nie trafiało do ich mózgów, tylko zupełnie innych, przede mną całkowicie zakrytych obszarów. Czasem sądzę, że część ludzi jest kosmitami lub mówiącymi maszynami, które z człowiekiem, oprócz wyglądu, nie mają nic wspólnego.

Do rzeczy jednak: kiedy piszę (a zdarzyło mi się tak dziś na Twitterze), że chętnie podałabym politykom PiS-u serum prawdy, zawsze znajdzie się jakiś społeczniak (pogardliwe określenie dzieciaków z podwórka na idiotę nieogarniającego całości, a czepiającego się detali bez znaczenia) pytający: a gdzie pani obiektywizm? Dlaczego nie podałaby pani serum prawdy wszystkim politykom?

Odpisuję, zgodnie z prawdą, że tylko politycy PiS-u kłamią tak niebywale i bezczelnie, kłamią codziennie, niemal w każdej sprawie, rano, w południe i wieczorem, że z taką ilością kłamstw nie spotkałam się nigdy dotąd!

Jednak nie o to chodzi. Ten dialog ze ślepym o kolorach obrazuje jedynie zjawisko, z którym spotykam się ciągle.

Polskie, niestety rozpowszechnione także wśród wielu ludzi mediów, pojmowanie obiektywizmu. Otóż, w ich mniemaniu, obiektywizm to jak w komunizmie: dzielenie po równo – uwagi, energii i komentarzy dziennikarskich. Nieważne, że jeden kłamie, a drugi mówi prawdę, nieważne, że jeden jest mądry, a drugi głupi, nieważne wreszcie, że ten bił, a tego pobito. Ma być po równo! Basta!

Otóż nie. Zmęczonam, ale powtórzę po raz kolejny. Obiektywizm nie oznacza dawania czegokolwiek – czasu antenowego, uwagi, możliwości wypowiedzi – po równo, a przeciwnie, oznacza dawanie zawsze wedle potrzeby. Obiektywizm nie oznacza też, że w danej sprawie wszyscy mają rację lub jej nie mają, przeciwnie – jest umiejętnością polegającą na spojrzeniu na sprawę z możliwie największej liczby punktów widzenia (co w ogóle moim zdaniem jest jedną z największych ludzkich umiejętności). Obiektywizm jest wreszcie brakiem szufladek, nie jest oceną, przesądzaniem, lecz możliwością, rozważaniem, relacją i przypuszczeniem.

Najlepsze zaś jest to, co nie przestaje mnie bawić i bawić będzie do śmierci (choć może to być śmierć w męczarniach), że brak obiektywizmu najczęściej zarzuca się w polskiej przestrzeni publicznej nie dziennikarzom, lecz – takim jak ja – publicystkom i publicystom – którym – uwaga! – płaci się przecież wyłącznie za to, żeby byli subiektywni! Ponieważ publicystyka jest niczym innym, jak przedstawianiem własnego punktu widzenia i własnego zdania o faktach i wydarzeniach. Jest jątrzeniem, rozważaniem, pobudzaniem do myślenia i wsadzaniem kija w mrowisko. Obiektywizm wyklucza publicystykę, jak brak pożądania wyklucza seks.

Więc tak, żyjemy w domu wariatów, naprawdę.

Eksperci

Zaczynam nie cierpieć instytucji eksperta. Co to w ogóle za ludzie? Skąd się biorą? Kto właściwie decyduje o tym, że właśnie oni, a nie ktoś inny, są ekspertami? I co to w ogóle znaczy – być ekspertem u licha?

Taki właśnie ekspert z ekspertką siedzą w TVN i oznajmiają publice autorytatywnie, że konflikt między Trybunałem a rządem trwa. Rozumiem, że jak mąż pobije ekspertkę do nieprzytomności, to policja ma przyjechać na miejsce i powiedzieć: Zakończcie ten konflikt?! Rozumiem, że jak trzech panów napadnie czwartego na ulicy, skopie go i potłucze, to jedyny komentarz policji powinien brzmieć: Przestańcie się bić?!

Wbrew temu, co mówią zaczadzeni poprawnością polityczną i fałszywym obiektywizmem eksperci, istnieją sytuacje zero-jedynkowe. Czasem ktoś kogoś napada, czasem ktoś łamie prawo. Czasem wina nie leży pośrodku, lecz można jasno wskazać winowajcę i ofiarę. I tak właśnie jest w przypadku Trybunału: nie ma żadnego konfliktu, jest gwałcenie i napaść, brutalna przemoc, której sprawców znamy i muszą oni zostać ukarani.

Media

Dzielenie mediów na właściwe (ośrodki rządowej propagandy) i niewłaściwe (wolną prasę) znamy z przeszłości. Dla porządku – choć wszyscy Państwo o tym wiecie – powiem tylko: to niezwykle groźne praktyki, które łatwo przeoczyć, lecz ich skutki, po cichu, za to konsekwentnie, niszczą demokrację. Ponieważ bez wolnych mediów nie ma wolnego społeczeństwa. Bez dziennikarzy patrzących politykom na ręce obywatele nigdy się nie dowiadują o nadużyciach władzy. Dlatego każdy autorytarny rząd, który chce łamać prawo i chce postępować niegodnie, zawsze zaczyna od walki z wolnymi mediami. Jeśli dziennikarze zostaną uciszeni i zakneblowani – od kogo dowiecie się, co wyprawia władza?

Reżimowe media

Powiem coś, co wielu z was zdziwi: jeśli jesteście młodymi ludźmi, czytajcie portal wPolityce.pl, słuchajcie publicznego radia i oglądajcie (choćby w minimalnej dawce, jeśli więcej nie zdołacie znieść) *Wiadomości* TVP, macie rzadką w dzisiejszym demokratycznym świecie okazję zobaczyć na własne oczy, jak wygląda obrzydliwe wysługiwanie się władzy, jak działają tryby rządowej propagandy, jak próbuje się prać mózgi, używając najskuteczniejszej Goebbelsowskiej metody: szczując na siebie ludzi, mieszając prawdę z fałszem, a fakty zastępując opiniami. Uświadomcie sobie, że nie mieliście dotąd pojęcia, czym jest nienawiść i kłamstwo w żywe oczy, żądza władzy tak wielka, że gotowa podeptać wszelkie ludzkie wartości, dobro i prawdę. Patrzcie i wyciągajcie wnioski, bo to, co jest naszym dziś, naszą teraźniejszością, jest niestety także waszą przyszłością.

Spis treści

Wstęp

Bóg rozumu się nie boi [źródło: „Gazeta Wyborcza”, tekst wspólny z Tomaszem Piątkiem, 5–6 listopada 2016]

POLITYKA

Teraz Ku*** My [źródło: naTemat.pl, 17 listopada 2015]

Nie w naszym imieniu [źródło: naTemat.pl, 23 listopada 2015]

Warto mieć pod górę [źródło: Facebook, tekst 1, 16 września 2016]

Po co nam wolność? [źródło: „Gazeta Wyborcza”, 17–18 września 2016]

Prawda [źródło: Facebook, 13 lutego 2016]

Daliśmy sejmowym małpom brzytwy, to mamy [źródło: naTemat.pl, 4 sierpnia 2015]

Wszyscy jesteśmy priorytetowi. Wszyscy jesteśmy ważni [źródło: naTemat.pl, 16 września 2015]

Ten ma rację, kto mocniej bije [źródło: Onet.pl, luty 2013]

Kukiz, polityk, jakich wielu [źródło: naTemat.pl, 26 kwietnia 2015]

Wybory strachu [źródło: naTemat.pl, 26 maja 2014]

Uchodźcy (tytuł pierwotny: Wątpliwości wyszły z mody) [źródło: naTemat.pl, 2 października 2015]

Przemówienie Szydło w Sejmie [źródło: Facebook, 29 grudnia 2015]

Nowy rząd na szkodę Polski [źródło: naTemat.pl, 9 listopada 2015]

24. urodziny Radia Maryja [źródło: Facebook, 5 grudnia 2015]

Katastrofa smoleńska [źródło: Facebook, 10 grudnia 2015]

Konstytucja (tytuł pierwotny: Jeszcze w lutym 2016) [źródło: Facebook, 16 lutego 2016]
Profesor Rzepliński [źródło: Facebook, 21 grudnia 2015]
Polska po PiS-ie [źródło: Facebook, 26 stycznia 2016]
Do elit PiS-u (tytuł pierwotny: Elita PiS) [źródło: Facebook, 9 lutego 2016]
My, ludzie drugiego sortu [źródło: Facebook, 1 marca 2016]
Patriotyzm [źródło: Facebook, 5 stycznia 2016]
Siedzącym cicho krzywda się nie dzieje [źródło: „Gazeta Wyborcza", 4–5 lutego 2017]
Kaczyński z 7 marca 2016 [źródło: Facebook, 7 marca 2016]
Wrogowie narodu [źródło: Facebook, 18 stycznia 2016]
Beata, publikuj [źródło: Facebook, po 10 marca 2016]
Dowód demokracji [źródło: Facebook, 17 marca 2016]
PiS-owcy [źródło: Facebook, 7 maja 2016]
Oczernianie poprzedników [źródło: Facebook, 11 maja 2016]
Macierewicz to narzędzie, którym Kaczyński szkodzi Polsce [źródło: Onet.pl, 16 maja 2016]
Prezydentura nie tylko zmarnowana, ale żenująca [źródło: Onet.pl, 24 maja 2016]
Odwrócona rzeczywistość PiS-u [źródło: Facebook, 25 maja 2016]
Minister od pogardy, Konstanty Radziwiłł [źródło: Onet.pl, 30 maja 2016]
Jest prosty sposób na PiS: wystarczy przestrzegać prawa [źródło: Onet.pl, 2 czerwca 2016]
Czego mi brakuje u polityków opozycji [źródło: Facebook, bez daty]
Boże, co powie PiS [źródło: „Gazeta Wyborcza", 13–14 sierpnia 2016]
Antoni Macierewicz może zagrażać polskiej racji stanu [źródło: Onet.pl, 20 czerwca 2016]
PiS rynsztoka się chwyta (a raczej od dawna w nim się tapla) [źródło: Onet.pl, 23 czerwca 2016]
Szydło przemówiła po raz drugi [źródło: Facebook, 5 lipca 2016]
Kaczyński boi się najbardziej [źródło: Facebook, lipiec 2016]
Śledztwo w sprawie nazwania Szydło nędznym błaznem [źródło: Facebook, 18 lipca 2016]
TK [źródło: Facebook, 5 sierpnia 2016]
76. miesięcznica smoleńska, 10 sierpnia 2016, Warszawa [źródło: Facebook, 10 sierpnia 2016]
Napaść na ludzi KOD-u na pogrzebie „Inki" i „Zagończyka" [źródło: Facebook, 26 sierpnia 2016]
Nie odpuszczać [źródło: „Gazeta Wyborcza", 27–28 sierpnia 2016]
Zakaz handlu w niedzielę [źródło: Facebook, 20 września 2016]
PiS – Posady i Swoi (tytuł pierwotny: TKM) [źródło: Facebook, 21 września 2016]
PiS-owska komisja weryfi kacyjna do spraw reprywatyzacji [źródło: Facebook, 19 października 2016]

Zasady czy ludzie? [źródło: Facebook, sierpień 2016]
Moje zastrzeżenia do Kijowskiego [źródło: Facebook, 28 października 2016]
Cztery tysiące za dziecko z gwałtu [źródło: Facebook, 4 listopada 2016]
Cytat [źródło: Facebook, 4 listopada 2016]
Pierwszy rok rządów PiS-u [źródło: niepublikowany, 15 listopada 2016]
Ludzi dobrej woli jest więcej [źródło: „Gazeta Wyborcza", 19–20 listopada 2016]
Pułkownik Mazguła [źródło: Facebook, 5 grudnia 2016]
Esbeckie emerytury [źródło: Facebook, 26 listopada 2016]
Zdelegalizować PiS [źródło: „Gazeta Wyborcza", 10–11 grudnia 2016]
Dlaczego PiS wrzeszczy, zamiast rozmawiać [źródło: Facebook, 13 grudnia 2016]
Trochę szacunku dla samych siebie [źródło: „Gazeta Wyborcza", 3 stycznia 2017]
Rzeczywistość [źródło: Facebook, 6 maja 2016]
Prawda nas wyzwoli [źródło: „Gazeta Wyborcza", 14–15 stycznia 2017]

KOŚCIÓŁ

Kościół żądny władzy i pełen hipokryzji [źródło: naTemat.pl, 4 maja 2014]
W imię Boga Wszechmogącego [źródło: naTemat.pl, 16 lipca 2014]
Stop nachalnej katopropagandzie [źródło: naTemat.pl, 11 marca 2013]
Wara wam, politycy i księża, od rozdziału Kościoła od państwa [źródło: naTemat.pl, 17 sierpnia 2015]
Precz z dyktatem fanatyków (tytuł pierwotny: Mam dość Królikowskiego i ferajny) [źródło: naTemat.pl, 28 stycznia 2014]
Świętsi od Jezusa, bardziej rodzinni od apostołów [źródło: naTemat.pl, 14 sierpnia 2013]
Jeśli Bóg istnieje [źródło: naTemat.pl, 26 sierpnia 2013]
Pięknie już było. Przed Franciszkiem [źródło: naTemat.pl, 17 września 2013]
Naród, ojczyzna, ściema [źródło: naTemat.pl, 10 grudnia 2013]
Gender to jest wojna kobiet [źródło: naTemat.pl, 28 grudnia 2013]
Ludzki pan [źródło: niepublikowany, bez daty]
Polski interes państwa Watykan [źródło: naTemat.pl, 10 stycznia 2014]
Oko zamiast mózgu [źródło: naTemat.pl, 23 stycznia 2014]
Papież Franciszek i Światowe Dni Młodzieży (tytuł pierwotny: Papież Franciszek) [źródło: Facebook, 27 lipca 2016]
Kościół i nacjonalizm [źródło: Facebook, 17 sierpnia 2016]
Kastracja księży i zakaz operacji raka prostaty [źródło: Facebook, 25 września 2016]
Masaż i klauzula sumienia [źródło: Facebook, ok. 17 maja 2016]

KOBIETY

Zadbana kobieta [źródło: Facebook, 1 lipca 2016]
Porucznik Columbo (czyli o mężczyznach) [źródło: Facebook, 12 listopada 2015]

Kobieta – człowiek czy dama [źródło: Facebook, 5 sierpnia 2016]
Piersi [źródło: Facebook, 5 sierpnia 2016]
Komplementy [źródło: Facebook, bez daty]
Nie ma walki o aborcję, jest walka o władzę [źródło: naTemat.pl, 28 września 2013]
Szmaty maszerują, szmaciarze świrują [źródło: naTemat.pl, 20 maja 2014]
Płeć trzymająca język [źródło: naTemat.pl, 20 września 2014]
Ginekolog to nie dentysta, czyli z podręcznika MEN [źródło: naTemat.pl, 15 kwietnia 2015]
Prawa człowieka dla kobiet [źródło: Facebook, 10 kwietnia 2016]
Nieme kobiety w Sejmie [źródło: Facebook, 19 kwietnia 2016]
Nie dajmy „szmacie" zamydlić sobie oczu [źródło: naTemat.pl, 25 maja 2016]
Paulina Młynarska i Matka Teresa [źródło: Facebook, 6 września 2016]
500 Plus (tytuł pierwotny: Luty 2016 – po wprowadzeniu 500 Plus) [źródło: Facebook, 9 lutego 2016]
Moje ciało należy do mnie [źródło: Facebook, 25 września 2016]
Zmiećmy samozwańczych władców kobiet [źródło: „Gazeta Wyborcza", 1–2 października 2016]
Chazan [źródło: Facebook, 23 kwietnia 2016]
Nie jesteśmy psami, żeby nas wyprowadzać [źródło: „Gazeta Wyborcza", 15–16 października 2016]
Kobiety z życiu publicznym [źródło: Facebook, 18 października 2016]
Kobiety polityczki [źródło: Facebook, 4 listopada 2016]
Przestańcie nami pomiatać [źródło: „Gazeta Wyborcza", 5–6 listopada 2016]
Ogórek [źródło: Facebook, 14 grudnia 2016]

MEDIA

Prawda [źródło: Facebook, 17 listopada 2016]
Do sztambucha nadludziom, nadredaktorom i nad-Polakom [źródło: naTemat.pl, 14 października 2013]
Towarzysz Szmaciak w natarciu [źródło: naTemat.pl, 17 października 2013]
Koniec z faszystami w moich programach [źródło: naTemat.pl, 11 listopada 2013]
Jeszcze o wolności i cenzurze [źródło: naTemat.pl, 13 listopada 2013]
Żeby debata miała sens [źródło: naTemat.pl, 14 kwietnia 2014]
Nie chcę kłamców w telewizji [źródło: naTemat.pl, 29 czerwca 2015]
Przemysł pogardy? Raczej zastraszania [źródło: naTemat.pl, 14 października 2015]
Pani Eliza zaorała [źródło: Facebook, 3 lutego 2016]
Z kim (nie) rozmawiać [źródło: Facebook, 3 marca 2016]
Opiniotwórczość [źródło: Facebook, 28 czerwca 2016]
Obiektywizm [źródło: Facebook, 21 lipca 2016]
Eksperci [źródło: Facebook, 4 sierpnia 2016]
Media [źródło: Facebook, 16 października 2016]

Reżimowe media [źródło: Facebook, bez daty]

Copyright © Eliza Michalik, 2017
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Redakcja: Katarzyna Gwincińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl
Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl
Fotografia na okładce: Anna Kondraciuk

Felietony, reportaże i artykuły zamieszczone w niniejszej książce pochodzą z bloga Pani Elizy Michalik prowadzonego na stronie naTemat.pl. Pozostałe teksty pochodzą z „Gazety Wyborczej", portalu Onet.pl oraz konta autorki na Facebooku.

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

eISBN 978-83-7976-651-2

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl